



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

W
Rocznie
Półrocz
Kwartal
Za odn

W
stępują

1.
2.

3.

i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości.
4. Dzieła popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.



Y:

ocztową

smę) rs. 12

smów) „ 6

mów) „ 3

działa na-

echnej,

i, poczye,

torów na-

pamiętniki

WYDAWCA

Saturnin Sikorski.

ZA REDAKTORA

Klemens Szaniawski.

Druk. Artyst. Saturnina Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Сентября 1897 г.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH. ^{I/5 39}

№ 2.

TUŁACZE

B. Bolesławity

z przedmową

Adama Pługa.



M. Kraszewski

TOM I.

Cena 25 ko

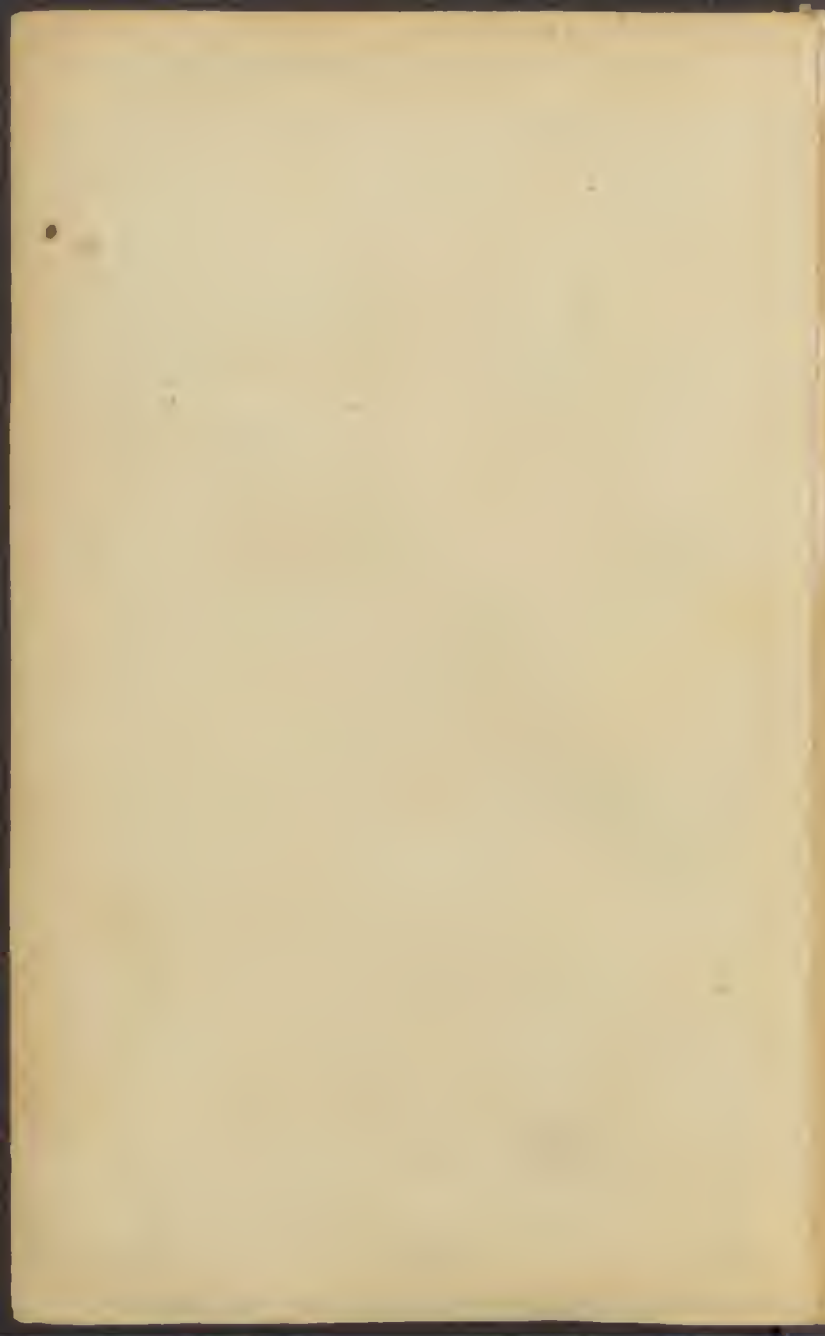
W prenumeracie 19 1/4

WARSZAWA.

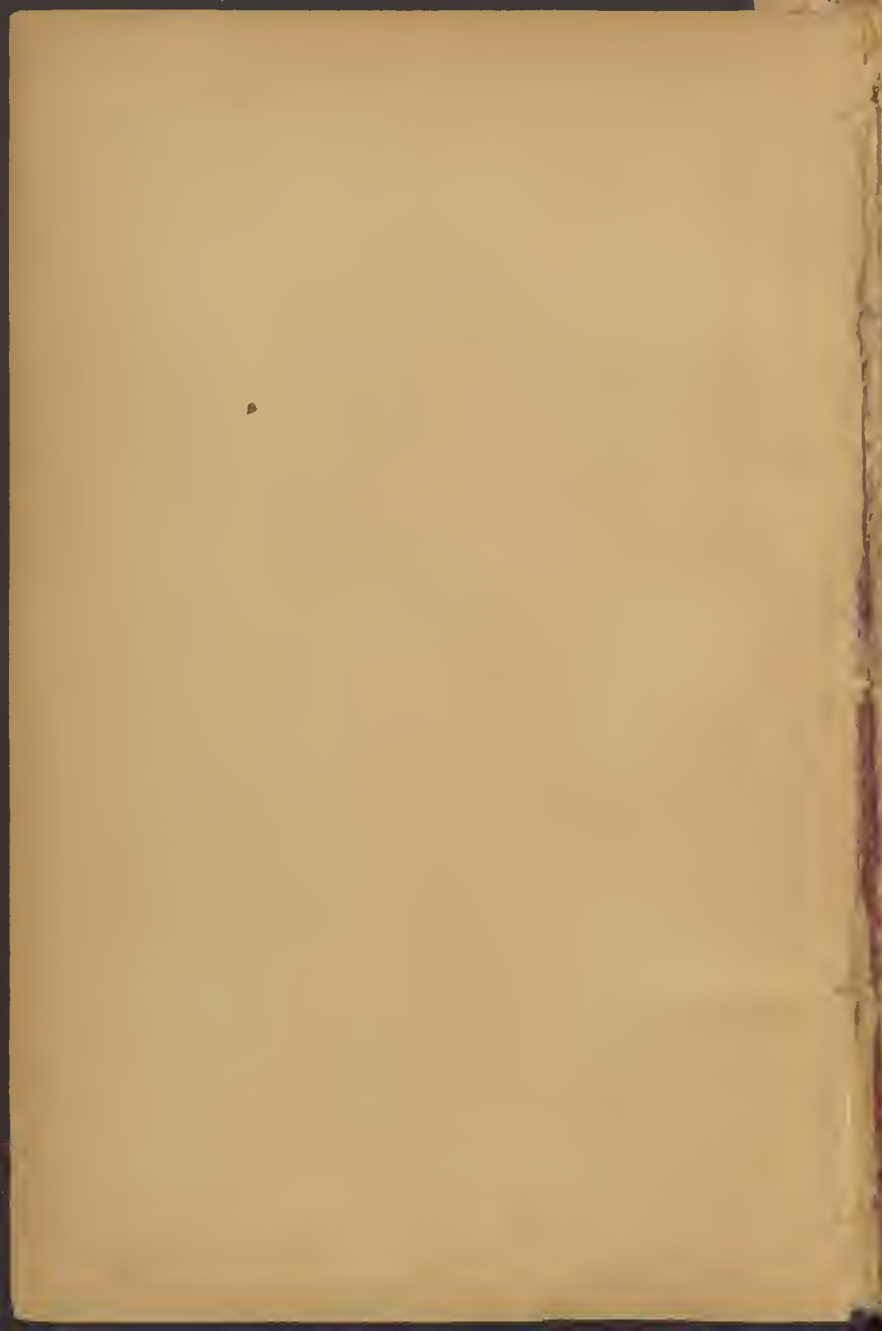
Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Świat 47.

—
1897.



T U Ł A C Z E.



TUŁACZE.

Opowiadania historyczne

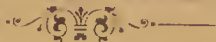
PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

Z PRZEDMOWĄ

Adama Pługa.

TOM I.



N^o 2

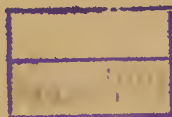
~~HENRYK SKULSKI~~

WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna

Saturnina Sikorskiego.

47. Nowy-Świat, 47.



405 2/8

TUŁACZE.

„Bolesławita“ jest to pseudonim, który przybrał Krąszewski, gdy w końcu stycznia r. 1863, na żądanie margrabiego Wielopolskiego, opuściwszy Warszawę, zamieszkał w Dreźnie.

Pod pseudonimem tym znakomity nasz powieściopisarz wystąpił po raz pierwszy w tymże 1863 r., rozpoczynając pod nim całą seryę „Obrazków współczesnych, narysowanych z natury”, dotąd szerszemu ogółowi u nas wcale nieznanym, więc zarówno, jak i wiele innych utworów, pod tymże pseudonimem wydanych.

Bezwątpienia więc abonenci „Biblioteki dzieł wyborowych” radzi w niej powitają bodaj nie-

które z tych powieści i czytać je będą z żywym zajęciem.

Ukazujący się obecnie utwór Bolesławity p. t. „Tulacze”, ogłoszony od 1868—1870 r., opowiada smutne koleje nieszczęśliwych ofiar owych burz politycznych, co poczynawszy od konfederacyi barskiej, od czasu do czasu krajem naszym wstrząsając, za każdym razem wyrywały zeń i rozpraszały synów jego po szerokich obszarach świata.

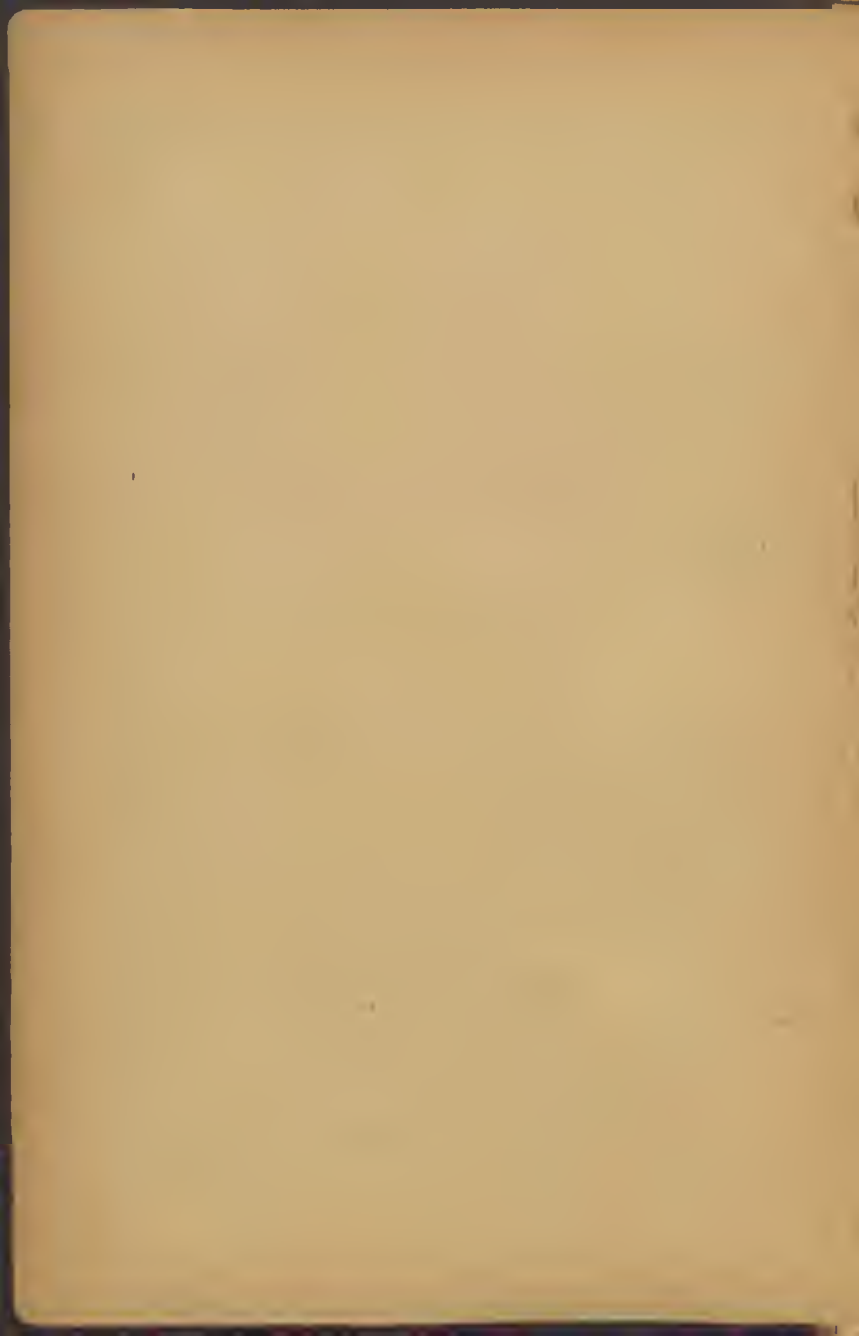
Sam stęskniony do gniazda ojczyzstego, autor należycie odczuwał i rozumiał wszystkie smutki i troski i całą niedolę swoich tulaczy, to też i umiał odmalować je z całą prawdą.

Żywot Kraszewskiego, zarówno jak i całą działalność jego literacką, należycie przedstawił Piotr Chmielowski w swym „Zarysie biograficzno-literackim”, wydanym r. 1888, gdzie podał w treści i ocenił między innemi i utwory Bolesławity; tu więc dość będzie wytłomaczyć jedynie źródło tego pseudonimu.

Paprocki w „Herbach rycerstwa” podaje, że Kraszewscy pochodzili z rozrodzonego szeroko rodu Jastrzębców, z których kilkunastu za czasów Bolesława Śmiałego oddanych było całem sercem królowi, za co ich, jakby na urągowisko, przezwano Boleszczycami; oni się wszakże chlubili tem przezwiskiem i tak da-

lece wierność swą posunęli, że wraz z nim zmazali się krwią Stanisława Szczepanowskiego. Ztąd też Kraszewski powieści swej z czasów Bolesławowskich dał tytuł „Boleszczyce”, a jako pieczętujący się herbem Jastrzębiec, zwanym także Boleszczyc, wziął sobie za pseudonim „Bolesławitę.”

Adam Pług.



Księga I.

1771.

Stary dwór - stary dwór - kto pamięta to gniazdo orle, które się dawniej zwało szlacheckim dworem polskim, a z którego źli ludzie i złe duchy uczyły nierzędu gniazdo i plamę na białej szacie męczennicy?

W sen to przeszło, w ideał, w powieść, którą u komina stary dziaduś opowiada, a wnuczęta zaś słuchane dumają, w duszy myśląc, że im może bajki mówi.

Przecież nie bajką jest jasna przeszłość, która w oczach naszych powoli konając, umarła.

I wieczny jej spoczynek w grobie, laurami i palmami obwieszonym - choćby go szatani i karły błotem obrzucać mieli.

Kto pamięta ów stary dwór i ówch starych ludzi, co chodzili w żelazie, a karmili się chlebem razowym i nie pili nic, jeno wodę? A mieli oręż, które

ludzi płatały na pół, i pokorę, co ich nad anioły wywyższała.

Wy—znacie tylko z przeszłości Polski jej grzechy i zmagi, a oczy wasze krecie nie mogą dopełnić jej wielkości.

I dziejopisarze wasi są malarzami brodawek na obliczu matki, a nie natchnionemi jej syny, co obraz odmłodzony, dziewiczy, noszą na piersi dziecięcej.

Kto zna tę jasną przeszłość naszą? Śmieją się szydersko, ukazując poszarpaną jej podszewkę — nie była ona nigdy szatą— a szata tkana była z purpury i złota... z poświęcenia i cnoty.

Od najlepszych czasów—plemię bohaterów, co chodzili w żelazie i na wskroś zzeleźnieli, trwało aż do czasów najgorszych, dożyło do progu dni naszych.

W progu dopiero skołał ostatni, rozdarłszy sam pierś, której kule nie chciały. A pogrzebiono go szyderstwami i potwarzą.

Pasmo wielkich mężów od Bolesławów ciągnęło się do panowania niemieckiego, które spoilo naród na heloty i wydało go w ręce obce, nim się wytrzeźwił.

Nie było przerwy nigdy, aż do dni ostatnich, ale było zaćmienie oczów krecich, które nie widzieć nie chciały i nie mogły.

Zdało się, jakoby cnota zmalala, a żyła pokryta żałobą i zawstydzona—i w grobie żyje, aby z niej powstała.

Nie umarła też wieść o mężach z cnoty i stali, choć wnuki, jako dzieci Egiptu, do ojców wielkich przyznać się nie śmieją, patrząc na gmachy przez nich wzniesione, i zapierają się dziadowskiej wielko-

ści, mówiąc:— To duchy wzniosły. Duchy olbrzymów siedzą u Bolesławowskiego stołu w pieczarze —i czekają słońca, aby zeń wyszły— na świat lepszy.

Patrzcie no, oto tam na dolinie, wśród pagórków i lasów otulony, posępny jak klasztor, krzyżami oblogosławiony, jak świątynia, śpi stary dwór szlachecki, co najdawniejsze dzieje pamięta.

Wzniósł on się na gruzach grodu i rozzieleniał sadami na wałach i po za wały; a dokola przytulił do siebie siola i wsie, i osady, aby im ojcowsko przewodził.

Inne to były czasy—tak—inne—aby zrozumieć je, Boga mieć w sercu potrzeba, nie ludzką rachubę. Tam wszystko było na cnotę obliczone, na wiarę, na poczciwość, na ludzi wielkich rozmiarów. Oddawała im ojczyzna w ręce drugih ludzi, bo wiedziała, że przycisną ich do serca, jako braci—i prawa mogło wówczas nie być, bo była cnota.

Stało ono wypisane w niebiosach, nie w księgach.

Gdy zabrakło cnoty, co spajała, budowa niezwiązana musiała runąć.

A nie prawa złe były —ale ludzie do nich nie dorosli. Maleli, maleli, aż z posłańców Bożych stali się kupcami potu ludzkiego.

Dokola tylko stare drzewa szumią, stare góry się przysłuchują, a młode potoki lecą, marząc o przyszłości.

W pośrodku dwór rozległ się szeroko, dostatnio i pańsko.

A jako po zakonie Bożym zbudowany, wzniósł sobie świątynkę po prawicy, krzyż nad czołem i krzyż z lewicy, aby Boga pamiętał.

Cichy wieczór młodej, chłodnej, ale wypogodzonej wiosny zstępuje na ublogosławione gniazdo z wonią świeżo poruszonej roli i rozmarzłej ziemi.

Wśród tej ciszy wieczoru słychać tylko jakby modlitewne głosy ludzi i zwierząt w jeden chór złane, na chwałę Tego, który jest.

Długa ulica lip pogarbionych, rozpuszczających gałęzie szeroko, sunie się czarnemi słupy od lasu do dworu...

W ulicy to krzyż czarny, to św. Jan w kapliczce ukryty, to Matka Bolesna na słupie, to Chrystus w cierniowej koronie siedzący.

Zbliżasz się, jakby stacyjnym gościńcem, do kościoła.

Kościół-ci to ten dwór szlachecki, bo się w nim życiem modlono od kolebki do trumny, gotując dobrze umierać.

Idącemu tą ulicą musiało serce poważnieć, bo czuł, że się przybliżał do tego przybytku, w którym hodowały się orlęta, Bogu poświęcone.

Na pagórku, wśród szerokiego podwórca, za bramą z obrazem Matki Boskiej, stał ów dwór o kamiennych stopach z drewnianych bierwion, z dachem wysokim, niby szyszak na głowie.

A wszedłszy wewnątrz, naprzód spotkałeś się, w którejby się i stu ludzi pomieścić mogło—i komin gościnny co ich ogrzewał.

Ale tu już stapać potrzeba było cicho. Od progu poczyniała się klauzura dworu i karność jego. Ludzie, którzy tu wchodzili, szli z mniszą pokorą, w milczeniu, choć z usty uśmiechniętymi i sercem rozradowanym.

Więcej siwych głów niż silnych bark, bo te pole ciągnęły, a siwizna stała na straży z niewiastami u domowego ogniska.

Wnijdźmy więc od proga dalej a patrzmy.

Na prawo stolowa izba— ściany w płótna odziane, a z nich twarze patrzą marsowe, surowe, asce-tów rycerzy. Na zbrojach krzyże, w ręku różańce.

Ta niewiasta włosiennicę nosiła wiek cały; owa lilia biała ślubowała się ubogim, więźniom i zapowie-trzonym; ten młodzian padł od Tatara, ów poległ w Moskwie, inny od niemieckiej kuli; tego męża, na haku powiesiwszy Turcy, strzelali do konającego przez trzy dni.

Tamtego niewierny poganin ściał, bo za niego okupu nie mógł wziąć jakiego chciał, trzeci zmarł, gnijąc w murach niemieckiej turmy...

Patrząc na nich, czytasz dzieje rodziny ofiarnej i wiesz, czemu ona siedzi dziś we dworze dREW-nianym, a nie na senatorskich krzesłach, gdzie szcze-bioca papugi.

Szereg to bohaterów męczenników, poemat to ofiar od Bolesławowskich czasów; w spadku wzięty obo-wiązek śmierci za ojczyznę. Ginęli wszyscy, a ostatni, by ich być godnym, tak zginąć pragnął, jak chcą żyć drudzy.

A nie byli to ludzie, o których szeroko piszą dzieje— wiedział o nich ledwie kronikarz domowy, co wieczne odpocznienie spisał dla kapelana, grabarz cmentarny, sąsiad o milę trochę—dalej nikt. Któżby się wówczas chlubił, że umiał umierać, gdy żyć da-remnie wstyd było?

W domu cicho mówiono o bohaterach, ze wsty-dliwością, aby nie posądzono ich, że dla chwały ludzkiej, nie dla imienia Bożego, poumicrali.

Szło w grób ciało, duch do niebios z palmą, a na ziemi błyszcząły łyzy rodziny tylko.

Od pomorskich walk za Bolesławów, od Ło-kietkowskich zapasów, jeden w drugiego ginęli syn po ojcu.

Trzy pokolenia na raz czekały dzwonu, wici, hasła, siedząc we dworze na Skale.

Skalą zwał się dwór Plutów.

Plutowie wyszli byli niegdyś z ziemi Wiskiej na Mazurach, tego rozsadnika, który szlacheckimi członkami całą Polskę obsadzał — ale z dawna już zasiedzieli w Krakowskim i tu dogorywali.

Chodziło to w żelazie dokąd mogło, a w żałobie po niem, gdy go nie stało. Ich powołaniem było walczyć i umierać za kraj; po to się rodzili.

Nie karmiono orłów słodyczami a ciszą, ale karmią twardą i cierpieniem ostrem, jak w Lacedemonie, a gdy dziecię rozumiało słowa, uczyło się pogrobów legend dziadowskich.

Osnuwały one kolebkę i jak mleko lwicy przepajały dzieci. Nawet niewiasty ich, gdy zapłakać chciały, szły ze łzami tam, gdzieby je Bóg tylko widział, bo mięknać nie było im wolno, aby synów nie zmiękczyć.

Byli to polscy rycerze zakonni, tacy, jako za prastarych czasów.

Trzy pokolenia żyły w Skale. Najstarszym był dziad Pluta... niegdy dzielny pułkownik, który stękał, że umrzeć nie potrafił, a wstydził się oblicza ojców, iż był starcem. Miał lat osiemdziesiąt i kilka; przyszedł na świat za owych to czasów, gdy Sobieskiego Pan Bóg posłał pokazać światu, jak to się biją dla imienia Jego na to, aby ocaleni wyśmiewali oliarę.

Stary był głową domu, a imię mu było Adam, jako ojcu rodzaju ludzkiego.

Choć do całego wieku niewiele mu zostawało, miał siłę hartowną niezardzewiałej stali. Tylko siwa, ogromna do pasa broda i łysa jak kość słoniowa czaszka, świadczyły, że wieku dożywał.

Gdy siedział pułkownik Adam, to mu się ramiona gięły i malał, ale gdy się podniósł a rozprostował, olbrzymem był jeszcze i gdy w rękę żelazo ścisnął — pękało.

Nie siły mu brakło, ale ochoty do życia.

Żonę postradał był dawno, a z syna żołnierza uczynić nie mógł. Za młodu jeszcze chłopczyzna, dośiadłszy swawolnego konia, obalił się z nim i nogę zgruchotał. Żle leczony, na całe życie kaleką z krótszą jedną nogą pozostał i chodził o kiju. Więc mu już przyszło, dziesięciu pokoleń rycerskich potomkowi, być hreczkosiejem i domatorem. A czuł to ojciec i on sam, iż w tem było znamie kary Bożej, jakoby mu rzekł Pan: Nie chcę was i waszej ofiary, a służyć wam sobie nie dam.

I na całe życie smutek osiadł na twarzy Jakóba.

Oblicze też Adama rzadko się uśmiechało, choć pogodą jaśniało zawsze.

Gdy go obcy raz spytał, wygnaćci chwilowego, coby za jeden był — „Miles christianus sum“ — odrzekł. W tem było wszystko.

Za ową salą, w której biesiad wstrzemięźliwości strzegły wspomnienia mężów wielkiej cnoty, była izba dziada. Okna jej wychodziły na ogród, przez drzew konary widać było kaplicę, tak, że gdy się jej drzwi otwierały, widział ołtarz i mszę, a gdy czasem chodzić nie mógł — bo go nogi naprzód opuściły (jako to zwykła w Polsce śmierć, braci ludzi od nóg poczynając, znać że za barki nie mogła) — słuchał mszy świętej z krzesła i klęcznika u okna. Zaglądał tu kościół, bo też to cela była rycerska, ta izba dziadowska.

Na stole przed nim zawsze dwie księgi: Pismo święte i Plutarch. Księgi pobożne i starożytne dzieje... W pośrodku stał krzyż, a na nim wisiał różaniec, który niegdyś bywał u pasa przy zbroi; różaniec z oliwek ogrójcowych...

W rogu anachorety łoże, skóra łosiowa, poduszka sianem wypchana i siennik nadziany słomą; nad łożem Chrystus, palma, ryngraf z Matką Boską, kawał zbroi z krzyżem, szabel dwie na krzyż i strzelba.

Naprzeciw łoża wizerunek kobiety w szacie czarnej, w kwefie białym, z książką, różańcem i kwiatem w dłoni.

Była to ta święta, co mu syna dała... którą on kochał w grobie tyle, co za życia, która mu żyła zawsze, choć od lat wielu umarła. Była to jego „panna“, tak ją zwał, z czystą bowiem dziewiczą duszą poszła na śmierć.

Dalej na ścianach obraz króla Jana III, wizerunek hetmański i święte obrazy.

Pod piecem kafłowym stała okryta ława, więcej nie było nic...

W oknie, otwartem ku wiosennemu powietrzu, siedział stary i dumał, księgę trzymał otwartą, a nie czytał, myśl go odbiegła a ręka silna się trzęsła, bo jej już silniejsza nad nią wola nie trzymała.

To było z jednej domu strony, z drugiej mieszkał syn i synowa i kobiety, tam się chroniło życie powszednie dworu, które gwarzyć musi i śmiać się musi.

Jakób, nie mogąc być żołnierzem, gospodarzył po żołniersku, ale też z sercem rycerskiem. Ilekroć na szablę a na konia spojrzał, to wzdychał, o kiju chodzić zmuszony, zmuszony siać i zbierać... a prowadzić żywot włodarski.

Gdy siedział, pan Jakób niemal tak wyglądał jak ojciec, tylko młodszy, posępniejszy. Truło go to życie ekonomiczne. czuł dopust Boży w tem, co go bogaciło.

Dwie izby, pańska i jejmościna, stykały się z sobą. W drugiej stały małżeńskie łoża pod kotarą i krośna, a na stole pobożne księgi.

Obok jejmości, pod jej bokiem chowały się dziewczęta ubogie, dalej była izba sług, apteczka, spiżarnie i czego potrzebuje dwór wiejski.

Jakób miał jednego tylko syna; tego już i dziad i on tak chowali, aby dług zapłacił za obu: za jedne-

go, że umrzeć nie mógł na polu bitwy, za drugiego, że konia nie dosiadł.

Ale go chcieli mieć dojrzałym, silnym, niżby mu dali błogosławieństwo na bój — i czekali a poili i karmili szpikiem swym. Matka pobożnością, dziad Plutarchem, ojciec pracą i trudem, domownicy przodków przykładami.

Chłopiec chował się w domu długo, ale wiedział ojciec, że młodemu ława szkolna, to pierwszy życia wzór i próba. Dali go wraz z ubogim chłopakiem sierotą do szkół, tylko patrząc, jak to rośnie.

A rośnie krzepko i bujno i gorące a niecierpliwe, ale posłuszne, karne, pobożne i zacne... dobra krew.

Rosło to na żołnierza chrześcijańskiego, jak dziad — silne, krew z mlekiem na twarzy, w sercu ogień i żelazo.

Czasem dziad dawał mu do łamania podkowę i milczał, gdy ją skruszył bez zaczerwienienia a wysiłku; czasem ojciec dawał mu chłód i głód do przeżywania, słuchając, czy się nie poskarży — a gdy milczał, był rad, ale nie chwalił.

Czasem i pani matka postem morzyła lub pomęczyła modlitwą. I byliby go uściskami zdusili z miłości wielkiej, gdyby tę miłość pokazać mogli.

Po staremu kochanie nawet w ryzie szło, aby od niego człowiek do zbytku się nie rozpieścił. W sercu mieszkając, skryta miłość ta rosła i silniejszą jeszcze była.

Cała się z nich składała rodzina — daleka tylko jejmościna krewniczka, sierota na wychowanie wzięta, kwitła także w tym cieniu.

Imię jej było Ewusia, lat poczynąła szesnaście, a wychowano ją w bojaźni Bożej i niewinności duszy i pokoju serca, na niepewne losy, na życia próby — sierotkę.

Któręż dziewczę na polskim zagonie, gdy je

rodzinne słońce ozłoci, miłość wyhoduje, pokój osłania, pięknem nie jest?

Ewusia też była piękną, ale zaledwo o tem wie działa. Jejmość zaręczała jej, że jest brzydką, dziaduś ją srodze musztrował, pan Jakób gderał, choć kochał. Tylko oczy i rumieniec młodego Karolka, gdy powróciwszy ze szkół, po dłuższem niewidzeniu spojrzął na nią, mogłyby jej były coś powiedzieć, ale dziewczę się złękło i nie zrozumiało.

Chowali się jak brat i siostra, nauczono ich żyć jak rodzeństwo, choć dobrze nikt nie wiedział, jakie ich pokrewieństwo łączyło i kto byli Ewusi rodzice, nawet jak się na dwór dostała i czy gdzie miała jeszcze rodzinę.

Ona sama nie pamiętała dzieciństwa, a przybrana jej matka unikała o tem rozmowy.

Ile razy Karol powracał do domu, coraz ją piękniejszą zastawał; naostatek zdała mu się ze wszystkich kobiet na świecie najpiękniejszą.

Ale o tem nie śmiałby był powiedzieć nikomu; ze strachu, aby się kto tego nie domyślił, nawet ra nią nie patrzył, z bojaźni, ażeby usta nie wypowiedziały czego nie chciał, nie mówił do niej z trwogi, ażeby nadto nie przylgnął, ucickał gdy ją zobaczył. Kiedy się przypadkiem zeszli, stali naprzeciw siebie jakby gniewni, a uchodzili co prędzej, drżący.

Taką była rodzina, ale w polskim dworze, stojącym gospodą, brama się nie zamykała. Kryto stół do wieczerzy, zostawiając zawsze miejsce wolne dla Bóże go zesłańca; był zawsze kątek dla obcego, wszelakie też kalectwa szukały tu przytulku, a chore serca lekarstwa.

Więc gdzieżby dwór taki bez ewangelicznych gości mógł pozostać?

Było ich poddostatkiem w Skale. Nikt nigdy tej Bożej czeladzi nie dał poznać, że była na łasce. w gościnie. Każdy biedny zwał się tu po stać i panem bratem, a co więcej, znajdował braterskie przyjęcie.

Był tam tedy stary rotmistrz Poremba, co o kiju się włóczę, już tylko przeszłe życie opowiadać umiał, jak pacierz jednakowo zawsze, tak, że to, co im mówił, już wszyscy na pamięć umieli, przecież go ludzko, mało iwie słuchali. Od lat piętnastu rotmistrz Poremba co wiosna wybierał się do krewnych na Ukrainę, a nigdy odjechać nie mógł — chociaż nie zrzekał się wyjazdu, owszem tem gorliwiej się gotował, im mniej było prawdopodobieństwa, że wyruszy. I temu coś już było w nogi wlało, nie przypuszczał wszakże, iż to go śmierć pętała, aby łatwiej obalić.

Był i drugi, garbus stary z długimi rękami i ogromną głową, którego kalectwo małość wzbudzało, a złości i żarty jeszcze nędzniejszym czyniły. Gdzieby go trzymano z tym spiczastym językiem, gdyby nie tu? Zwał się on komornikiem Krzywaczyńskim, liczył lat sześćdziesiąt, i jak tamten jechał ciągle, tak ten zawsze się miał żenić.

Uciulał był trochę grosza, ale jeszcze więcej złotych, której panny gorzej się obawiały niż jego garbu i szóstego krzyża.

Był naostatek gracyalista, wysłużony rządca, którego Bóg pokarał pijaństwem, zresztą najlepszy człek, ale nieuleczony bibula. I tego więc przytulić było potrzeba, bo niktby go z tym nalogiem nie trzymał. Jejmość go różnie leczyć próbowała od tej choroby, ale nic nie pomagało. Kubasiński wstrzymał się z czinem jakiś tydzień, ale go potem z karczmy przynoszono na rękach.

Po trzeźwemu był uśmiechnięty i najłagodniejszy z ludzi, ale gdy podpił, burdy wyprawiał straszne.

Była we dworze i stara pana, która lubila kanarki i koty, jakby dowieść pragnęła, że spragnione jej serce największe przeciwności razem pomieścić może, panna Kunegunda, śpiewająca nawet teksty światowe z lepszych czasów, a w kościele intonująca godzinki. Miała ona recepty na wszystko, chadzała po wsi gderząc i lecząc, nudząc, ale wysługując się, jak siostra miłosierdzia. Kunusia czasem na jejmość gderała... a zawsze była ze wszystkiego niekontenta. Miała biedaczka przysłowie. — Otóż to jest!

Pomniejszego ludu, kryjącego się w oficynach, na fulwarkach, we dworkach, wyliczyć trudno.

To też gdy w Wielki post, w Adwent, w Wigilię, w święta i niedziele dzwonek na modlitwę zawołał do pokoju obszernego przed garderobą, gdzie na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, ledwie się ta ciżba domowników do progu pomieścić mogła. Jejmość sama z księgą w ręku klęczała na przodzie, dalej sam się dwór po starszeństwie układał.

A choć nie było nikogo z gości, w pospolite dnie do stołu nakrywano więcej niż na dwadzieścia osób i mało kiedy było miejsce puste, chyba gdy komornik bardzo zły nie przyszedł; naówczas mówiono, że go zęby bolą.

Dwór w Skale był jak klasztor, widział tu każdy, co mu o jakiej godzinie czynić przystało; karność była wielka, porządek przykładny, nikt go nie złamał przez lekceważenie.

Z panem Jakóbem żartować było niebezpiecznie, a ze starym pułkownikiem, kiedy dobry był, mówiący drżeli; gdy marsa nastawił, słów brakło na ustach. Nie żeby tak surowym był, bo się nigdy nie gniewał i nie fukał, ale karał milczeniem. Kogo on nie widział, ten jakby już do dworu nie należał, nie miał tu co robić.

Jejmość też szanowano, jak anioła opiekuna, przez nią szły sprawy, prośby i instancje, ona wie-

działa, kiedy miłosierne słowo wyrzec do męża i ojca. Chodziła białą, uśmiechała się jasno, i zwaną ją białą panią po wsiach, bo się była od straty córki a narodzin syna skazała na tę jasną żałobę. Czarna być miała, ale męża i ojca oczom i sercu folgować musiała, bo ich kolor ten zasmucał.

Tak wyglądał ów dwór, orle gniazdo stare, ale wejrzawszy weń, ujrzałeś więcej dziwów i cudów; niżby się zrazu po tem obliczu prostem spodziewać można. Nie było tu popisu z niczem; często najlepszego szukać głęboko i domyślać się musiano, bo się kryło. Tu i surowy post się chował, i modlitwa tała, i dobrodziejstwa skrywały; życie szło pomiędzy niemi a Bogiem w tajemnicy.

Znał te serca może — jeden spowiednik, co patrząc w głębie ich, płakał z wesela.

Na tym dworze wychował się Karolek i przyszedł mu już czas może po ojcach wziąć szablę, na którą często poglądał pożądliwie.

Dziaduś pokazywał mu ją na ścianie, ale trzeba było do niej i wzrostem i sercem dosięgnąć.

Szabla to była stara... z pokolenia w pokolenie przekazywana, prosta, szeroka, biała jak srebro. Był na niej z jednej strony promienisty krzyż, z drugiej — *Pro Deo et Patria*, staremi głoskami. Rękojeść czarna, pochwa skórzana, żadnej ozdoby — za żaden skarbby jej był Pluta nie oddał.

Zwała się Saracenka.

Wiedzano o niej, że była pod Płowcami i Grünwaldem, że cudem z rąk konających na polach bitwy zawsze ją ktoś ocalił, że powracała, gdy ją już za zginioną mieli, jakby z wyznaczenia Bożego, do rąk dziedziców. Szanowano ją jak relikwię.

Z tem imieniem Saracenki w najstarszych testamentach zapisaną była. Głucho mówiono, że przy-

niósł ją antenat, co służył na wojnach krzyżowych. Jenó potem napis i krzyż dodano, aby pogańskie żelazo ku służbie Bożej ochrzcić.

Karolek miał lat dwadzieścia, serce mu do szabli i do konia drgało niecierpliwie. Czemu go nie wyprowadzono pobłogosławiwszy, któż to wie? Coś tam dziad z ojcem szeptali, naradzali się, a chłopak czekał... a pytać nie było wolno, a prosić?... któżby śmiał!

Karolek za zabawkę dosiadał dzikiego konia. siłę miał dziadowską, barki Adama, zręczność niezmierną, serce ogniste, ale naturę karną i oczy, co ciskały ogień i płomień, kapały się też czarem we łzach mimowoli.

Serce mu w piersiach biło, jak młotem, ale milczeć umiał.

Złe przyszły czasy, nie dziw, że ojciec i dziad i matka jeszcze się wahali, komu i gdzie oddać dziecko.

Od czasu, jak na Batorych i Sobieskich tronie usiadły pludry niemieckie, sprofanowany ów tron stał się wszelkich bezceństw stolicą. To, co nad krajem świecić miało, ssalo go i wycieńczało.

Aż przyszło do tego, że osadzono na nim dworaka i Francuza, co malować umiał, a cierpieć i rządzić nie umiał.

Była to już ostatnia klęska i ostatnia plaga Boża, co lalkę upudrowaną dawała rycerskiemu narodowi za króla.

Białe te ręce żelaza tknąć nie umiały, a z miękkiego gacha nie mógł rycerz wyrosnąć. —

Więc ludzie poważni źle wróżyli, mówiąc po cichu: — Chyba Bóg!

Jedni go zwali Stolnikiem Litewskim, drudzy Soliterem, co ojczyzny wnętrzości wyparał. Królem uznawali go ci tylko, co w sercu ojczyzny nie mieli, którą on za spokój i zgodę miał sprzedać.

Gdy przyszedł ten czas upokorzenia i upadku, że ów Piast na drwiny posadzony był na stolicy —

co było serc pocziwych, przeczuło, iż zbliża się uroczysta wicków godzina.

A choć weseliła się stolica, kraj przywdział żałobę. Ale owe stare orle gniazda wytępiły saskie łowy i pozmierala cnota bezpotomnie, a wielu ślepych i krótkowidzących ujęto strachem lub łaską.

I była Polska rozdzielona przez dzieci własne, tak, iż w niebezpieczeństwa godzinie na jedno serce, co zaszło krwią, dziesięć uśpiły fortele i mamidla.

Nie mogła skrzepowana macierz wstać cała, bo ją spoił i odebrał jej wprzód siłę ten, co jej chciał niecną gwałt zadać.

Wziął jej naprzód tych, z których szli Hetmanowie i Kanclerze, owe ramiona i one głowy potężne, co jak słupy i sklepienia ojczyznę podpierały. W starych gniazdach legły się bękarty francuskie, co szczebiotały, bo ryknąć nie umiały, i tańcować się uczyły, nie umierać.

Na bezdzietnych gniazdach sadzano przybłędów, na stolice biskupie brano ludzi, co w Boga nie wierzyli, dwór stał się salą balową, sejm więzieniem z bagnietami u wrót, życie stypą pogrzebową.

Gdy po wsiach żelazna szlachta do kościoła zbiegła na sejmik, co był dawniej z rady i natchnienia Ducha Bożego — siekli się koczownicy z Polaki starymi jak nieprzyjaciele i krwawili domy Boże.

Wreszcie poszedł głos jeden po dworach i po starych zamkach, na których rody dawne przetrwały: — Dopókiż pić będziemy wstyd i niewolę w domu własnym, a dźwigać kajdany? Policzyły się stare szablance i dłonie silne i serca pobożne, i rzekli: — Któż obroni ojczyznę, jeśli nie my?

I tak zawiązała się ojczyzny obrona, pod hasłem i opieką Królowej nieba i ziemi a Polskiej Korony.

Różnem szczęściem szło obrońcom, a widomie nieraz zwyciężało, bo była potrzeba próby, łez i cierpienia.

Warszawa z królem galantem stroiła się i wdzięczyła; na polach żelazni ludzie, z krzyżem na piersi, poczęli ten bój, który więcej niż cały wiek miał trwać nieustannie.

Nieraz wśród skrzypków i uśmiechów, jak grom cichy przyszła wieść od granic straszna, z ust do ust podawali ją sobie w tańcu dworscy, i lica bladły i ręce drżały, oglądali się tchórzliwie naokół.

Na rubieży w obozie razowy chleb z popiołem; w stolicy jedzono marcypany za obce pieniądze; tam brzmiała pieśń pobożna, tu niezbożne trele, tam umierano od kuli, tu z ran miłosnych. Król kupował arcydzieła sztuki, a prochu zebrano u sąsiadów.

I coraz więcej twarzy się sromało, a kraj coraz to szerzej plonął i były chwile, że król się zadumywał, że dworacy bladli, że tchórze szeptali...

Ale walka szła w przewłokę, a z polskimi sercami, niestety! umrzeć naraz łatwo, długo wytrwać, chyba cudem. Gdy jedni przystępowali, odstępowali drudzy. Królował w istocie ambasador.

Król był, ale go nikt pocziwy zrozumieć nie mógł; młodość, czy los rzezańcem go na sercu uczyniły, bo rozum miał, a woli mu brakło, bo miłości brakło i kameleonem czynił go strach i grzeszność.

Miał on godziny skruchy i dnie grzechu — czem był w istocie, dotąd nikt nie wie, anioł chyba w dniu sądu przeważyć potrafił, co więcej zacieży...

Więc targali go jedni i drudzy, panował nad nim ten, co stał bliżej, i co go nie za cnotę trzymał, ale za wady i słabości jego.

Kiedy od granic przyszły słuchy o Krasińskich, o Pułaskich, król zadrżał, zapłakał (lży miał łatwo). Tymczasem Sułtan zaopiekował się konfederatami.

Z różnem szło szczęściem przez lat kilka; z za granicy to dmuchano na ogień, by go rozżarzyć, to

zalewano, by zgasić, a król drżał, bo mu to utrapienie nawet spokojnie zabawić się nie dawało.

Z powodzeń i klęsk tkane dzieje już kilku imionami jaśniały; znano w narodzie Pułaskich, Krasińskich, Branickiego, Kossakowskiego, Sawę, a młodzież niecierpliwsza przekradała się ku nim różnemi drogami. Szczęście służyło różnie.

Przyszło do tego, że coraz mnożyły się klęski, ludzie serca ze spuszczonei głowy chodzili, jako w dniach żałoby — co począć! Powtarzano słowa X. Marka, który był zwiastował zwycięstwo, a potem prorokował — kary; albowiem ujrzał, że rycerze chrześcijańscy mieli w sercach pogańską ambicję i szatańską zazdrość ku sobie i przeoblekali się w ludzi popolitych.

W Skale milczano o wypadkach, zwłaszcza przed Karolem, przed którym tajono, co się działo... Dziad i ojciec tak się zdawali ostygli, iż chłopak nie wiedział, co myśleli, ale zgadywał, gdzie serce ich było. Przed nim ledwo się kto odezwał i — uciał.

Było tak przecież, że na pierwszy odgłos o konfederacyi Adam i Jakób zeszli się u pułkownika nocą i zebrali co było grosza, potopili srebra, jejmość oddała stare klejnoty; razem to wszystko cicho a tajemnie posłano do Generalności.

Przed Karolem jednak dziad zakąsywał wargi, ojciec milczał — choć Karolek wszystko wiedział. Nie było dnia, żeby mu co do ucha nie przyniósł Poremba, Krzywaczyński, Kubasiński lub kto z dworaków. Wieści te, co z daleka na orlich skrzydłach leciały, były do podróży przybrane, strojne, błyszczące, cudowne; świetne a jasne; wielkimi w nich występowali rycerze Królowej polskiej, z barkami w skrzydłach, bohatersko.

Serce do nich gorzało — a Karol słuchając i nie mogąc sam biec do nich — smutniał bardzo; walczył się w tem powietrzu starego dworu. — Czytywał dziadowi Plutarcha, wieczory długimi słuchał opowiadań o pradziadach. — Gdy w sali jadalnej przeszedł pod wizerunkami tych, co pogrążyli z Saracenką w dłoni, mówili mu oni, co go czeka. Był ich nieodrodnym synem.

Gorzało w nim coraz mocniej, a ojciec i dziad milczeli.

Było to milczenie wielkie i święte, jako próba Boża nad człowiekiem, albowiem ojciec i dziad w ten sposób hartu duszy jego próbowali.

Ojciec go chciał dawno do pana Puławskiego posłać, ale stary powstrzymał.

— Mospanie Jakóbie — rzekł — albo dojrzał już nasz Karolek, to się swego obowiązku sam domyśli, albo jeszcze nadto młody, to go tam dawać zawczasu.

— Posłuszne dziecko — mówił pan Jakób, nie pójdzie bez zezwolenia.

— Acan tego nie wiesz, bo jesteś kulawy kaleki nicborak — odpowiedział pułkownik — nie byłeś w tem, jako ja. Czekałem ci, czekałem, żeby mnie jegomość wysłał, aż gdy dobrze na wojnę zawrzało, myślałem — to i mnie poślą, krew kipiała, nie posyłali. Wreszcie jednego dnia uchwyciłem konia i z domu rodziców uszedłem. Rodzic bo na rzeź dziecka nie da, byłaby to ofiara Abrahama. Jeśli Karol doścignął już do służenia ojczyźnie... pójdzie on sam! pójdzie! A tego ja chcę, aby ofiara była pełną, dobrowolną i aby ją Bóg błogosławił. Patrzę nań, nie podżegam, milczę, już tam w tem sercu wre... jeno Boga proszę, aby mu się powiodło jak należy. —

Dał tedy pan Jakób pokój, ale pilniejsze niż kiedy mieli oko na młodego, który latał, zbierał wieści, smutniał, męczył się, aż wreszcie sobie rzekł:

— Nie wyprawiają mnie, no, to pójdę sam... przebaczą mi!

Poremba z całego dworu o konfederacyi najlepiej był uwiadomiony; była to wielka przyjaźń między nim a Karolem.

Ale stary był trochę zdrajca. Bo co z synem gadał wieczorem na ławie pod gankiem, to nazajutrz rano ojcu odnosił—a ojciec milczał. Aż je lnego rana rzekł panu Jakóbowi:

— Albom ślepy, lub już oto nadchodzi godzina, że nam Karolek zbieży.

Czekał odpowiedzi Poremba, nie otrzymał żadnej, pan Jakób głową pokiwałszy, wyszedł. Wtedy pomyślał sobie stary żołnierz:—Nie chcą się przeciw woli Bożej, niech się dzieje...

Chłopcu nie mówił ani tak, ani owak, chociaż z pewnych znaków miał za pewne, że Karolek już długo nie posiedzi w Skale.

Trudno było w tym karnym dworze, gdzie wszystko szło w ład i skład—przygotować tę ucieczkę—Karol sobie głowę łamał, sposobów szukał.

Starzy, z kątów zaczajeni, patrzyli, widzieli wszystko, a zdawało się, jakby nie domyślali się nic a nic.

— Ma być ofiara—powtarzał pułkownik—niechże będzie całą, własnowolną. Aby na wojnę pójść, cóż młodemu potrzeba?

Konia miał Karolek, którego mu dziadek darował, a był szpak po tureckim stadniku, ognisty i łagodny, jak panienka, do swego pana przywiązany, jak dziecko; jadł z rąk, głos znał... latał jak ptak, chodził jakby oczy miał w nogach.

Siodło mu huzarskie sprawiła matka z wszelakin do niego przyborem; podróży bowiem inaczej, jak konno, nie odbywał Karol. Szablę starą ojciec mu był dał, składną, lekką, ale to nie Saracenka. Tę Plutowie zwykli byli uroczyście synom oddawać

z błogosławieństwem, z obrzędem. Kłękał młodzieniec, modlono się i dopiero szablę ową przypasywano. Ale trzeba było na tę cześć i zaufanie zasłużyć.

Karolowi już tak, jakby na Madejowem łożu; z dniem każdym rosła gorączka, ręce łamał, włosy rwał, dopóki sobie nie powiedział w ostatku:

— Pójdę! wszakci mi przebaczą!

Gdy raz to sobie postanowił w ciszy serca swojego, począł się zaraz ostrożnie gotować do drogi.

Nieopodal w okolicy Krakowa snuły się oddziały konfederatów, kręcili się i rosyjanie, i pan Branicki im pomocny, ale przedrzeć się przez nich z pomocą Bożą było można.

Nikomu swej myśli nie zeznał Karol, ale już w nim dojrzała, patrzył chwili. Gdy mu już przyszło ten kąt spokojny opuszczać, w niepewną walkę się rzucić, na chwilę się zawahał, potem poszedł, pomodlił się i znów do drogi gotował.

Na wszystko to oczy dziada i ojca patrzyły, w czystej twarzy chłopięcia czytały, jak w zwierciadle—milczeli oba.

Była znów chwila, że ojciec uląkł się, serce mu zmiękło, chciał już powstrzymać, ale dziad nie dał.

— Jakóbie, słuchaj mnie Waszmość, nie godzi się—rzekl.—Jam życia nie dał, ty nie mogłeś, on ojczyźnie dług spłacić musi... aby na nas plamy nie było... Niechże płaci dobrą wolą...

Matce też popłynęły z oczów łzy, bo i ona o wszystkim wiedziała; wstrzymaćby była pragnęła lub przynajmniej wyprowadzić baczno—i ją przecież ukolysał dziad.

— Niewiasto a matko—odezwał się do płaczącej—kobiety spartańskie same na wojnę dzieci w zbroję opinały i mówiły im:—Wracaj zwycięzcą albo nie powróć mi lepiej. Tego ja od ciebie nie chcę, ale mu przeszkód nie stawiaj. Módl się i patrz, co Bóg uczyni.

Matka milczała, otarła łzy i była posłuszną, jak nawykła—ale w sercu?!

Karol sądził, że nikt nie wie o niczem, krył się z zamiarem swym, bojąc się, aby mu nie przyszkodzano. Miał tylko jednego powiernika, który go zdradzić nie mógł: tym był Staszek Kulik, chłopak od szkół jego towarzysz, przyjaciel, sługa i powiernik.

Za onym dworem pańskim ku wsi, stała chata stara, na poły w ziemię wpadła; mieszkał w niej niegdyś młynarz Kulik, co go było młyńskie skrzydło porwało i bez duszy o ziemię cisnęło. Żona jego, Kachna, niegdyś dworsko służyła; mieli tylko jedno dziecko, tego bladego Staśka. Gdy to nieszczęście padło na chatę, Stasić był małym chłopięciem—został sierotą. Wzięto go do posług panicza do dworu, z nim też Stasić pojechał do szkoły i pomiędzy sierotą a paniczem zawiązała się przyjaźń taka, że Stachby był życie dał za Karola, a Karol w ogień rzucił za swojego służkę.

Rośli razem rówieśnicy; Stasić nawet nie pojmował, aby go kiedy mógł odstąpić, Karol, żeby się miał obejść bez niego.

Gdy przyszła stanowcza życia godzina, owa w ciszy osnuta wyprawa na wojenkę, nie mógł się też Karol obejść bez Stacha, jemu się jednemu zwierzył, a chłopiec pomyślawszy, rzekł:

— A no, toć pójdziemy razem!

Knuli tedy już spisek wspólnie, a szło oporem. Bez grosza się puścić nie było można, dla Staśka też konia i rynsztunku brakło.

Ale poczęły się dziać istne cuda. Jednego poranka dziaduś rzekł do wnuka:

— Czemu to Stach z tobą nie jeździ, gdy w pole z chartami ruszasz... pewnie konia niema...

A po chwili dodał:

— Konia mu ze stajni dać; pożyczanym sposobem na nic, bo go schlaszcze, zimarnuje; jak swój mieć będzie, poszanuje lepiej. Jak ci się zda deresz, to wytrwał konisko? he? Gdyby tę szkapę sobie Staszek wziął? Tylko powiedz mu, niechże jej jak oka we łbie strzeżę.

Aż w ręce pocałował dziada Karol, tak mu to przyszło w porę.

Niechże mu i siodło z masztarni dadzą, porządne, huzarskie, czarne z rzędnikiem surowcowym... aby ci też wstydu nie robił... Oklep nie pojedzie, a raz wraz pożyczać...

Przywołano Staszka, przybiegł i plackiem do nóg upadł staremu, który dodał:

— Tylko mi deresza pilnuj, bo plagi! Koń gorący... Koń, mój panie, przyjaciel, a nie sługa—nie wolnik, koń brat i druh... dobra szkapą życie daje człowiekowi... rozumieć ją... ale kochać trzeba.

Tak tedy Stach naprzód dostał konia wcale niespodzianie.

Ale w drogę bez grosza nie było ani podobna, ani przystojna ruszać, a z kąd go wziąć? Nie brakło na potrzeby Karolowi, obyczaj jednak był taki, że się z każdego grosza musiał rachować. Naprzód wziąć więcej nie było powodu, nuży się domyslili!

Matka wprawdzie w dzień narodzin Karola dała mu sto czerwonych złotych, które jak z nieba spadły, a dając powiedziała:

— Nie wydawaj ich, schowaj, niech będą na wielki przypadek, abyś mógł dobry uczynek spełnić bez wiedzy naszej, gdy ci to serce powie.

Było tego dosyć na drogę, ale to macierzyńskie czerwone złote! Jak je po świecie rozproszyć—zawahał się Karol.

Był to lepszy uczynek, jak pójść z niemi na wojnę? Tymczasem znów, nie wiedzieć jak się trafiło.

że na tydzień przed wyprawą przyszedł Abraham, stary arendarz w Skale, do dworu i do stancyi Karola z pokłonem.

— Mam do jasnego panicza bardzo wielką prośbę—rzekł pokornie.

— Do mnie?

— A no, tak... tylko proszę mi nie odmawiać. Panicz wie, że mam maleńką córeczkę Ruchlę, która teraz dopiero piąty rok zaczyna. U nas taki zwyczaj, że się na posag wcześniej zbiera. Otóż mi się dla niej już trochę złota uciulało.

Karol słuchał, nie mogąc zrozumieć, o co idzie.

— Jasny panicz niechaj do siebie weźmie to złoto... a później mi odda... Za lat... dziesięć... Ja nie potrzebuję ani pisania, ani dokumentu... a z procentem to się obliczymy... niech to sobie leży u panicza, bo ja tak myślę, że to mi przyniesie szczęście. Żyd, zwyczajnie jak żyd, jest zabobonny, otóż ja mam taki zabobon... żeby koniecznie to było w rękach u panicza.

Karol aż się zarumienił.

— Kusiciu — rzekł, śmiejąc się — lepiejbyś to oddał ojca memu, albo matce... a mnie to na co?

— No, to jest żydowski zabobon—rzekł Abraham... Na co? albo to można wiedzieć, kiedy pieniędzy potrzebny? To się może zdać.

Spojrzał Karol, zląkł się, czy go żyd nie odgadł lub po judaszowsku nie próbował.

— Ale pieniędzy mi ojciec daje...

— To ja wiem... ale...

I położył zielony woreczek na stole żyd a kłaniał się. Karol drżał jak liść, ów prosił a prosił.

W woreczku było złotem obrączkowem dukatów dwiescie. Nic dziwnego, Abraham był bardzo bogaty.

Karol się wahał, opawiał, naostatek uściskawszy

żyda, wziął; posadzał go, że się coś domyśla, ale był pewien, że nie zdradzi.

Nie wiedział, iż te czerwone złote tegoż ranka z rąk jego ojca wyszły.

Tak mu się wszystko dziwnie składało, jakby go sam Pan Bóg wyprawiał.

I on i Staszek już byli nawet dzień postanowili... nadszedł on... wszystko stało w pogotowiu.

Dziesięć może razy tego dnia Karol do stajni zaglądał, szpak rżał zdrów, rażny... serce mu biło, myśląc, jak go dosiędzie i poleci! oh! poleci!

Ale jakże tak pojechać bez błogosławieństwa, bez pożegnania?

I tęskno też było porzucić tu wszystkich i wszystko na długo... nie wiedząc, kiedy się powróci, a nawet czy powróci. Więc choć radością biło serce młode, chmura wisiała na czole. Chodził smutny oglądając kąty wszystkie,, jakby je żegnał.

Pod wieczór już zszedł do ogrodu... wiosna była wczesna, na niektórych drzewach tryskały listki zielone, pod stopami szmaragdami słała się murawa, a w krzewach osłonięte zakwitły pierwiosniki...

Pomiędzy drzewy zdała zaświeciła biała sukienka... ulicą szła Ewusia.

I tę mu dziwnie sam los nastrecał, aby ją Karol, jak brat, mógł pożegnać, sam na sam, bez świadków, swobodnie a rzewnie.

Zbliżywszy się, zadrżeli oboje, Karol chciał uciekać, a znalazł się o krok tylko... Ewusia w tej chwili zdała mu się tak piękną, jak może, może nigdy jeszcze.

Miała białą sukienkę i kapelusik prosty, słomiany z różową wstążką. Dwie ma długimi kosami spadały jej warkocze na białe ramiona. W niebieskich oczach śmiało się niebo; w ustach malutkich

igrał dziecinny wdzięk niewystawiony. W rękę niosła cały pęk kwiatów wiosennych... a Karol spostrzegł, że ręka ta drżała.

Gdy się zbliżyli i stanęli przeciw sobie... długo im wargi drżały, a słowa przemówić nie mogli. Karol powoli, sam nie wiedząc co czyni, wziął ją za tę rękę drżącą, której w życiu jeszcze nigdy tknąć nie śmiał... dziewczę pobladło, on dostał głowy zawrotu. Przyłożył usta w milczeniu do ręki, oczy się ich spotkały.

— A! panie Karolu! — szepnęło dziewczę.

— Ewusiul!.. ja... ja ci tylko chciałem powiedzieć dwa słowa.

— A! to może co strasznego!

— Nie — nie... to żart...

— Czyżbyś żartował — ze mnie?

— O! niechże Bóg broni! nie z was! to tak! Wy nie wiecie... to sekret dla wszystkich, ja może za kilka dni wyjadę... może... otóż chciałem was pożegnać... tylko was! bo o tem nikt wiedzieć nie będzie.

— Jakto? jedziecie bez wiedzy państwa! potajemnie? a! to bardzo źle...

— Ale bądź spokojną... to nic złego, ręczę wam... później dowiecie się wszystkiego... Ja wam tylko na odjeźdźnym chciałem raz powiedzieć, że kocham was jak brat... i chciałem was spytać... Wyrazy umarły na wargach, oczy je zastąpiły.

Dziewczę pobladło, jak marmur, a potem zaczerwieniło się jak wiśnia.

— Ja was kocham, bardzo was kocham, Ewusiul! tak jak nikogo w świecie kochać nie będę... ale wy? wy?...

— Ja, panie Karolu! o mój Boże... ja pana kocham jak brata... — odrzekło dziewczę nieśmiało — ale doprawdy... strach mnie jakiś ogarnia...

— O! nie bój się! — zawołał Karol, ośmielając się -- a powiedz mi, czy mnie tak zawsze kochać będziesz... czy nie zapomnisz o mnie?...

— O! nigdy! nigdy! — odpowiedziała Ewa.

W tem miejscu rozmowy, jakby straszny grom, rozległ się głos matki:

— Cóż wy tu tak rozprawiacie?

Matka stała tuż, o krok, uśmiechnięta, ale z oczyma łzawemi... może się też domyślała czegoś. Przybliżyła się do wychowanki.

Karol miał tylko czas dać jej znak, aby go nie zdradziła. Promienna chwila życia minęła, powoli szli napowrót ku domowi—nie śmiejąc już oczów podnieść na siebie.

Tymczasem Staszek biegł ze dworu do chatynki za ogrodem, do matusi, wdowy młynarzowej. On ją tylko jedną chciał pożegnać... na świecie nie miał więcej nikogo, a gdy zobaczył ją na progu, na sercu mdło mu się zrobiło... A! bodaj te wojny, tych ludzi!...

Matusz była blada i nędzna... chora, kaszląca, a nie miała na bożym świecie nikogo, krom jego jednego.

Podszedł ku niej, kręcąc w palcach słomkę, ze spuszczonemi oczyma.

— Matusz kochana, może ja z paniczem gdzie pojedę... coś mi się widzi, że on się wybiera, a juści mnie weźmie, bo choćby nie brał, to go nie opuszczę... Przyszedłem was pożegnać...

— A! panicz jedzie! dokądże? — spytała wdowa z trwogą.

— Albo to mnie wiedzieć — rzekł Stach, który, choć wychowany po szkolnemu, z matką mówił jak prostaczek. — Teraz po świecie straszne się rzeczy dzieją... kto wie dokąd... a no wojna!

- A! juścić nie na wojnę!
- Kto tam wiedzieć może!
- Matka w milczeniu płakać zaczęła.
- Czy wiedzą o tem we dworze?
- Ale nie, uchowaj Boże.

Stara zarzuciła mu ręce na szyję, w duszy myślała:

— Trzeba pójść matce oznajmić o tem, co się święci, i ona ma jego jednego...

Serce jej biło... płacząc, poszła wyjmować z węzłków co miała, aby dać synowi, ale Stach nic przyjąć nie chciał.

— Wam się tu zda, a mnie panicz z głodu nie da zdychać!

Przyjął tylko, pokłękawszy, medalik z Matką Boską Kalwaryjską.

Siedzieli długo z sobą, a coraz matka mu na szyję się rzuciła i ścisnęła i płakała...

Potem Staszek zerwał się, padł do nóg, zapłakał i uciekł, bo musiał powracać do dworu.

Ledwie znikł za drzwiami, a stara plachtę zarzuciła na ramiona i leciała już do dworu. A stanawszy w izbie kobiecej, kręciła się biedna, jak tu dostać do jejmości.

Wpadła do sypialni ukradkiem ułękła, drżąc i do nóg jejmości.

— Moja matko, moja dobrodziejko, straszne się tu rzeczy knują... bodajżby nam panicz ze Sztaszkiem nie uciekli. Mój mi się przyszedł dziś, oto przed chwilą, żegnać. Juścić nie mogłam tego przenieść, żeby nic przyjąć, a mojej dobrodziejce nie oznajmić.

Spojrzała jej w twarz, siedziała pani, wstrzymując płacz, nie śmiejąc zapłakać.

— Przywiduje ci się i twemu Staszekowi, młynarzowa moja — rzekła powoli — Karol dla nas nie ma tajemnic — bądźcie spokojną...

— Pewnie? — spytała kobieta.

— Bądźcie spokojną — dodała pani Jakóbową. — Bóg łaskaw, a co on poda do serca człowiekowi, i co się czyni z modlitwą i krzyżem... złe być nie może, nic sprowadzi nieszczęścia.

Potem łzy się puściły obu, pani już mówić nie mogła... rozeszły się przybite, smętne, ale w duszy spokojniejsze.

Karolek błdził po dworze, jak dusza czyścowa, wszystko mu teraz inaczej w oczach stawało... żegnał ludzi, miejsca, sprzęty, przecież nie uległ żalowi.

Do izby pułkownika, który modlił się siedząc w oknie, wszedł Poremba i chrząkając, stanął w progu. Nie była to jego godzina, wkradł się jakoś cicho i ostrożnie, pułkownik nań spojrzał, dokończył Zdrowaśki.

— Cóż tam, mój stary?

— Czołem pułkownikowi...

— Masz jaką potrzebę?

— Nie... tak — słóweczko.

— Bez ogródki, mój stary, co ci potrzeba, mów.

— Mnie nic, ale są święte obowiązki, nie darmo się wasz chleb je; trzeba, żebyście w czas wiedzieli, co się święci... Oł, boję się, żeby Karolek nie uszedł, kipi strasznie i coś bardzo do konia dziś latał...

— He? co? — zapytał stary — przyśniwa ci się.

— Lękam się, żeby to nie było prawdą.

— A ja nie, dziecko karne, toby się tak nie wykradło — rzekł pułkownik.

— Ale w takiej sprawie?

— W jakiej sprawie?

— Któż to z nas z domu nie uciekał na wojnę!

— Prawda — rzekł pułkownik — ale po co ma uciekać? Wie, że mu tego nie wzbronia, gdy przyjdzie czas.

— Ale, z pozwoleniem pułkownika, dzieciak, to mu się łeb pali... nie wytrzyma. Mam poszlaki przygotowań pewnych...

— O! o!...

Pułkownik głową potrząsnął i zamilkł.

— No, no, — rzekł po chwili — wola Boża, bądź spokojny, Poremba. Bóg zapłaci za twą przyjaźń, ale... nie! Już ja ci powiadam — nie.

— Jakto nie? — odparł stary.

— A no mówię ci, nie?

— Nie, to nie! — kłaniając się, powtórzył Poremba.

— Wiecie tam co o sprzymierzeńcach króla? — przerwał pułkownik — gdzie się obracają?

A no, wszędzie się tego snuje dosyć, dziś tu, jutro tam.

Stary się zadumał.

Poremba stał u drzwi, chrząknął znów, by na siebie zwrócić uwagę.

— Spełniło się, co obowiązek kazał — rzekł — przepraszam pułkownika — więc pokłon i z powrotem.

Dziękuję ci serdecznie — dodał dziadek — Bóg zapłaci. Ja to choć siedzę w kącie, widzę ztąd wiele, ale niema nic, wierzaj mi, nic...

Gdy wyszedł Poremba, pułkownik znów się począł modlić i posmutniał.

— Jednak — myślał — z rodu naszego ostatni... ale tem większa ofiara. Co Bóg przeznaczył, niech się stanie... tylko go bez Saracenki nie puszczę...

Ale jak mu ją tu dać? Jak mu dać...

Zadzwonił, zmierzchało, wszedł chłopak ze świecami pod umbrellką i w progu rzekł, jak to był oby-
czaj, gdy wnoszono światło, na pamiątkę Chrystusa, który światło przyniósł na ziemię:

— Niech będzie pochwalony...

Na wieki...

Gdzie panicz! Karolek?

— Jest pono w pokoju...

To mi go tu poprosić...

Po chwili otwarły się drzwi i wszedł Karol blade, trochę zmieszany. Stary nań popatrzał.

— Gdzieżeś to waszeć bywał, com ja cię tak długo nie widział?

— Nie śmiałem dziadkowi przeszkadzać.

— Albo to ty nie wiesz moich godzin?

— Słuchaj no — dorzucił po chwili namysłu — a jam ciebie tu właśnie potrzebował... Wszak to tu od ogrodu, jak się drzewa rozrosły, wilgoć się zakrada do mnie; trzebaby mi broń poczyścić i oliwą trochę potřzeć, bo już się plamki od rdzy pokazują...

— Rdza? tutaj? — spytał Korol.

— Tak, i co najgorzej — jeszcze mi gotowa do Saracenki się dobrać, bo tu wisi na ścianie, a w tej ścianie wilgoć... już się boję o nią.

Karol pokraśniał, serce mu uderzyło, spojrzął, wisiała staruszka na swem miejscu.

— Ja to sobie myślałem — począł pułkownik — że może jużby ci ją powierzyć czas... ale mi tu na ścianie dziurę zrobi, oczy nawykły patrzeć... Jakąż ty masz szablę?

— A starą, tę, co od dziada.

— E! kujawiackę! prawda! dobra, dobra, ale zawsze to nie Saracenka! nie! — dodał, zdejmując powoli relikwię — To mospanie, klejnot... nie wiem, ile pokoleń Plutów ją nosiło, nie jedna ją kropla krwi pogańskiej odżywiła... Tę szablę z życiem się chyba oddaje...

— Słuchaj, Karolu rzekł po namyśle... przynieś no mi tamtą kujawiackę... zobaczę... może i pohandlujemy... bo się tej rdzy boję...

Karol, jakby go rzuciło, poleciał, i w mgnieniu oka z ową swoją powrócił. Stary ją dobył, popatrzał, świsnął.

— Dobra, składna — rzekł — ale zawsze to nie Saracenka... utrzymana porządnie, czysto... lubię

tak! No, no! to ci może pora i najdroższą... pożyczyć...

Karolowi serce biło, mało się nie wyrwało z pierśsi, załamał dłonie i padł na kolana przed dziadem.

Pułkownik z wolna podniósł do góry szablicę.

Łza mu padła na żelazce; ale ją stał prędko rękawem.

— Daj—ja ci sam przypaszę...

Staremu ręce się trzęsły, ale spał rapcie na Karolu.

— A teraz—rzekł, ręką trąc czoło stary —idź, Saracenkę odnieś, swoją mi tu powieś i nikomu o tem nic... rozumiesz, bom ci ją... pożyczył!

Co się działo z chłopakiem, nikt nie wypowie... dla niego były to cuda... Szablę, szablę tę, o której marzył, dostać tego wieczora... gdy o północy miał się puścić w drogę—nie byłże to cud prawdziwy?

Powracał rozmarzony do dworu, gdy dzwonek, na wieczerzę wołający, dał się słyszeć...

Dziaduś rzadko lub prawie nigdy na wieczerzę nie chodzał, bo jej też nie jadał, już mu bowiem na sen szkodziła.

Bywały jednak dnie, że się przywłókł dla gawędy, a wówczas przysuwano szerokie krzesło, skórą obite i miejsca swojego ustępowała mu pani Jakóbową, czasem pół kieliszka wina wypił i chlebem zakąsił. A była to wielka uczta dla wszystkich, gdy się stary pokazał, słuchano go pilnie, bo mówił o dawnych czasach... Miło było siwą jego brodę widzieć przy tym stole.

Otóż i tego dnia cudów, gdy zadzwoniono na wieczerzę, pułkownik też zadzwonił i kazał się do stołowej sali przeprowadzić.

Powoli już się tu cały dwór zbierał. Był i Ber-

nardyn, kapelan i stary ubogi szlachcic podróżny, wołokita, co nigdy nie mijał. Skąty przyszedł z nim Poremba, zwłekli się garbus i Krzywaczyński i panna Kunegunda, nadeszła wreszcie jejmość z Ewusią i pan Jakób o kiju, z ekonomem razem.

Stół był długi, skromnie zastawny. Nim zasiędlili, stali wszyscy przy swych miejscach, a bernardyn modlitwę odmawiał, chleb wieczorny błogosławiąc. Pułkownik zwykle swe miejsce zajął w końcu stołu, dalej przy nim pan Jakób, Jakóbową, za nią Ewusią, przy ojcu Karol, tuż rzędem mężczyźni i kobiety, każdy wedle wicku i znaczenia. Kapelan wedle reguły zakonu św. Franciszka, przez pokorę, zajął ostatnie miejsce od szarego końca.

Dzień to był, jakich mnogo w roku, nie uroczystego nie odznaczało go, przecież czuli wszyscy, że ta chwila jakąś stanowczą, ubłogosławioną była. Twarze oblekła powaga i smutek spokojny, chylący się pod dłoń Bożą, usta się otworzyć nie śmiały, długie milczenie trwało po modlitwie. Obcy tylko szlachcic, akomodując się, pierwszy począł mówić o konfederacyi i konfederatach. Słuchano go wśród ciszy, Poremba czasem słowo wrzucił, Bernardyn drugie... rozmowa nie szła.

Coś wionęło po wszystkich, jakby dziwnym duchem tęknoty...

Gdybyś im w oczy popatrzył, to choć usta się śmiały, tu i owdzie łza powicki wilżyła, ale zakręciła się i wypłynąć nie śmiała... zgorzała w oku...

Usta drgały.

Ojciec spoglądał na syna, a obawiał się, ażeby jego wzroku nie doszedził, matka go jadła oczyma, bała się, żeby tego nie dostrzegł, niespokojnym wzrokiem mierzył go Poremba. Tylko dziad rażny, wesół, nalawszy kieliszek wina, odczuwał się do przybyłego szlachcica:

— Mój Mospanie, a co? wypićby może za zdrowie i sukces panów konfederatów. Ale między nami... po cichu...

Berdardyn dodał po cichu:

— „Fiat! fiat!“

Szlachcic wstał, pokłonił się i duszkiem wychyliwszy, kieliszek na dłoń przechylił, na znak, że kropli nie zostawił.

O temby dużo mówić nie trzeba—dodał pułkownik — ani co się dzieje, ani gdzie, bo źli i głupi uszy mają, drudzy i języki długie... a wojna nie cierpi zbytniego paplania... Nie tyle zdrada, co płochością ludzie giną... Bogu ich polecić i— sza!

Obnoszono potrawy, mało kto je tknął, patrzali się wszyscy, udawali, że jedzą, tylko Poremba, Krzywaczyński, szlachcic podróżny i bernardyn dotrzymali placu. Matka ledwie chleb złamała, w usta jej nie szło...

— Siedzimy coś jak mruki! — odezwał się pułkownik, choćby nie o konfederatach, byłoby o czym pogadać... Tak, nic potem...

— Ponieważem się tu do was zwrócił, wypiję jeszcze kroplę za wasze zdrowie i powodzenie.

Spojrzał zdala na Karola i ustami dotknął kieliszka.

Syn i synowa w rękę go pocałowali, zatem wieczerza zbliżyła się do końca. Staruszek posunął krzesłem, bernardyn wstał i począł modlitwę dziękczynną odmawiać... Wszyscy poszli ucałować rękę gospodyni, ścisnąć dłoń gospodarza. Gdy Karol przystąpił do matki, uczuł, jakby jej ręka drżała... mimowolnie schyliła się, dotknęła usty czoła jego.

Zwykle po krótkiej chwili rozchodzili się wszyscy.

Karol uczul zbliżającą się godzinę uroczystą rozstania, na jak długo? nie wiedział. Może na życie całe! wzruszony, niespokojny, to na rodziców, to na dziada, to na Ewusię spoglądał.

Czuć było jeszcze we wszystkich dziwny smutek i tęskne jakieś usposobienie, boleśne; twarze oblokła powaga uroczysta, czoła były posępne, cisza, jakby anioł przeleciał, towarzyszyła tej chwili.

Dobranoc szedł Karol oddawać każdemu z osobna, tym razem dziadek kazał mu się jeszcze odprowadzić do swego pokoju.

— Chodźże no waść ze mną!—rzekł.

A gdy wstąpili na próg komnaty i stary siadł w krzesło, pułkownik popatrzał nań długo.

— Przypomniałem sobie—rzekł że jeszcze ci się coś do Saracenki należy... kto ją nosił, ten brał i ryngraf z Matką Boską... Zdejmże go sobie i powieś tymczasem nad łóżkiem.

To mówiąc, ścisnął go dziad za głowę, wskazał na ścianę i rzekł poważnie.

— Dobranoc, chłopcze—dobranoc.

A dopiero, gdy się za nim drzwi zamknęły, pułkownik, łzę otarłszy, krzyż pański za nim posłał.

Nie było to wszystko cudem? Karolowi w głowie się płatało, serce coraz biło mocniej...

Poszedł do matki, ale ta słowa wymówić nie mogła, aby się nie rozpłakać. Gdy ją w ręce całował, przycisnęła głowę do piersi, a sama, gdy się drzwi zamknęły, poszła wprost do kłęcznika. Z drugiego pokoju widać było z za uchylonych podwoi bladą twarz Ewusi... Karol skinął jej głową i ręką, i tak pożegnali się milczący.

Naostatek wszedł do ojca; pan Jakób siedział jak przybity, z głową spuszczoną. Podniósł ją, gdy syn wszedł, na twarzy widać było smutek i troskę... podał rękę synowi wedle obyczaju i pocałował go, nic nie rzekłszy.

— Nie ma ojciec nic do rozkazania?

— Nie, dziecko moje, niech ci Bóg błogosławi we wszystkim.

Odwrócił się.

— Dobranoc.

Teraz już Karol leciał do swojej izdebki, gdzie na niego miał oczekiwać Staszek. Małeńkie juki wcześniej porobione były, ale pochowane pod łóżka. Trzeba jednak było czekać, aż się wszystko uśpi we dworze, by konic po cichu wywieść ze stajni i niepostrzeżonym puścić się w drogę... a godziny wlokły się tak powolnie.

Pierwszy raz w życiu, puszczając się w świat, jakże bije serce młode! Nie jest to bicie na trwogę, ale niepokój siły, która po raz pierwszy niecierpliwa spróbować się pragnie.

Karolowi paliła się twarz, Staszek był smutny. Obraz matki, starej jego matuchny zapłakanej, stał mu przed oczyma; żał mu było spokojny kąt opuszczać, ale panicza za nicby nie porzucił.

Wszystko było gotowem.

Wyjrzeli oknem raz, czy nie pogasły światła we dworze; paliły się świece u starego pana, widać było blask od okien jejmości, na górze, w okienku u Ewusi, błyszczało jeszcze... w sieni dogasał ogień na wielkim kominie.

Wśród ciszy ze dworu starego słyszeli, jak zegar wybił jedenastą.

Karol męczył się z wyczekiwaniem i już chciał się w drogę wybierać, bo i suknie zmieniać musiał, gdy zastukało w sieni, drzwi niespodzianie skrzypnęły i wszedł, rozglądając się po izdebce, Poremba.

— Cóż to? jeszcze nie w łóżku?—zapytał.

— Rozbieram się właśnie—rzekł, rzucając na prześladowcę prawie dzikie wejrzenie Karol, ale czemuż wy nie śpicie?

— Ja? at! głowę mi nabechtał szlachcic, prawiać o konfederatach, że się spać odechciało. Pomyślałem

sobie, zajrzę, co też się tu u was dzieje, bom czegoś niespokojny...

— No? czegoś? o mnie? — opryskliwie spytał Karol.

— No, no, nie gniewajcie się—sza—no, nic, nic, panieńku—rzekł Poremba... at w starym czerepie lęgną się dziwolągi.

Ale dajże mi spać—zawołał Karol.

To też tylko dobrej nocy życzę...—Wyszedł wreszcie, Stach i Karol spojrzeli po sobie.

— Ten coś już zwąchał —zawołał gorąco Karol — idź ty mi za nim i patrz, czy się spać położy.

Minał dobry kwadrans, we dworze jeszcze ten i ów się kręcił... noc była choć ciepła, ale czarna i posepna, wiatr chwilami zawiewał nagle i znów po nim cisza, jakby co przeleciało i znikło —kiedy niekiedy z pośrodku ponurych chmur błysła gwiazdeczka i zgasła.

Nareszcie na podwórzu, we dworze, wszystko usnęło, światła z kolei po jednym pogasły, tylko na górze u Ewusi ciągle jeszcze błyszczało. Karol, zrzucawszy odzież codzienną, przywdział kurtę, buty, pas, pistolety, szablę Saracenkę przywdział z uczuciem dumy do boku, ryngraf pod szyję, ręce mu się trzęsły... Staszek i on wzięli juki i cicho na palcach wysunęli się ze dworu.

Przechodząc dziedziniec, obrócił Karol oczy na stary uśpiony dwór; zdało mu się—ale to było złudzenie, że z okna na górze cień jakiś się wysunął i ręka z chustką powiała... Nie! Któżby go mógł dojrzeć w tych ciemnościach?

W stajni, dziwna rzecz, konie zastali gotowe; nie wiedzieć kto je bez rozkazu posiadła... to była zagadka.

Staszek, trochę po wiejsku przesądny, zląkł się. Złą to, czy dobrą było wróżbą?

Jeszcze kroków parę, a między tym światem cichym, któremu zegar wybija powolnie godziny, a nowym, dzikim, strasznym, nieznanym, stanie przepaść nieprzehyta...

Dosiadłszy szpaka, odwrócił się Karol ku dworowi.

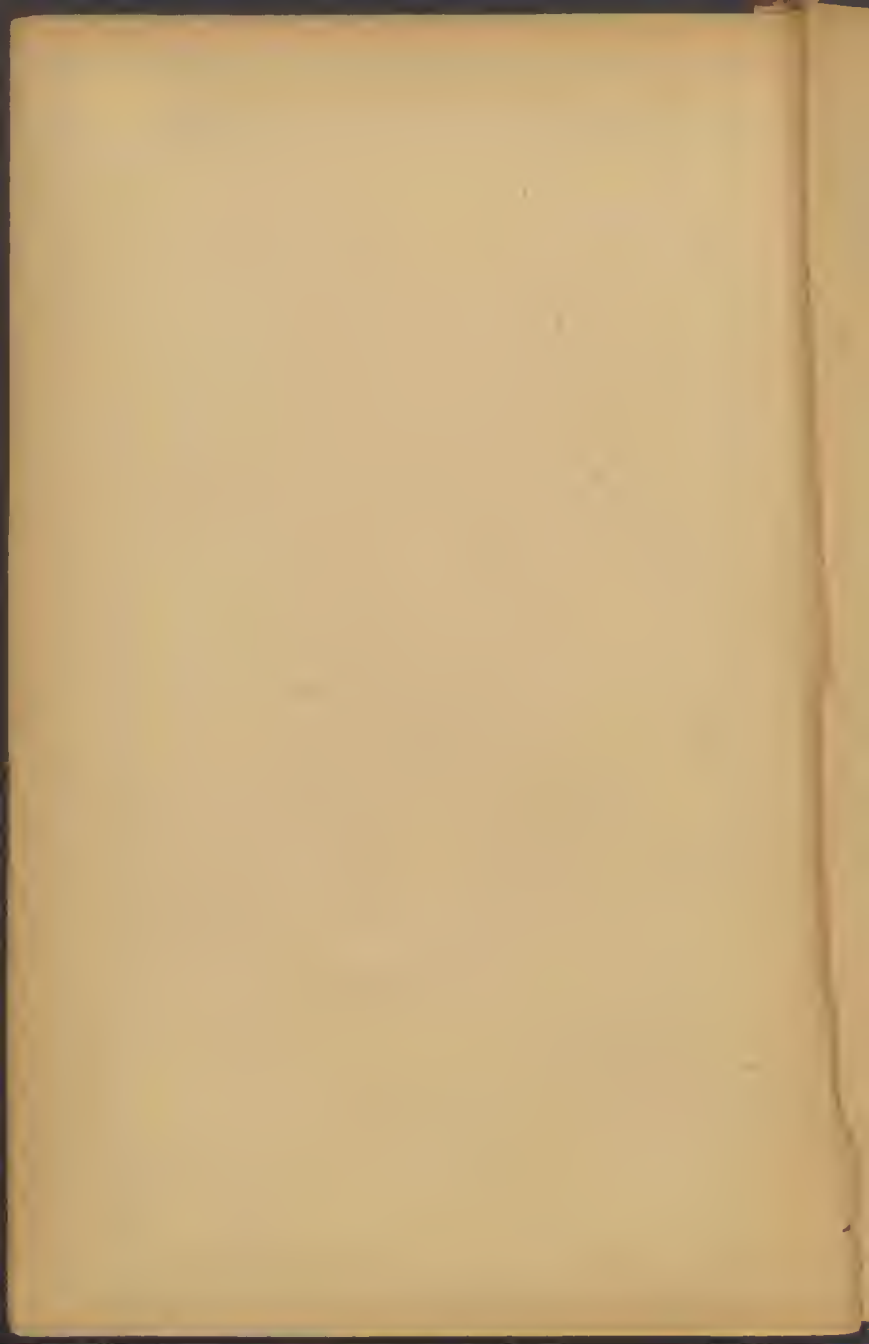
— Żegnajcie mi! żegnajcie! — zawołał w duszy; niech błogosławieństwo Boże spoczywa nad wami, kochany dziadzie, rodzice i ty — gwiazdeczko moja! Niech nic spokoju waszego nie zakłóci!

Spiął konia ostrogami i nie odwracając już oczów ku czarnemu dworowi, śpiącemu w drzew kolebce, rzucił się boczną drogą, dobrze znaną; dwa konie pokłusowały szybko, chrapiąc i parskając...

Wśród ciszy nocnej ucho starego wojaka, dziada Adama, pochwyciło tentent głuchy i znów w tę stronę krzyżem gonił za zbiegiem.

— Błogosławieństwo Abrahama i Jakóba...

Powtórzył, łąza srebrna spadła na siwą brodę.



Księga II.

KONFEDERACI.

Są wielkie w dziejach godziny, przygotowane wiekami, rozciągające dłoń swą na wieki; czuje ludzkość gdy nadchodzą, chociaż nie włada niemi i z pod ich jarzma wybić się nie może. Pchają one w przepaść, którą widzi upadający pod stopami, ale się już powstrzymać nie może.

W łonie lat tajemniczo gotuje się ta przyszłość i wystrzela jako liść roślinny nad ziemię, a rośnie w potężne drzewo.

Napróżno rozum ludzki chciałby życia wodze pochwycić—sądzi on o przebieżonej drodze, ale jej przygotować nie umie. Często na opak całkiem to, co przeznacza ku budowaniu, służy ku ruinie. Gdy klęskom zaradzić pragnie, tylko swą bezsilność wyprobowywa.

Ta walka wiedzy człowieka z jego losem, to fatalizm dziejowy, ciągnący się od lat tysięcy.

Nie mogąc złamać starożytnego *Fatum*, chrześcijaństwo położyło na nim krzyż i stało się Opatrznością.

Myśmy słabi... w gruzach już widzi oko nasze jasno, co było przyczyną upadku, lecz gdy pokruszyć się miały, kto baczył?

Azali kiedy pomogły przestrogi proroków i głosy wołających, i rozumu przestrogi, i jęki tych, co przeczuwali upadek?

Ponad ziemskie walki... stoi na siedm pieczęci zawarta księga prawa Bożego... a nikt nie czytał w jej kartach, póki się nie spełniały wyroki.

Jak nad ciałem człowieka nagle tkniętego ręką Pana, który padł pośród drogi bez życia—staje gmin i patrzy, i rozprawia, kędy weń weszła śmierć i jako nań zstąpił piorun—tak nad rozpadłym trupem narodu stoją wieki rozumu ludzi i żale ludzkie rozprawiając—dlaczego żyć nie mógł?

Ale życie narodu, jak żywot człowieka, tajemnicą jest.

To, czem żywot się posługuje, narzędzia jego są jawne dla oczów ludzi—ale duch, co w nich żywie i niemi rządzi—zagadką jest Bożą. Tylko wielkiej boleści potęgą i jasnowidzeniem proroczem odsłonić można błyskawicznie tajemnicę Bożą—ale odkrytą nawet, kto dojrzy, obejmie, wypowie?

I umierają narody jako ludzie, a śmierć ich płaczą wieki, nie pojmując jej, i kładą się do grobu narody uspione, omdlałe a żywe, około których gmin rozprawia umarli, czy żyją?

Któż to powie — a kto kiedy zbadał tajemnicę Bożą!

Taką tajemnicą był żywot Polski.

Pozostała majestatyczna przeszłość, tak niepojęta, jak niewysłowioną jest boleść teraźniejsza... zagadką.

Nad ciałem stoi tłum, jedni krzyczą i wołają: umarł! drudzy płaczą i szepcą: żyje!

Straszna godzina Bożych wyroków spełniła się na Polsce.

Nic dramatyczniejszego nad te chwile, przygotowujące walkę wickową.

U progu ich, jakby ślepotą rażony, naród zabywa swych tradycji, wiary swej, przestaje ufać w swą siłę, blednicze, omdlewa, słańia się w konwulsyjnych ruchach, szukając sił do potargania więzów — a słabnie.

Przybiegają ze wszzech stron lekarze i szukają formuły zbawienia.

Każdy z nich jasno widzi przyczyny upadku, każdy je przecie inaczej określa, wreszcie znaleźli mędrkowie defekt organiczny i zawyrokowali: — Życie mogła.

Dlaczegoż wieki z nim żyła? Czy on wzrósł? czy ona zmalala? Kalcką więc będąc, była potężną, silną, zwyciężką przez dziesięciowiekową przeszłość?

Nie — alście wy ślepi, ludzie rozumów i rachunków chłodnych, i nie zajrzeliście w tajniki żywota — niedostępne waszemu oku.

Wzięliście księgi z literą prawa i rzekliście, że w prawie tem tkwił zaród śmierci.

Dlaczegoż żyjąc nim, była potężną i świetną?

Widzieliście tylko to, co było napisane, co martwą było gloską, hieroglifem — ale żywot Polski nie zawierał się cały w tem, co napisane było... a tradycye dopełniające wywietrzały i znikły.

Dotknął Bóg właśnie tem, że ten duch, co ożywiał prawo, co je poruszał... co stanowił istotę narodowego życia, zatracon został... Reszta jest niezrozumiała, bo stała się niepełną.

Ostatnim czynem starej Polski, w którym tradycya wciela się jeszcze i przychodzi do najostateczniejszego szczytu wielkości — jest Sobieskiego ofiara — dla nieprzyjaciela!!

Jest to ostatnia też cpopeja nowszych dziejów...

epopeja chrześcijańska, heroiczna, na tle polityki egoizmów i materyalizmu.

Polska zamyka swój żywót rycerski a chrześcijański... ofiarą — i jakby po tym wysiłku wyczerpała się cała, upada znękana i bezsilna.

Dzicjopisarze w tym bohaterskim czynie zaparcia się widzą tylko szaleństwo — dowód, jak im cała przeszłość jest zakrytą i niepojętą.

Ale od chwili, gdy ręką Jana spełnił się ów najświetniejszy czyn poświęcenia, podjęty dla idei, na korzyść tych, co nazajutrz do rannych obrońców swoich u wrót Wiednia strzelali — ciemności ogarniają nieszczęsną Polskę. Poczyna się krzyż narodu, od dwóch panowań, które do reszty ścierają z jego czoła znamiona starego posłannictwa... Wszystko powszednie, maleje, spada, karłowacieje. Co było wielkiem, przeradza się w dziwaczne, co było heroicznym, w dziecinne, jakiś paraliż odrętwia członki tej społeczności, idącej samopas.

Wodza nie ma, myśli nie ma, Bóg poskapił posłannika, tłumacza, Mojżesza, któryby wiódł przez pustynie.

Stu uczonych geografów układa drogi — ale któż natchnienie wiedzą zastąpić potrafi?

A natchnienie zostaje przeklętem, ludzie wystygli zowią je chorobą, obłąkaniem.

Życiem chorobliwym, nie swoim już, nie cudzem, ale potwornie skoszlawionem, żyje Polska za dwóch Augustów, którzy ani języka, ani idei narodu poddanego sobie nie rozumieją.

Jest to niewola, w której aby żyć, swego żywota wyrzec się potrzeba. — Maleją ludzie, drobnieją pokolenia — ostatek spuścizny duchowej ulatuje.

Naród, co zgubił myśl przewodnią, szuka jej w puharach, i znajduje w nich odżywienie serca i dłoni... ale nie ducha. Wśród biesiad palą się czoła

— ale Bóg pomieszał umysły, oślepił oczy, szable krwawią bratnie piersi.

W łonie tego chaosu rośnie cudzoziemskim rozumem karmiony maleńki człowiek.

Jest to mąż, jakiego potrzebował Bóg na pokaranie narodu, piękny, uśmiechnięty — dobry a zepsuty i zgniły, bojaźliwy a spartańską cnotę ceniący tylko na starym włoskim obrazie. Żelazo go przestrasza, ale nie kradzież i rozpusta... byle w koronki była strojną i mówiła po francusku.

Stanisław woli być występny, niż okazać się nieprzyzwoitym i niegrzecznym. Gdyby mu dawać przyszło takie charakterystyczne imienisko, jakie nosili Śmiały i Chrobry, stosowniejszego znaleźćby niepodobna nad — Stanisław Grzeczny.

Jest to mąż nowej epoki, który nie wierzy w nic, a ma na sobie tylko zeszlą skorupę Polaka, obwieszoną lachmanami błyszczącej cywilizacji.

Kocha słowo, pismo, poezję, muzykę, malarstwo — ale się brzydzi czynem. Człek to malowanego życia, cały sztuczny, ze sztucznem uczuciem i rozumem, ale jako automat Vaucansona, w swym rodzaju, arcydzieło.

Ilekróć do czynu wzywa go dzwon wiecowy narodu — błędnie i idzie szukać pociechy w kunszcie, który odtwarza fałszywe wizerunki życia. Fatalność, co tego wycieńczonego gacha na tron rzuciła — rozbudza naród; poczyną się on wysilać do życia — ale rozpusta dwóch panowań bezmyślnych — strata tradycji, pchają na fałszywe drogi.

Słup ów ognisty, co wiódł naród przez wiekowe pustynie — zagasnął, każdy go chce zastąpić swoją latarnią... z latarniami idzie naród w dalszą drogę, w smutną drogę błędów. Łada wiatr gasi te latarnie... w wielu oleju zabrakło, zanim się w drogę puścili.

Rozpoczyna się tragedia od tego wyboru. Pierwsza to scena dramatu nieskończonego po dziś dzień.

Któż potrafi odmalować tę epokę i tego króla wzdychającego z hetmanem Ogińskim i hetmanową Branicką nad nieszczęściem ojczyzny?

Polska — wstaje nareszcie, porusza się — ale w ciemnościach nie wie, kędy ma iść, szuka u obcych światła, u obcych pomocy, pieniędzy u obcych i oręża; u obcego mędrca nowej praw księgi...

W niedostatku tradycyi żąda od rozumu, aby jej formułę życia stworzył... rozum, jak Albert Wielki, smaży jej Homunculusa — bez duszy.

Im dalej, tem historia króla i narodu stają się niezrozumialszemi — jest w nich dwie twarze, które się sobie sprzeciwiają nieustannie. Zaledwie się wpatrzyłeś w jedną, już ci wykręciła się głowa i pokazała drugą swą stronę, która tak jest białą, jak tamta była murzyńską.

W każdym z tych Polaków skarłatych jest niemal dwóch ludzi, a niema — człowieka... jest jeden, dziecko przeszłości, który w zetknięciu się z jej duchem na chwilę odżywa i drugi, stworzonko teraźniejszości, bojąc się, aby ona go nie pożarła.

Książę Józef odsyła orderzy stryjowi i dymisyę, a opuszcza szançe dla imienin faworyty,

Wiek to niezrozumiałych sprzeczności i uorganizowanego chaosu.

Nawet najszlachetniejsze charaktery, najjaśniejsze umysły mają chwilę zwątpienia, omdlenia i upadku, jak najslabsi mają godziny podźwignienia i przejrzenia... Ale nie nie trwa... wszystko się kruszy... Dzień jeden nie jest przepowiednią drugiego, jest jego zaprzeczeniem.

Lat cztery, cztery wieki targa się naród w pętach... są to lata epopei i poświęceń. Poświęcenia te, poczęte jasnością wielką, spadają gdzies, topiąc się

jak meteory na trzęsawiskach i błocie, jak gwiazdy spadające, które lgną w zatechłych kotlinach...

Po jasnych wstęgach bohaterstwa, czarne smugi niedołęztwa.

Shakesperowski dramat, w którym Hamlety ocierają się o Poloniusów... a krzyk bóleści graniczy ze świstem ulicznego szyderstwa.

W chwili, gdy rozpoczynamy opowiadanie nasze (dramat wiekowy) — wysilek ludzi, przysięgą związanych w Barze, już wyczerpywał się i zwiastował rychły ich upadek.

Pierwszem złowrogiem oznajmieniem jego była klęska Stolorowicka.

Zwyciężonym był człowiek, który do ostatniej godziny zwlekał odwagę, nie śmiejąc wyrzec, po jakiej staje stronie.

Resztki barskich żołnierzy i francuskich dowódców (bo nam i na wodzów nie stało) były się jeszcze bez nadziei wygranej.

Radzić trzeba było na obcej ziemi, bo w swojej kąta nie mieli bezpiecznego. Generalność nosiła się z Turcyi do Preszowa, do Cieszyna, do Białej, po węgierskich, szląskich i niemieckich potem grodach.

Wielka rozsypka narodowa już się poczyniała, puszczali się wszyscy na zebranie po Europie, po dworach, po gabinetach, po przedpokojach, ofiarując Polskę za małą cenę, jako rzecz, którą chce dłużnik od wierzyciela wykupić. Nikt nie chciał tego klejnotu, który blask swej idei utracił, dyament ten wydawał się szkłem przepalonym.

Na Jasnej Górze w Częstochowie, w tem miejscu, co widziało cudowną obronę Kordeckiego, siedział jeszcze Kazimierz Pułaski... ale on jeden może z całego zastępu miał tę wiarę, co Szweda krzyżem i mołitwą pobiła... I on nawet słabszym uwieść się dawał,

i on znęcił się na porwanie króla — lalki z rąk Salderna w nadziei, że go konfederacya potrafi przerobić na prawdziwego pomazańca Bożego.

Wiedzano w istocie, że to był król, z którego każdy robił, co chciał, płakał i śmiał się, byle go kto o to pięknie poprosił.

Naówczas odegrał się ten tajemniczy dramat w stolicy porwania, uwięzienia, ocalenia...

Pomięte koronki odchuchawszy, król z uśmiechem zaręczał, że byłby, zawieziony do Częstochowy, nawrócił elokwencyą swą konfederatów, jak oni ręczyli, iżby byli przerobili króla.

W tej historycznej zagadce do dziś dnia jest ciemno... to pewna, że ona zwiastuje upadek związku, a posługuje wielce królowi.

Głucha przelatuje wieść, że część tej teatralnej historyi podrobioną była umyślnie, aby królowi wyzyskać oklaski i współczucie dlań obudzić.

Scenicznie to wygląda.

Tymczasem we Francyi, która już przysposobiła się być tą starszą siostrą Polski, jaką później została — zmienili się ludzie, potrzeby, kochanki i gorące współczucie dla biednego kraju. — Turcy także nie potrzebowali już posługiwać się barskimi rycerzami.

Rozbitki tułały się po Europie, nim dzwon ostateczną rozproszczenia uderzył godzinę. Kasiński z Turcy jechał do Waradynu, z Waradynu do Preszowa; Ogiński szukał spoczynku w Saksonii i wygodnego kąta u Niemców.

Ostatki konfederatów w walce z samemi sobą, stały patrząc nie w niebo, ale na ziemię.

Codziś rycerz ubywał, wódz odpadał, wygnaniec nowy się zjawiał, zwyciężony uchodził.

Brakło człowieka; najczystsze, Pułaskiego, złała i zgmiotła listopadowa komedya z królem, Kasińskiego spór z Potockim, Zarębę strach o wioski i dwór.

Zwolna sznury wojsk przemożnych sąsiadów wpajały się w martwiejące ciało rzeczypolitej.

Takim był koniec 1771 roku i początek 1772, gdy długo wyczekując chwili pochwycenia za broń, Karol wreszcie nocą ubiegł z rodzicielskiego domu.

Dla niego, dopóki stał w polu jeden żołnierz i trwał bój, była zwycięstwa nadzieja — młodemu sercem nie liczył on wojsk, ale ufał w dobrą sprawę.

Noc była czarna, posępna, ale cicha... w powietrzu już załatywało tchnienie wiosny... dwa konie leciały drogą, jakby przeciw losom biegły. W stronę ku Krakowu było najbliżej, ale gościńce przecięte... przedrzeć się trudno i niebezpiecznie... Umysł młody wabiła Częstochowa, Jasna Góra, z jasnym wodzem, chorągwią i nadzieją.

Tamby był chciał iść walczyć... ale jak się do stać przez snujące się kupy żołdactwa, które po gościńcach pładrowały i chwytaly, nie wiedział.

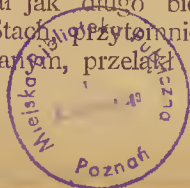
Pobożne dziecko sądziło w dobrej wierze, iż ten Bóg, co mu dał natchnienie, powinien go być sam zawieść na miejsce przeznaczenia jego.

Nie szukał więc przewodnika, było nim — serce wielkie.

Zdało się Karolowi, że byle wyszedł w pole, duch, co go natchnął, ręka niewidzialna ująć go miała i powieść na boje... konia nawet nie wiódł sam, bo go już zwierzył tej dłoni. —

Od tej chwili cwałował jakby snem ujęty... był w gorączce, żył marzeniem, przed którym przełęka rzeczywistość cofnąć się musiała.

Nie wiedział jak długo biegli i w którą stronę od Skały, gdy Stach, przytomniejszy od swego pana, czując się zblakany, przelaskł się o Karola. Kilka-



kroć starał się wykrzykiem cichym napróżno zwrócić jego uwagę. — Koń i jeździec cwałowali niepowstrzymani.

Wśród nocy ciemnej ledwie drożyny widać było. Karol, czy koń jego, wybierał zawsze najmniej dostępną, najdziksza, jakby chciał uniknąć pogoni za sobą.

Wistocie, Karol podejrzewał, że podejrzliwy Porremba musiał czatować i mógł gonić, dopaść, doprowadzić: myśl sama krwią mu twarz oblewała, czoło sromem.

— Panie, panie! — odezwał się wreszcie Stach po długim biegu, zaczynając się rozpatrywać w okolicy — panie, wszak to my zajechaliśmy gdzieś pod Ojców ku Pieczarom... a nam trzeba było pono gdzieindziej...

W istocie wśród ciemności nocnych ukazujące się skały coraz wyższe, zwiastowały górzystą okolicę... Karol odwrócił się, nie wstrzymując konia, obejrzał nic nie widząc i westchnął.

— Gdzieindziej — rzekł — tak, może chciałem w inną stronę, ale Bóg nas gdzie każe poprowadzi. Co się ma stać z Jego woli, to się stanie... Co mi tam... byłem na chorągiew swoją i braci mógł trafić! pierwszy lepszy wskaże nam gdzie jej szukać. — Powiedz mi lepiej, czy daleko jeszcze do dnia... długo nas jeszcze ta ciemność oślepić będzie?

Stach, wiejskie dziecko, przywykłe zegara dnia i nocy szukać na niebie, po gwiazdach i zorzach szukać godziny, popatrzył w niebo, o ile chmury i las dozwalały.

— E! chyba jeszcze do dnia daleko! — zawołał — o północy ledwie, konie okrutnie zhasane... Drugie kury jeszcze nie piał...

Tych słów domawiał, gdy konie się nagle zachnęły i głos zabrzmiał nad uchem:

— Stój! kto jedzie? Hasło?

— Hasło! hasła nie mamy — zawołał Karol z wybuchem radości: — Hasło! na co mi hasło!

— Zkądże jesteście? z jakiego oddziału?

— Z żadnego jeszcze... ale jutro będę należał do waszego, jeżeli wy należycie do konfederacyi — rzekł Karol. — Jadę się zaciągnąć. Prowadźcie mnie do obozu.

Niewidzialna ręka w ciemności schwyliła konia u pyska.

— Zabaczmy! — odezwał się głos — za mną! do obozu.

Przewodnik szedł spisznie, konia z jeźdźcem wiodąc za sobą.

Niecierpliwe chłopię próżno mu zadawało pytanie, niewidzialny ów żołnierz milczał lub pomrukiwał coś niezrozumiale.

Chwilami zdawało mu się, że idąc, kończył jakąś rozpoczętą modlitwę.

Wszystko to cudem świeciło dla Karola.

— O mój Boże! — powtarzał.

Stach, trochę więcej strwożony, niespokojny, jechał za panem milczącym.

Gdy się na pagórek nieco wdrapali, a jaśniejsze niebo ukazało, przewodnik malował się na nim barczysty, szerokich ramion, zbrojny, z czapką, po której poznać było można konfederata... Nad barkami sterczała mu strzelba i lekkie drzewce z proporczykiem.

Lecz zaraz puścili się znów w gęstwinę czarną i ścieżyną wąską drapali pomiędzy skałami, aż stanął niewidzialny strażnik i dał hasło.

— Jezus, Marya, Józef.

Na głos ten z lewej strony góry wysunęło się kilka milczących postaci czarnych, których rozeznaczyć było niepodobna, i po chwili otoczyły Karola i Stacha. Nic słysząc, nic widząc nie było... czuli tylko, że koń-

mi nie władli, bo je wiedziono dalej. Po chwili ktoś zbliżył się i rzekł:

— Z koni! do pułkownika!

Karol zeskoczył spiesźnie, serce mu biło.

— To mój łuzak, ten przy koniach zostanie — rzekł — ja za dwu idę.

Nie było więcej pytań, ni rozmowy; przed młodzianem szedł jeden, za nim w ślad drugi; ścieżka ich wiodła gdzieś w ciemności ku górze. Mówiono o obozie, ale nigdzie ani ogniska, ani śladu obozowiska dostrzedz nie było można.

Noc czarna, posępna załęgła dziką, pustą okolicę, zarosłą krzewami, obnażonemi jeszcze, zarzuconą obrywami wzgórz opoczystych... Gdzieniegdzie dojrzeli coś naksztalt ścieżynki wąskiej pod wysoką skałą nagą, to znów wspinali się pomiędzy obrywy, parowami i spuszczały przez wąwozy, ponad które drzew skielety zwieszały gałęzie suche. Na tle nocy wszystko to ołbrzymiało, przybierało kształty dziwne, wyrastało w widma i widziadła poczarne. Niekiedy górą błysnął szmat nieba... to znów przez splecione gałęzie, jakby z za kraty, trochę jasności, a potem szare mroki, a wreszcie nieprzejrzone nocy przepaście.

Karolowi zdawało się, że stąpa po chmurach, że idzie ku niebu, że się spuszcza w otchłanie i że przestał należeć do świata powszedniego, a wkroczył w nieodgadniony kraj cudów. Serce mu potężniało, tak właśnie pragnął odwniżyć w nowe życie...

Przewodnik począł się spuszczać zwolna w dół, a Karol, podniósłszy głowę, nie dojrzał już nad sobą nicba szarego, ale jakby sklepienie czarne, ciemność jakąś nieprzebitą; owionęła go razem jakaś atmosfera podziemia... a w dalekiej głębi blade mignęło światło.

Na niebie, czy na ziemi, rozpoznać było niepodobna.

W tej szyi, która się zwiężała, wiodącej jakby do pieczary... spotkali nową straż... wymienili pocichu hasło.

Karol domyślił się wreszcie, że być musieli w jednej z tych pieczar okolic Ojcowa, o których słyszał nieraz, że się w nich, wedle podań, miał niegdyś ukrywać Łokietek... W nich to, opowiadały legendy... z dwunastu rycerzami u kamiennego stołu siedział Chrobry.

Czasem wilgotny powiew od wnętrza przeleciał, muskając mu twarz... czasem kropla z góry upadła, jak łza na rozgorączkowany policzek, gałązka jakby żywa trąciła, witając przechodnia. Światło w dali rosło, było to jakby gasnące ognisko... przed którym przesuwały się zwolna czarne postacie.... niby cienie olbrzymie ludzi...

W słabym odbłyску tego ognia zarysowywać się zaczęły mokre ściany pieczary, ginące gdzieś w górze i polamane w ogromne bryły, jakby toporami duchów... Niby uragowisko i groźba, wisiał gdzieś obłam, który spaść nie chciał, aby zawsze spadać się zdawał.

Ścieżyna stawiała się szerszą, ludzie szli coraz prędzej i pewniejszymi krokami, oko Karola ich wyprzedzało, serce biło... oswojony wzrok przebijał już ciemności i pochwycił obraz w istocie jakby z sennego wyrwany marzenia.

To u wnijsćia podłoga była z ludzi leżących pokotem... Kamienie to były zaklęte, czy znużeni żołnierze, oko z razu rozpoznać nie umiało. Przypominała się bajka o czarodziejsko w skałę obróconych rycerzach... Na nierównej tej, pogarbiionej przestrzeni, gdzieś tam wystawała dłoń ściśnięta i groźna, podnosiła się zwolna¹ głowa, którą sen schwycił czuwającą i zwiesił tylko, nie złamał, jak uwiędły kwiat

na łodydze,.. Z pod dłoni rozsypane świeciły szable..
jakby tylko co puszczone...

Ludzie to byli żywi... bo na szmer ruszyło się głów więcej, jakby z ziemi wyrastały, i w ciemnościach błysło kilka par oczów, jak wilcze ślepia jasnych i krwawych... Podniosły się milczące i opadły z westchnieniem.

Dalej, po za tym żywym wałem z ludzi, płonąło ognisko, to żywszym blaskiem gałęzi, to dymem miecąc czerwonym... Jakiś wiatr podziemny przyciskał kłęby dymu do dołu, potem uwolnione dźwigały się i parły, uciekając gdzieś w głąbie.

W lewo za tem żarzewiem, widać było pod skalą klęczącego starca. W ścianę wetknięty był krucyfiks czarny, na którym złocisty Chrystus połyskiwał... w prawo, a w lewo stały dwie chorągwie, oparte o opokę... Na lamie złotej rozpięty Zbawiciel, na złotej lamie czarna Matka Boska z Częstochowy.

Starzec się modlił, przy nim w habicie bernardyńskim klęczał ksiądz z wygoloną głową i jak on, ręce miał wyciągnięte do Chrystusa.

Oba, odpowiadając sobie na przemiany i z cicha gorąco prosili Boga.

Twarz mnicha była żółta i sucha, a oko czarne i wpadłe... ręce jego zdawały się kośćmi bez skóry.

Starzec mógł mieć lat... któż zgadnie ile? Lata idą po ludziach, jak plugi po roli, na twardej zaladwie żelazce zedrze skorupę — miękką rozerwie do głębi — — któż pozna, ile tam razy przeszedł plug Boży po twardem obliczu męża, co cierpieć umiał?

Był wzrostu tych, co w grobach leżą, a na których trumny trzeba było złobić dęby kilkusetletnie; krzepki był i silny, a na karku wzbijała mu się dumnie głowa ostrzyżona nisko, z brodą obciętą krótko i spuszczeniemi wąsami.

Opięty był cały jakby suknią zakonną, szarą, wazką, rozprutą do końca po bokach, ujętą czarnym

pasmem skórzanym. Na szyi miał z grubych pacierzy różaniec czarny, a przy nim trupią głowę kościaną i medal i krzyż mosiężny, jak zwykli nosić mnichy.

Na lewej piersi u serca wyszyty był z sukna krzyż czerwony. Z pod szyi nie odpiął ryngrafu z Matką Boską Częstochowską.

U nóg jego na ziemi leżała czapka rogata z czerwonym wierzchem. Szablę na rapciach skórzanych miał u boku.

Ze złożonymi rękami żyłastemi, z wielką pokorą i namaszczeniem, z podniesionem w górę czołem, modlił się gorąco i wzdychał — oczu nie odrywając od Ukrzyżowanego. Dalej nieco usłane widać było całe nie tknięte łoże żołnierskie. Mała książeczka pobożna, roztwarta na ziemi, tylko co śnać była rzucona.

Usłyszawszy szmer i głosy za sobą, zwrócił się a skinął niecierpliwie, aby mu modlitwy nie przerywano. Żaden bo wówczas pobożny katolik nie przerywał służby Bożej dla sprawy ludzkiej.

Karol stał a patrzył, potem mu się same zgięły kolana i ukląkł, modląc się pocichu. Ale z krucyfiksu oko jego mimowolnie pociągnięte szło na tego starca poważnego, który w blaskach ogniska chwilami promieniał, jak święty.

Z cieni dalekich głów kilka ciekawie wyjrzało... ale ich oczy tylko groźne i wąsy długie mignęły w dali i znikły.

Cisza była w pieczarze, tylko oddechy śpiących, jakby niewidzialnych duchów podziemnych stłumione jęki, obijały się o uszy... czuć było, że szły z piersi znużonych, zbolących.

Starzec pochylił głowę, uderzył się trzykroć silnie w piersi i powstał powoli. Postać to była potężna, rycerska; czoło posępne, szerokie, ale spokojne, choć poorane, oczy jasne, usta łagodne, przecież nie śmiejące się zbytnio gwoli światu i ludziom.

— Oto, podróżny — rzekł głos z za Karola, który podniósł się z ziemi — wzięła go placówka w dolinie...

Stary patrzył długo.

— Kto? zkad? dokąd? — odczuwał się spokojnie.

— Jestem Pluta ze Skały — jadę zaciągnąć się do konfederacyi.

Całą swą historią w tych kilku prostych wyrazach zamknąwszy, chłopak pokłonił się rycersko.

— Ze Skały? to chyba wnuk pana Adama?

— A syn Jakóba... — dodał Karol.

— Cóż to tak późno, dziecko moje — zawołał pułkownik, ważąc słowa. — Czy ze zezwoleniem rodzica i jego radą?

— Późno w istocie — odpowiedział przybyły — ale bom właśnie czekał rozkazu rodzica... a nie doczekawszy się, poszedłem za głosem sumienia...

Stary przybliżył się i rękę ciężką położył mu na ramieniu, wpatrując się bliżej w twarz.

— O, dobra krwi stara, nasza! — zawołał — dobra krwi, coś tam to serce w piersi rozgrzała. Ależ, dziecko moje, w dni wesela i nadziei przyjść ci było, a nie na dni ostatnie zwątpienia i rozpacznej walki! Jeździś nie ślubował...

— Ślubowałem w duszy mojej — przerwał żywo Karol — i nie złamię przysięgi.

Stary zamilkł, patrzył, w oczach mu pojaśniało...

— Dajże mi dłoń, daj — rzekł — tośmy towarzysze.

— Twoja niech mnie pobłogosławi! jam prosty szeregowiec — odpowiedział Karol — a żem dach mój rodzinny opuścił bez błogosławieństwa, bez pożegnania, zastąpże mi starego dziada i rodzica...

Dwie drżące dłonie wyciągnęły się nad głową pochyloną Karola, a pułkownik milczał... lub może modlił się cicho... potem ręką prawą ujął dłoń Karola.

— Siadź i spocznij — odezwał się — pomówmy... Wszystko to dobrze, ale cóż myślisz z sobą? dokąd chciałeś się dostać? coś zamierzał?

— Myślałem tylko iść a bić się... chciałem tam być, gdzie serc i rąk brak może... a dziś, gdzie Bóg przyprowadził, zostanę.

— Dziecko moje... Bóg wielki... ja ci nic nie powiem... Bądź tą ofiarą, jaką być pragniesz, ale wiedz...

Tu się zatrzymał.

— Wiedz, co poczynasz — dodał z namysłem. — Nie są to już świetne dni pierwsze konfederacji; ani sławy, ani zwycięstwa nie spodziewam się dla nas. Myśmy straconym posterunkiem wielkiej armii przyszłości... Przyobleczeni w kir, o głodzie i chłodzie... biejemy się, bo cofnąć się nie godzi... ale wybić się nie możemy... walczymy tylko o mogiły... Szkoda mi cię, dziecko moje!

Starzec łzę otarł, jeszcze jego oczy mgłą zaszły.

— Ale — przerwał po chwili kończąc — źle mówię — żal mi myśli pomieszał. Któż wyroki Boże odgadnie? drogi jego niezbadane, ten wie, który z niebios patrzy, co z nas robaków uczyni... czy motyle jeszcze, czy kroplę gnoju...

— To też, ojcze — rzekł Karol — jam nie rachował ani na sławę, ani na zwycięstwo... poszedłem, bom pójść był powinien.

— Tak święcie czynisz — odparł pułkownik — ale gdy na ofiarę zabijają starego wołu, który już pluga nie pociągnie, mniej go żal... a tyś... w sile wieku!

— Jeśli rzeczy tak zrozpaczone — przerwał Karol — to wybyście raczej cofnąć się powinni. Stare głowy, w których żyje droga dawnych czasów pamiętać, potrzebniejsze nam są niż młode dłonie.

— Tak jest z nami — dodał — tyś wolny, bo nie przysiągłeś jeszcze... myśl i czyn według sumienia,

albowiem stawszy się raz rycerzem Bożym, jak my, woli swej mieć nie będziesz...

— Jam już poprzysiągł w duszy... — zawołał Karol — a świadkiem miałem Boga... ślubowałem i nie cofnę się...

— Niech ci Bóg błogosławi, ja odciągać nie będę... — rzekł pułkownik.

Wiarę w Boga i siebie, to ognisko, przy którym grzaliśmy się wieki — zalano umyślnie... a głównie jego roznieśli na cztery wiatry.

Zamilkł, i była chwila smutnego rozmyśłu dla starca, który ocierał oczy — a wesela dla Karola, w którym inaczej biło serce, bo się czuł jakby do nowego życia powołanym, wyświęconym zbroją i szablą na człowieka. Myśl wprowadzie wracała jeszcze po nad spokojny dwór w Skale, lecz zawstydzona uciekała od wspomnień dni szczęśliwych.

— Młodo, młodo wstępujesz do naszego zakonu — odezwał się pułkownik jeszcze. Biada tym, co go pojmują inaczej, a rąchują się z nim po ludzku. Pójść jak na zabawkę z chartem w pole i wrócić pod strzechę, pocałowawszy rękę królewską i pokłoniwszy się, świętokradztwo i szyderstwo... Widzisz mnie... mam lat sześćdziesiąt z okładem. Dwór, kędym się rodził, obrócili w perzynę, żonisko z żalu i tęsknoty zmarło, syna mi pod bokiem ubito... gdym blade czoło jego całował, a dusza mu z ust ulatywała... sam ranę dostałem... A jeszcze na posterunku...

I nie zejść już z niego, chyba... *ad patres*...

— I ja przysięgam, że go nie opuszczę! — zawołał Karol.

Wymawiał te wyrazy, gdy się szmer zrobił u wnijsia, pułkownik stał niespokojny i parę kroków podszedł naprzód.

— Pewnie to Samocha powraca... — rzekł — ale co przynosi! Jeździł rozpatrywać się w okolicy...

Od strony Krakowa włością się oddziały rosyjskie, a mnie właśnie chciałoby się do Tyńca...

W blasku ogniska ukazała się postać nowa, człek zdyszany, a mimo chłodu nocnego, ocierający pot z czoła.

Był to w istocie spodziewany Samocha, stary szlachcic, sługa a towarzysz nieoddzielny pułkownika Skiby, prawa jego ręką, choć dwóch ludzi mniej do siebie podobnych znaleźć było trudno. Stary pułkownik wyglądał na powstałego z grobu krzyżowca, Samocha zaś miał sobie właściwą postać oryginalną i fizyognomię, którą niełatwo było do czego porównać.

Człeczyna był mały, krępy, przysadzisty, do siedzenia w siodle stworzony, a oduczony od chodzenia po ziemi. Mimo małego wzrostu, kości snąć miał grube, ręce żylaste i silne, łeb turzy, oczy w nim małe, wgłębione, ogniste. Twarzą ogorzalej towarzyszył wąs nieprzycinany, długi, spadający aż na piersi, bialo-żółty.

O ile Skiba poważną, ten miał jakąś żartobliwą postać, niby obozowego trefnisia; uśmiechu z pod wąsa trudno było dopatrzeć, ale marszczki wokół ust i oczów go zdradzały. Cały obwieszony był świętościami, miał szkaplerze na piersi i różaniec przy zbroi i ryngraf ze św. Józefem, patronem dobrej śmierci, i krzyż wyszyty na lewym boku. Znać w życiu nieraz w opałach bywał, bo na czaszce, na policzkach, na brodzie pełno było szram białych, sinych, czerwonych, głębokich; pary palców mu u ręki prawej brakło, a na jedną nogę nieco nakuliwał.

Szpakowaty, czerwony, spalony, bystry i żywy był, choć stary.

Po pułkowniku on rej wodził wszędzie, w rzeczy był jego adjutantem, powiernikiem, sługą.

On pierwszy poczynął pieśni i modlitwy w obozie i w potyczce; gdy głodno bywało, bawił a kar-

mił żartami; w złym razie dodawał ochoty i humoru, szydząc z upadłych na duchu. Już mu się ołość tak weszła w naturę, że gdy raz posiekanego, na poły żywego niesiono, a krew zeń ciekła jak z beczki, jeszcze się do ludzi odezwał:

— Ot co juchy plynie darmo, gdyby tak z innego bożego stworzenia, byłaby przynajmniej kwaśna polewka...

O cudze życie tak mało dbał, jak o własne, tylko do pułkownika przywiązany był jak pies... Skiba go też kochał, choć się nieustannie sprzeczałi.

Samocha wszedł, tarł czoło, stał, z twarzy znać było fraszunek, choć w sobie tał.

— Cóż ty tam przynosisz, Samocha?

— A no, pułkowniku, dobrego teraz na targu nie dostać — odparł, skrobiąc się po łysinie i wahać z nogi na nogę, stary rębacz... Zawalili nam drogę do Krakowa, do Tyńca, a choćby i w inną stronę, tak, że gdzieś się potknął, albo nos w nos, albo po nich jeszcze świeżo śmierdziało. Mówią, że w Krakowie i okolicy ma być do pięciu tysięcy... Zkął się to bierze...

No, dowiedziałeś się, w Tyńcu, w Lanckorońcu, w Bobrku, w Częstochowie trzymają się nasi?

— Trzymają się, ale słabo... jest tam znowu tych rozumnych francuzów siła, ale tamci przecie tłumem nas zaleją.

— Cóż, że ich siła wielka — zawołał pułkownik — że tego chłopstwa napędza... gdyby ich było i trzy i czterokroć tyle co nas... co to znaczy?

— Tak cztery i pięć... to nic — szepnął Samocha, kręcąc głową — a jak dziesięć?

— Mnie bądź co bądź, do Tyńca się dostać potrzeba! — dodał Skiba.

— Ja to wiem, że musimy — rzekł Samocha — ale już nie inaczej, jak przebojem... A czasu tracić niema co... Musim się przekradać nocami, w dzień

po lasach i blotach siedzieć... inaczej nas wytluką do nogi. Tylko tu pod Ojcowem rosyjan jeszcze nie wi-
dać... ale jak nam tu w wawozach drogę zaprą...
ciężko się przerzynać przyjdzie... Drogę opatrzyłem...
poprowadzę... konie siodłać i póki ciemno ruszać
trzeba...

Więc nie zwłóczyć, ludzie się wywczasowa-
wali — rzekł Skiba — dać zaraz rozkaz do wymarszu...
cicho, przez kulak zatrąbić... niech wiara wstaje...
darmo spać dłużej! Na koń!

Zaczęto tedy obwoływać do koni.

W głębi pieczary na dany znak ten, pokotem
leżący ludzki łom ruszył się, drgnął i zerwał na no-
gi, jakby z ziemi powyrastali. Końło się czarnemi
cieniami, które zdawały się z grobu wstawać milczą-
ce. O! krzyża na piersi dzień się poczynal...

Cisza, spokój, ład był wielki, mimo pośpiechu.

Garść ludzi Skiby nie była liczna, ale doborna,
drab w draba silni, a jednym ożywieni duchem...

Pulkownik zwał ich braćmi, a byli niemi nie-
tylko po miłości, ale i zakonie, który od początku
konfederacyi do końca jej trzymali...

Gdy owa konfederacya Markowa rozpręgała się
drobnemi intrygami ludzkiemi, na pierwszej wysoko-
ści jej tylko Pulawscy i Skiba utrzymać się potrafil.

Już wtedy wszystko ciągnęło w milczeniu na
stanowisko... ale zwykłym trybem od pieśni porannej
począć nie było można, bo przed nieprzyjacielem mo-
gła ich zdradzić; po cichu każdy szeptał modlitwę.

Tymczasem na prędko wpośród pieczary wznie-
siono ołtarzyk do mszy świętej.

Stary kamień, trochę mchu i zbroi złożyły się
na stół ofiarny, na którym powiewała chorągiew
Matką Boską i Chrystusem. Dwóch starców przy-
szablach do mszy służyło. Na przodzie ukląkł Skiba
z rękami do góry podniesionemi.

I stała się cisza wielka, tak, że kapłana modlitwę słyszeć było, a że losy jutra... zakryte... każdy słuchał, jakby w życiu mszy ostatniej. W czasie Ewangelii starym obyczajem szczęknęły na pół podobywane szable, na znak gotowości do obrony wiary świętej.

Kilkunastu przystępowało do komunii; w końcu ksiądz od ołtarza dał błogosławieństwo. Pochyliły się kornie głowy, uderzyły ręce w piersi, wszyscy wstali; chorążowie ujęli chorągwie, a nim ołtarz rozebrano, już w dolinie, okrytej mrokiem szarym poranku, huknęła się gromadziła.

Kilku cichymi słowy rozporządzono pochód. Naprzód miała iść szpica, główny oddział pośrodku, z tyłu miała garść w odsłonie od napadu niespodzianego.

Wszystko było w pogotowiu do wymarszu, gdy Samocha, który miał iść z tyłu, głośnie zaczął kłaść i łajać w pieczarze... pułkownik oburzył się i pogniwał, sam rzucił się ku niemu, obawiając jakiego gwałtu.

Szło o zapomnianego owego szlachetkę, wziętego z papierami i proklamacyami królewskimi, którego związawszy w kacie rzucono, nimby się jego losy rozstrzygnęły.

Na samem wychodnem poszedł do niego Samocha, chcąc go uwiązanego przy swym koniu prowadzić, ale... nie znalazł. Pogryzione i stargane sznury leżały na ziemi, szlachcic wpadł jak w wodę. Szukano go wszędzie po kątach pieczary, ale jak tam było odkryć, jeśli uchodząc śmierci, zaszył się w jaką niedostępną kryjówkę. Samocha kłął, Skiba się srożył.

— Bóg z nim — rzekł — niewielka strata... rzuć do licha, niema czasu do stracenia.

— Bogać niewielka strata... — wołał Samocha, targając czuprynę—toć to nas obliczyło, podsłuchało... a jeżeli uszedł... nie pomoże nam pewnie.

Szukać było próżno... boleć na niewiele się zdało, a gniewać się, jak Samocha, też było darmo... przecie się gniewał na siebie, na sznury i że go prywatnie, nie pytając nikogo, summaryjnym sądem, sam nie obwiesił odrazu.

Mruczał na pułkownika, gdy Skiba zniecierpliwiony, krzyknął:

— Milczec! niech lepiej winny mi ujdzie, niżby niewinny miał być karany... lekce życia ludzkiego nie ważmy! Naprzód!

— Naprzód!

Stary milcząc dosiadł konia, wszyscy się przeżegnali, kapelan głośniejszą rozpoczął modlitwę, którą kończono po cichu:

„Panie Boże nasz, któremu wszelka cześć, pokłon i bojaźń należy... Królu nieba i ziemi, w którego ręku wszystkie królestwa...”

Ranek był smętny, powietrze chłodne, mroki jeszcze zalegały dolinę... górą wiatr pędził rozerwane obłoki po ołowianem niebie. Same uszykowały się konie, ciężki chód ich zatetniał... zdałoby się zdala, że to pochód duchów o świcie wracających do mogił cmentarnych.

Za szarego mroku pospieszać było potrzeba, aby przebyć część drogi najniebezpieczniejszą, niepostrzeżonym.

Karola postawiono na proźbę jego, nieopodał od chorągwi — serce mu rosło, gdy na nią spojrział... Szli tak wolno w cichości, kiedy niekiedy koń parsknął, głos silniejszy przedarł milczenie, i znów tylko chrzęst żelaza a stąpanie koni.

Naraz o świtanu stanęła* straż przednia i przybiegł od niej jezdny do pułkownika. Stój! stój! rozległo się po szeregach.

— Co tam? — zapytał Skiba chłodno.

Droga się zdaje zaparta.

Przesłać ludzi, a wziąć języka...

Puściło się kilku, Samocha jeden z pierwszych, koń pod nim utknął, zły *omen*, ale smagnawszy go, poleciał.

— Zobaczycie — zawołał — że to ten zbieg szlachcic nawarzył nam piwa... Jeżeli dopadł Rosyan, łatwo mu ich było na nas naprowadzić...

Dniało coraz jaśniej... w różne strony poszły zwiady, wyruszył na deresz i Skiba nieco naprzód.

Nie potrzeba było jechać daleko, o kilkoro staj gościniec przerzynało obozowisko. Przy dogorywających ogniach biwaków, które z za krzaków dymity, widać było żołnierzy w gotowości na czatach...

Pułkownik nie przypuszczał, żeby to być mogła ułożona zasadzka, unikając daremnie krwi przelewu i o wątpliwe nie chcąc się kusić zwycięztwo, wołał wycofać się w inną drogę na prawo, sądząc, że tam wolne znajdzie przejście.

Oddział szedł cicho. Rosyanie, zaufani w siłę, placówek nawet nie mieli, alarmu nie dano, nie dosłyszawszy ciągnących.

Wnet na rozkaz pułkownika zwrócono w bok, choć ciasną i niewygodną w dwa konie przerzynając się drożyną, na wypadek walki niebezpieczną, gdyby nieprzyjaciół choć jedno działo miał z sobą.

Był to rodzaj wąwozu wśród zarośli, a w nim błoto zgęstniałe... ale próbować musiano drogi, aby ludzi oszczędzać. Szli przez pół godziny i przednia szpica znów stanęła. Po za wąwozem w lesie na polance, były ognie i obóz.

— Niema wątpliwości, żeśmy zdradzeni i otoczeni! — zawołał Samocha... Tego tu wczoraj nie było, znać po szarakach, że ledwie co nadciągnęli, znużeni... Teraz, wola Boża...

Skiba niezmarszczony, z wypogodzonem czołem namyślał się. Chodziło tylko w istocie o wybór nie przyjaciela i pozycyi najwygodniejszej do rozpaczliwej walki.

Wtem od tylnej straży przyszedł jeździec, oznajmiając, że i od ojcowskiej doliny zabierają tył Rosyanie.

Nie było więc wątpliwości, iż garść ta wyszpiewowana i zdradzoną została; nieprzyjaciół opasywał ją w przeważnej liczbie, w miejscu do obrony nadzwyczaj niewygodnem, bo zewsząd otoczony lasami i wzgórzami.

Położenie było rozpaczliwe, ale ludzie nieulekli i wszyscy, przeżegnawszy się, czekali zbici w jedno spójne ciało.

Drgnęła wargą Skibie, oko się zapaliło, ręką wskazał naprzód.

Bracia! kiedyśmy odkryci — rzekł — czemu pieśni nie zanucić, serca rozgrzeje.

Samocha w tej chwili już intonował ją: dolina nagle rozległa się śpiewem uroczystym...

Ten kościelny hymn o mroku na tych pustkowinach, przy chorągwi z ukrzyżowanym... ci rycerze nieruchomi w siodłach, starzec przodkujący im... przedstawiali jakby obraz innego wieku... Pieśń nastroiła serca do Boga, łzy połyskiwały na powiekach, Karol zdawał się siłą jakąś porwany od ziemi... na barkach rosły mu skrzydła.

Jeszcze pierwsza strofa brzmiała, gdy szmer się zrobił, od przedniej straży wiedziono parlamentarza rosyjskiego z chustą białą, zieloną gałęzią i papierem w rękę.

Na papierze stało dobrą polszczyzną, że pułkownik Morozów wzywał konfederatów do zdania się na łaskę... gdyż inaczej oddział w koło otoczony, w pień będzie wycięty...

Skibie czytając, krwią nabiegły oczy, z konia spojrzął na żołdaka.

— Powiedz temu, kto cię przysłał — odezwał się — że żołnierze padają, ale się nie poddają... Co Bóg da!

— Zatrzymać parlamentarza! obejrzał nas! — krzyczał Samocho.

Hej! hej! liczonych i nieliczonych śmierć bierz — odparł pułkownik... puścić go...

Cicho pieśń zabrzmiiała dalej znów, oddział po-
czął się posuwać ściśnięty, szable obnażały się, pisto-
lety dobywano z olstr... konic zdawały się blizką
czuć bitwę, bo chrapały niecierpliwie, a ten, to ów.
rzucił się w bok jakby przelekleły.

— Naprzód! — wołał, wskazując ręką Skiba.

Oddział, stojący naprzeciw, może był najliczniej-
szy, ale po wyjściu z wąwozów. miejsce do walki
dogodniejszym się zdalo...

— Wiara! w imię Maryi! Ławą! Razem! przy
sztandarze! Naprzód! Wolno! Szablą sobie trzeba
drogę wyrębać...

Jak mur, szara, niema, milcząca, wyciągnęła się
przed nimi kolumna rosyjska, czekając znaku do
strzału...

Oddział stępo, potem szedł klusem... potem na
pułkownika rozkaz, ostrogami spięto konie, z kopyta...
Cała kolumna, jak kłęb jeden z wrzawą rzuciła się
naprzód, wołając Jezus, Marya! dym ją cały owionął,
kule świsnęły...

Nieprzyjacie, widząc ich następujących, prze-
rażeni zuchwalstwem, nim się z bronią na nowo
przygotowali, już mieli ich na karku, złamały się
szeregi... Choragicw z krzyżem i Chrystusem onie-
śmielała wielu...

Konfederaci odrazu wbili się w tę kupę bezła-
dnie pomieszaną, ale trzymającą się stanowiska
i wrzeszczącą dziko, aby sobie dodać serca.

Znaleźli się naraz otoczeni, ściśnięci, obsypani niezbyt szkodliwym, ale gęstym ogniem i tłoczącym się tłumem.

— Naprzód!—wolał pułkownik—za sztandarem!

Szablami potrzeba sobie było tę drogę torować, ale szło oporem, tak gęstemi szeregi zalegał pole nieprzyjaciel. Tu i owdzie zsunął się z konia wojak i jakby tonął, padając... złamał się szyk, szczerba w nim, i wnet ściśnięci, szli przebojem dalej.

A pieśń nad głowami brzmiała, przerywana wykrzykiem śmierć zwiastującym, a sztandar powiewał górą, choć od kul podziurawiony.

Jedna z nich przebiła bok Chrystusa...

Z białych a zimnych w początku, twarze rozplomieniły się, ludzie urosli, siła ich zolbrzymiała... żelazca błyskały nad głowami, oblane krwią, nieustannie podnosząc się i spadając.

Był to bój rozpaczliwy, bohaterski, bez nadziei, ale tak straszny, że przed zajądłością jego żołdak się cofał, jakby nie ludzi, ale niezwalczone istoty, wybrańców Bożych miał przed sobą.

W gwarze tym i dymie już nic widać nie było, tylko w jedną kupę zbite, rwące się ciała ludzi, których rozpoznać, ani policzyć nic było można.

Pierwszy raz Karol upił się szaleńcem boju... usta mu się śmiały, śpiewał, drżał, bił a siekł... nic nie wiedząc co czyni, czując tylko, że był szczęśliwym. Uśpiona krew pradziadów odżyła w nim, zbudzona okrzykiem bojowym... wspaniałością walki gorączkowej, rozwścieczonej. Zdawało mu się, że światby był rozbit piersiami, a czoło promieniało takim zapale, że ludzie się przed nim wylękli, cofali...

Któż powie, jak to długo trwało? Niebo się zaczerwieniło, z za pasów chmur wyrzsało słońce, oni szli, szli, coraz mniejszą garścią po trupach ludzi, po koniach, które wbijali do ziemi.

Za nimi wreszcie została piechota... rzucając się, to odskakując i obsypując kul gradem.

Przerznęli się, ale mimo ran, strat, znużenia, chwili nie było do spoczynku, nie zwalniano biegu, iść musiano, ostrzeliwując się.

Trzecia część walecznych legła na placu, więcej niż drugie tyle było rannych, co się jeszcze wlekli...

Karol poczuł jakiś ciepły pot, płynący mu po piersiach... chwycił się ręką... Czy ze znużenia zrobiło mu się słabo? zaćmiło w oczach, pochylił się na siodle... Świat i bitwa, i wschodzące słońce zamgliły się... znikły... w uchu tylko huczały okrzyki i wrzawa... a po nad nic:

— Jezus, Marya!

Na szpaku krwią obluźganym, Staszek sam ranny lekko potrzymywał omdlałego pana i lecieli tak, dalej a dalej... aż strzały ustały, gwar przycichł, dzień jasny, łagodny, wiosenny roztaczał blaski swe nad ich głowami.

Stanęli na polance rany obwiązywać, koniom się dać wysapać, zmarłych opłakać... i policzyć.

Skiba ukląkł i gorącą modlitwą Bogu dziękował za garść walecznych, ocaloną choć w części.

Karolowi kula zorała pierś młodą, ale postrzał nie był śmiertelny; przesunął się po niej, czerwoną wstęgą ją znacząc... jakby ręka niewidzialna wstrzymała kulę, by dalej nie poszła.

W gorączce drgał chłopak, jakby ciągle jeszcze walczył, śpiewał, śmiał się, ścisnął... aż szal ten w końcu w głęboki sen ołowiany i odrętwienie się zmienił...

Księga II.

CZĘSTOCHOWA.

Dzień był wiosenny, nielitościwie piękny i spokojny po nad tą ziemią, której niebiosy urągaly lazurem, ptacy pieśniami, powietrze wonią młodości i świeżości; dzień był tak rozpaczliwie i niepojęcie jasny, cichy i błogi, jak bywa czasem na cmentarzu w czasie pogrzebu, aby ludziom przypomniał ich znikomość, a Bożą nieśmiertelność.

I w tym roku rozwijały się drzewa, przyleciało ptactwo, rozkwitły na mogiłach kwiaty, a w stolicy Saldern miotał obelgi na nieposłusznych i uległych sobie, na wszystkich...

Oprócz kilku głów, co nie ugięły się do ostatka, iluż to ich całowało ręce króla, brało orderzy i urzędy! Iluż, jak Zaremba, chroniące majątki, oddało honor, sprzedało sumienie?

Zniszczenie, wytępienie — wielka jedna mogiła na karcie dziejowej nie byłaby tak straszną, jak to zdeptanie narodu...

W Warszawie bale po balach następowały, król się cieszył znacznem uspokojeniem kraju,

O karto żałobna dziejów; któż cię — napisać potrafi? Z palmą dla jednych, z piętnem hańby wiekui-stej dla drugich... stać musi historyk i znaczyć zbrodniarzy i płakać nad ofiarami.

Sprawa poczęta w Barze dogorywała, wojska trzech mocarstw zwolna, cicho, posuwały się w głąb kraju. Reszty pułków Królowej, reszty krzyżowych rycerzy poddawały się przemagającym siłom; rozbrojeni szli płakać na zgłiszcza domowe, albo na wieczne wygnanie, lub do trumien.

Cichy wieczór tej wiosny wiał niewymowną świeżością, rosa spadała na trawy i kwiaty, wiatr z lekka falami zbóż kołysał, a kłosy kwitnące wonią miodową przepelniały powietrze. Nad tą biedną równiną — zawsze smętną, jak pobojowsko, zasianą krzyżami czarnemi po rozdrożach, jak cmentarz... zachodziło słońce ciepłe... jakby nie nasze, pożyczone gdzieś z gorętszego nieba.

W gaju sosnowym, który gdzieniegdzie miała brzoza, a podszywała leszczyna, nad małą drożyną wiejską, stała chata leśniczego, nędzna lepianka stara, na pół w ziemię zapadła; dach na niej mchem obrosły, ogródek ledwie obrzucony płotem, ubóstwo sięgające nędzy. Bogactwo jej stanowił las, zieleń, cisza w koło, swoboda pustyni.

Z po za drzew w dali na skraju, jak sięgało oko, widać było górę, a na niej mury i wysoką wieżycę.

Była to Jasna Góra, a twierdza ta... zwała się Częstochową... Słynne imię, wielkie imię... gdzie Bóg zwyciężał niegdyś.

Przez okno otwarte chaty, wprost wyjrzawszy, wzrok padał na tę latarnię, jakby strażniczą u brzegu morza.

Na widok jej kłoniły się głowy pielgrzymów, biły serca, jak w Kampanii rzymskiej, gdy na widnokręgu ukaże się kopuła św. Piotra.

I teraz okienko stało otworem, a w oknie pochylona, blada twarz, młoda, tęskna... patrzyła ku Częstochowie.

A słońce zachodzące oświecało świat, nucąc promieniami swemi złocisty hymn wieczoru.

W chacie leśnika ubogo było, ubogo; czarne ściany mchem otkane, ławy wysiedziane, piec czarny, siwy staruszek w połatanym siemienięce domowej, w zgrzebnej koszuli kobieta i dziewczątka kilkoletnie, ciekawe, w kąciку za piecem.

Wśród izby roztasowało się kilku ludzi; starzec z długim wąsem srebrnym i krótko ostrzyżoną głową, posępny, pochylony, ze świeżemi ledwie zaschlami blizny, kilku żołnierzy przy nim na ziemi, a na ławie, u okna, młody ów chłopak blady. Wszyscy w milczeniu zdawali się ino czekać ciemniejszego wieczoru... byli w pogotowiu do drogi.

Z resztką oddziału niedobitków swych z Tyńca, przedzierał się do Częstochowy pułkownik Skiba, i wyleczony nieco z rany młodością Karol, i pocięty Samocha i kilku żołnierzy, co się ani w niewolę, ani do grobu dostać nie mogli.

Szli na Jasną Górę... bo tam jeszcze siedział pierwszy i ostatni z konfederatów, Pułaski.

Trzech ich miał synów starosta Warecki, wszystkich trzech wziął z sobą z domu i poprowadził ojczyźnie, mówiąc w duszy: Daję ci wszystko, co mam — siebie i dzieci.

Podkomorstwo koronne, starostwo Wareckie, Pułaz, Kostry, Grabow, Derażnię... życie własne, imię pocziwe — to nic — wiodę ci dzieci jedyne...

Poszli wszyscy, ale starosta Warecki mógłże bronić ojczyzny, kiedy za młodu u trybunałów bronił JMKs. Czartoryskich?? Jeden z palestry wyszły szla-

chetka, miałże dostąpić czci, sławy zbawcy i bohatera...?

Na to głowy konfederacyi pozwolić nie mogły, krzywo na ten ród rycerski patrzano... nie należał do uprzywilejowanych zbawców ojczyzny.

Pułascy się bili, rada konfederacyi deliberowała a w końcu odsadzono Pułaskich od prawa przelewania krwi i bronięcia ojczyzny... bo to służyło od wieków Potockim, Lubomirskim, Krasińskim.

Stary Józef Pułaski, wydany Turkom, zamknięty do więzienia, ze zgrzyzoty przeklinając niegodne dzieci tej ojczyzny, której bronił — zmarł na obcej ziemi — zaprzędan niewiernym przez swoich.

Synowie... poszli ginąć po jednemu...

Patrząc na ich bohaterstwo, drudzy szli do domu, bo im sprostać nie mogli.

Ostatni, Kazimierz, trzymał się na Jasnej Gorze... w Warszawie mówili ludzie rozsądni — Szalencie! w ciszy wiejskiej wdychali ludzie poczciwi a słabi.

Kazimierz stał do końca na posterunku.

Do tej choragwi z N. Panną ciągnęły wiernie niedobitki.

Wieczór powoli, jakby nie śmiejąc dnia pięknego pokryć cieniem, zsuwał się na ziemię, pokropioną rosą chłodną. Promień ostatni zachodzących już blasków wdzierał się do chaty, oświeclając twarz bladą i smętną młodego chłopaka.

Skiba w rękę przesuwiał różaniec, a głowę miał spuszczoną i twarz posępna, znać mu już życie ciążyło.

Wszystko milczało — cóż było mówić, z ust lała się rozpacz krwawa, a głowy od niej szalały?

Wtem na ścieżce, okryty kurzawą, ukazał się żebrak stary, z siwą do pasa brodą

Okryty był zszarzaną siermięgą, podpasany sznu-rem, szedł pieszko z kijem w rękę, z torbą próżną na plecach, ale spojrzawszy mu na twarz, poznał każdy, że to nie był dziad, co żebrze i życie po drogach rozrzuca.

Pod łachmanem żebraczym świecił w nim majestat królewski... twarz była straszna i groźna, jakimś wyrazem niedoli i rezygnacyi. Nieokryta czaszka wznosiła się jak kopuła świątyni nad tą budową człowieka, już na pół zburzoną, a jeszcze wielka i poważną.

Siwych dwoje brwi rozrosłych, krzaczystych pokrywały oczy czarne, żarzące się dziwnie, mówiące, potęgą wzroku pociągające człowieka.

Na licu ogorzałym fałdy powyrzynaly lzy, marszczki wyłobila boleść; żyły, jak siatką, lice pokryły, śnać krwi w nich płynęło więcej, niż wstrzymać mogły, bo wzbierały węzłami na skroni i wychudłych policzkach. Resztę twarzy, jakby umyślnie, kryły siwe włosy obfite, potargany wąs i broda.

Szedł, nie patrząc, nagle się spartł na kiju, stanął przeciw drzwi chaty i podniósł głowę i oczy. Przez otwarte drzwi widać było Skibę odmawiającego różaniec, leżących kupkę żołnierzy, a dalej w oknie twarz zadumaną młodzieńca. Żebrak czytał w tym obrazie i nie wchodząc do ubogiej chaty, naprzeciw niej osunął się na ziemię pod starą sosną... Na kolanach oparł ręce, na dłoniach położył czoło, spuścił głowę, modlił się, czy płakał...

Ludzie postrzegli go, a ubogi leśniczy poszedł z bochenka chleba czerstwego odkroić kromkę, bo nie mógł przepuścić ubogiego mimo chaty, aby z nim nie podzielił się choć okrucem daru Bożego. Dar to był... suchy, spleśniały, gorzki, ale ostatkiem łamał się biedny, pokornie go przyniósł ubogiemu, cicho położył przed nim.

Żebrak podniósł głowę i wziął chleb.

— Niech Bóg zapłaci — szepnął cicho — jam nie głodny, ale dar to Boży...

Obłamał kruszynę i włożył ją w usta.

— Dzielę się z tobą...

Pobłogosławił resztę...

— Weźmij to, rzekł... dobry człecze, Opatrzność ci przymnoży, boś był posłuszny rozkazom Bożym.

Łeśniczy się pokłonił... wtem Skiba podniósł oczy i zobaczył także żebraka.

Obaczywszy go... zdrętwiał na chwilę.. potem się nagle zerwał, przestraszony, poruszony i pobiegł ku niemu.

Dwaj ludzie ci długo patrzyli na siebie oko w oko, żaden słowa powiedzieć nie mógł, czy nie śmiał. — Na twarzy przybysza nie zmienił się wyraz spokoju, pułkownik walczył z sobą, kilka razy usta chciał otworzyć, zadrgały mu, nie powiedział słowa, wyciągnął ręce — niemy. — Żebak nie podał mu dłoni... ani okazał uczucia. —

— Ojcze! ty żeś to! ojcie! — zawołał nareszcie Skiba, prawie chcąc paść na kolana, tak się ku niemu pochylił.

Nic nie mówiąc, żebrak głową potrząsał — jakby nierad i gniewny.

Pułkownik odstąpił smutny. —

— Zkądże to Pan Bóg prowadzi? — zapytał.

— Mnie? — odrzekł przybysz — mnie zdaleka! zdaleka! całe życie wędrówką.

— To jest jego głos! to on! — zawołał Skiba.

Żebak ruszał ramionami i trząsł głową.

— Człowiecze — rzekł — jeżeliś mnie poznał, po co pytasz a kusisz?... jeśli mnie nie znasz, na co ci imię moje? A może ja idę z ordynansem Bożym, nie za sprawą własną?... ze słowem z nieba i nie wolno mi co innego rzec, tylko to, z czem mnie posłano? ani znać innego człowieka prócz tego, do którego idę?

Wszak widzisz łachmany żebraka... snąć jestem dziś nędzarzem i wędrowcem... nic więcej... A czem byłem, to Bóg wie, który czyni małemi narzędziami sprawy wielkie i kruszy ludzkie potęgi w proch, a bohaterów w kał przemienia... ze świętych czyni zgorszczenie, a z najpodlejszych zbudowanie. Dlaczego porzuciłeś modlitwę i wstałeś, i przyszedłeś kusić i badać człowieka... jakbyś był tym, co go ma wydać wrogom??

— O! gorzkież słowa wasze!—zawołał, korząc się, pułkownik—ale od was przyjmę w pokorze. Winienem. Przecież grzech mój zrodziła miłość i cześć, a przebaczony mi być może.

Żebak popatrzył ku słońcu zachodzącemu.

— Idźcie — rzekł — a gotujcie się w drogę, albowiem godzina uderzy wkrótce. A któż wie, czy nie w jedną idziemy wszyscy??

Więc i wy... do Częstochowy?—szepnął pułkownik. —

— Co to... wy? odparł surowo żebrak... co, wy? Ażali wie kto, com jest? żebrak i sługa Boży... Kto widzi miejsce święte i nie dąży do niego, jakby minął źródło czyste w upał i nie zaczerpnął. —

Pułkownik stał jeszcze... wzruszony... wreszcie gdy ten, odwróciwszy się, zamilkł, poszedł do chaty i nakazał sposobić się do drogi.

Przystęp do twierdzy, mimo, że obce siły opodał nieco jej były odsunęły się — w kilku szturmach odparte, nie zawsze był łatwym. Nieprzyjaciel bacznie śledził okolicę, a kogokolwiek posądzono o szpiegostwo lub poselstwo od kraju do konfederatów, nielitościwie karany był śmiercią na szubienicy, bez sądu. —

Musiała więc garść owa niedobitków o mroku szarym do twierdzy się podkradać, z której właśnie Pułaski wysunął się z oddziałem, zostawiając na swem miejscu Radziwińskiego.

Leśniczy, który znał dobrze okolicę i wszystkie wnijścia twierdzy i drożyny bezpieczne, miał popro-

wadzić konfederatów. Już się był wybrał, wdziawszy torbę bursuczą i kij ująwszy, gdy na progu ukazał się Skiba, a żebrak, który siedział posępny, rzekł mu:

— Nie bierzcie żadnych przewodników, wola nas Boża sama wieść będzie... Ja pójdę i znajdę, bo tam dziś jeszcze muszę być, wy za mną...

Po niebie się rozglądnąwszy, rzekł. — A zatem w drogę w imię Ojca i Syna...

Skiba ze wszystkimi swymi co byli w chacie, wyszli smutni i milczący, dosiedli koni... Żebrak już przodem szedł drogą, popatrzał, a gdy wszystko zobaczył gotowem, przeźegnał i ująwszy kij w milczeniu ale rażno iść zaczął.

Noc nadciągała szybko — drogi po pagórkach krzyżowały się gęste, przecież nic zawahał się przewodnik, szedł śmiało, krokiem pewnym, jak gdyby go gwiazda wiodła... Niosła go taka siła, iż konie wyciągnioną stępią ledwie za nim podążyć mogły... nikt słowa rzec nie śmiał. Za żebrakiem tuż jechał sam pułkownik, obawiając się snąć, aby kto z ludzi nie obarezał starca pytaniami, dalej Karol, Samocha i reszta żołnierza.

Na pagórek wyszedłszy, gdy już czarna noc się stała, a w przepaścistych głębiach niebios gwiazdy tylko świeciły, przodem na drodze dał się słyszeć tentent jazdy. Skiba, jako żołnierz, poznał, że szedł oddział znaczny z kilkuset koni złożony, śpiesznym krokiem w kierunku twierdzy. Obawiając się, by to nie była nieprzyjacielska kolumna, Skiba przystanął, milczący nasłuchując...

Poczuwszy to żebrak, wstrzymał się także, spart na kiju i twarzą ku niemu odwrócił... Pułkownik pytać go jednak nie śmiał.

— Człowiecze stary, którego Bóg tysiąc razy od śmierci ocalił — odezwał się przewodnik — pytam cię, dlaczegoś małego serca i wiary? Oto czytam jak w książce w myśli twej, iż ci tam tętni nieprzyjacieli...

a szcęk i wrzawa, którą ty słyszysz i ja słyszę... znana mi jest i wiadoma... Ten to powraca, do którego jest posłany, wraca posłuszny rozkazom... krok w krok za nim i my do twierdzy podążym...

Rzekli i poczęli iść żywo... Skiba z głową spuszczoną jechał posłuszny.

— Kto jest ten dziwny człowiek? — spytał po cichu Karol, dosłyszawszy jego mowę.

— Dowiesz się później — odparł cicho pułkownik — nie pora pytać i nie wolno tłumaczyć... jedźmy, są rzeczy niezbadane... i cudowne... nawet tam, gdzie Bóg twarz swą odwracać się zdaje.

Wciąż tedy, poprzedzani tętnem koni niewidzialnego oddziału, który szedł przed nimi, zbliżali się ku Jasnej Górze.

Wysoka wieża i mury twierdzy coraz wyraźniej, olbrzymiejac, malowały się na niebie... Na wieży w szczycie błyskało światelko, jakby gwiazda nad koroną Matki Boskiej... drugie jaśniało na ścianie kaplicy... zresztą mury były czarne i puste. U podnóża ich miasteczko opuszczone, domy porozwalane, kominy sterczące na pogorzeliiskach, ziemia poryta kulami, poprzerrywana rowami... wygasłe ogniska, stosy gruzów i popiołów... pokryte nocą stanowiły obraz straszliwego smutku i majestatu zarazem. — Czuć było, że o tę opokę obity się szturmy wściekle, że ta ziemia przesiąkła była krwią ludzką i poryta grobami.

Pomimo trudności pochodu, które z każdą chwilą się pomnażały, przewodnik szedł coraz żywiej, coraz bardziej zdając się zgorączkowany i gnany pośpiechem niewysłowionym... Ten szal, z jakim pędził, dawał mu jasno widzenie dziwne drogi, którą w pośród gruzów i zawad wynajdywał instynktowo, na chwilę się nie wstrzymując w biegu. —

Tylko co za ostatnim jeźdźcem orszaku, który ich poprzedzał, miały się zamykać wrota twierdzy, gdy u nich stanął żebrak i wychyliwszy się w po-

dwórzec, na którym właśnie oddział konnicy z siodła się zbierał, otoczony ciekawą załogą — zawołał głosem wielkim, który echem rozległ się wśród pustych murów i ciszy:

— Kazimierzu, w imię Boga Wszechmogącego, staw się do mnie!

Po tym głosie milczenie było grobowe... wszystkich dreszcz jakiś przeszedł, usłyszawszy te słowa; aż z głębi podwórca wybiegł mężczyzna średniego wzrostu, w silc wieku, zbudowany krzepko, w ubiorze wojskowej starszyny, z huzarską oblamowanym suto srebrnemi galonami.

Poznać było wodza po rozkazującym obliczu...

Latarnia, w bramie stojąca, rzuciła nań pas światła.. Twarz była nacechowana wyrazem energii, surowa, ale pociągająca urokiem natchnienia i zapалу... Rysy jej na pierwszy rzut oka zdawały się pospolitemi — ale tyle życia tryskało z oczów ruchomych, z warg koralowych nieco dumnie oddętych, z faldów czoła — iż każdy w nim czuł człowieka wybranego do sterowania i przykładu...

Jak obłąkany biec dowódca, wołając:

— Czyj to głos? kto mnie woła?

A postrzegłszy żebraka, stojącego w bramie na pierwszy rzut oka, jakby oczom nie wierząc cofnął się potem podniósł ręce i chciał pokłęknać, ale groźny ruch starca wzbronil mu tego. Oniemiały stał.

— Jestem żebrak... ubogi... ale ubogiego Bóg śle... Oto zemna żołnierzy garść, niedobitków, szukających przytułku... rozkażcie ich przyjąć.

Pułaski, gdyż on to był tylko co z konia zsiadł, stał jeszcze zdumiały, a tarzec już szedł, modląc się głośno z głową odkrytą.

— Do Matki Boskiej... Królowej nieba i ziemi... do kaplicy! do stóp Jej... prowadź żebraka.

Kilku słowami szybko rzuconemi, rozporządziwszy, aby przybyłych przyjęto i pomieszczono, Pułaski rzucił wszystko i widocznie wzruszony głęboko, prowadził starca, który odmawiał:

Sub tuum praesidium...

Tak weszli z modlitwą w krużganki, a choć pułkownik był tu w znajomem sobie dobrze miejscu, jego zdawał się wieść żebrak... natchniony...

Na drodze spotkali dwóch księży Paulinów, którym słowo tylko szepnął Pułaski... Znalazł się kapłan zaraz i dwóch braciszków, niosących świece... z którymi razem żebrak z widoczną niecierpliwością wzrastającą biegł niemal ku kościołowi.

A gdy weszli naprzód do pustej, szerokiej świątyni... przykląkł tylko przed jej ołtarzem... i wyciągnawszy rękę, szedł do kaplicy Matki Boskiej.

Cicho tu było i pusto... ale lampy gorzały wśród hebanowych cieniów tego przybytku... Z mroków nocy, w polysku bladym gdzieniegdzie widniały vota srebrne, zbladłe lica starych wizerunków i kosztowne na ścianach oliary. Obraz był zasloniony, jak zwykle, nikt jeszcze nie zdążył go odkryć, a z podziwieniem księży, gdy żebrak wszedłszy, rzucił się przed nim na kolana, a potem krzyżem na ziemię... podniósłszy oczy, ujrzeli oblicze cudotworne odsłonięte... korony obrazu i szaty złociste świeciły tysiącem iskier, jakby godowo przybrane.

Za żebrakiem padł na kolana Pułaski, i przybyli w ich ślady, pędzeni pobożnością i jakimś uczuciem niepokoju, Skiba i Karol.

Ta garść pobożnych, wśród nocy modląc się ze łkaniem prawie, i jęk dobywający się z piersi żebraka, który bił się oburącz a płakał i wołał miłosierdzia... do łez pobudziły nawet dwóch zdumionych zrazu tylko braciszków...

Przybyły to rzucał się krzyżem i płakał, to pod-

nosił ręce, wyciągając do obrazu, a znać było, że litości nie dla siebie błagał.

Długa chwila minęła na modlitwie... pełnej skarg i błagań... Wszyscy czekali, ażby starzec powstał, on jeszcze modlił się, ale jakby promieniem z nieba uspokojony nieco... Nareszcie podniósł blade lice, złane łzami, drgające bólem przecierpianym — uderzył czołem o posadzkę, ręką w piersi, która jęknęła, i powstał. W milczeniu ujął rękę Pułaskiego, szli razem.

Gdy w korytarzu stanęli, skinął tylko.

— Do waszej celi... — rzekł — a nie będzie świadkiem między nami, tylko ten Bóg, który mnie do ciebie posłał...

Jakkolwiek nadzwyczajną starzec obudzał we wszystkich ciekawość, śnać rozkaz jego był dla Kazimierza świętym, gdyż odprawiawszy gości i poleciwszy ich księżom, sam poprowadził go do jeneralskiej celi, którą zajmował.

Obszerniejsza od innych, z dwóch złożona izb sklepionych, była wszakże prostą i prawie ubogą... Trocha wytworniejszej broni i książek na stole, chorągwie, bębny i rycerskie sprzęty część jej zajmowały. Łóżko zakonne, skórą okryte, stało pod krucyfiksem, oddawna nictykane.

Gdy drzwi się za niemi zamknęły, Pułaski dłużej wytrwać nie mogąc, jak stał, tak pokłękł przed starcem i ręce wyciągnął ku niemu.

— Ojcie mój! — zawołał — co mi przynosisz? pozwól, niech ucałuję dłonie twoje...

— Ani klękać przed człowiekiem, ani się czeić godzi grzeszną istotę... — surowo odparł starzec. — Człowiek to kielich gliniany, w który Bóg czasem nalewa napój żywota... ale gdy się wypróżni, jest kawałkiem gliny... I jam taki... Posyła mnie Bóg, mówi do ducha mego, sługą jestem Pańskim.

— Teraz — dodał — przybyłem do ciebie, Kazimierzu, boś ty jeden pozostał czysty z tego hufca po-

błogosławionych, którzy krzyż Pański na krzyże bałwochwalcze zamienili i w błocie się potarzali. Przybyłem nie ze słowem pociechy — nie z posłannictwem cudu, ale z gromem Bożym, który w pokorze przyjąć trzeba.

— Ale jakżeś się wybawił z rąk nieprzyjaciela? jak się tu dostałeś? — spytał Pułaski. — Wiedzieliśmy, że was osadzono na pokucie w Horodyszczach, pod czujną strażą...

— Nie pytaj; sam nie wiem, jakem wyszedł, ani jakem się tu dostał. Wiodła mnie tu siła, co może wszystko, dla której trudnem nic nie jest.

A nie jestem już czem byłem... ani prorokiem, ani błogosławionym od Pana, w którego on ręce dawał cuda na chwałę swoją. Wziąłem grzechy wasze na barki moje i zgmiotły mnie... i w proch obrócily...

Dni przebyłem straszne... noce przebolełem w mękach niewysłowionych, bo dał mi Pan widzieć przyszłość, a nie dozwolił dla niej wyblagać litości.

To rzekł i głowę spuścił na piersi a płakał... Pułaski zakrył oczy, bo i z nich dobywały się łzy.

— Jednej nocy — mówił starzec natchniony, podnosząc czoło — porwany byłem od ducha, abym tu szedł z rozkazem do was... Nie wiem już sam, jak szedłem i czy ciało moje jest ze mną lub w niewoli pozostało... Ale oto mnie widzisz przed sobą, posłanca tych wyroków, co się nie zmienia.

Nie wolno nam płakać i narzekać nie wolno, i burzyć się nie wolno, a cierpieć tylko wolno i nakazano...

— Ojczy! — zakrzyknął Pułaski, łamiąc ręce — dlaczegóż naród nasz... czyż tak wielkie są grzechy jego?

— Nie pytaj Boga, dla czego czyni, bo bluźnić będziesz, zuchwały człowiecze — odparł starzec — któż kiedy zbadał drogi Boże? Wieszże ty, na co krew

i łzy są potrzebne i co z nich uczyni ten, co cuda czyni?

Przyszedłem z tem do ciebie, abym ci zwiastował tułactwo, i boleść, i śmierć...

Słuchaj, człowiecze — a nie buntuj się duchem... Rozkazano ci przezemnie złożyć oręż i iść na wygnanie, nie godzi się, aby, gdy wyrok padł Boży, człek przeciw niemu walczył, święte miejsce oddając na zniszczenie.

Na Jasnej Górze długie jeszcze pokolenia, włościanicą i żałobą i popiołem okryte, modlić się będą.

Przystало, aby to miejsce nietkniętem zostało dla przyszłości.

A więc weźmiesz w pokorze brzemień twoje i pójdziesz z niem w świat... Bóg ci da życie czyste i niepokalane, i zgon.

To mówiąc, porwał go starzec za głowę schyloną i całując, płakał rzewnie nad nim, a Pułaski ścisnął mu kolana.

— Przeszły, przeszły dni nadziei i miłosierdzia.

Ojca twojego skazali na śmierć więzienną u niewiernych... a było to szczęściem dlań, bo oczy jego nie widziały końca...

Ujrzał Bóg, iż nie byliśmy warci życia i odjął je nam na długo, aż się go dopracujemy nędzą potępieńców na ziemi.

— O ojciec mój — przerwał znów Pułaski — nie odstawiaj mi tej straszliwej przyszłości — wszakżeś nam lepszą zwiastował i obiecywał prędko...

— Prędko? a wiesz ty, co u Boga prędko? — zapytał starzec — a wiesz ty, że grzechy wasze uczyniły mnie z proroka kłamcą... Z wami razem upokorzył mnie Bóg, ukazał mi to, co się stać mogło, aleśmy warci nie byli.

Starzec mówił i łzy strumieniami dwoma płynęły mu po twarzy z oczów rozognionych, a dźwięk głosu jego był przerażający i surowy... Bolał, ale

potęga wielka zmuszała go wieszczyć te przyszłości męczarnie, które on wszystkie w sercu za naród duchem przecierpiał.

Pułaski słuchał znużony...

— Słuchaj! słuchaj mnie mówił starzec — dziś... potrzeba, ażebyś natychmiast zdał to miejsce święte... albowiem nie dopuści Bóg, aby mu co złego uczynili, i napelni ich grozą i strachem.

Dzisiejszej nocy jeszcze masz wyniść ztąd i iść w świat, gdzie oczy poniosą. Nad tobą Bóg!

Idź wybrańcze na tułactwo!

— Wybrańcze... — powtórzył Pułaski z boleścią.

— Ale niech cię pycha nie podnosi, choć wybranym jesteś, bo razem z niemi pójdą też na tułactwo i najostatniejsze pomyje narodu, abyście nie mogli pochlubić się, żeście synami Bożymi.. A będa was uczyć tej pokory zbytnicy, którzy wezmą tułactwo, aby je sponiewierali i zwalali.

Jakby złamany wysiłkiem, domawiając słów, żebrak pochylił się i padł w stojące za nim krzesło... a chwilę pozostał milczący z zamkniętymi oczyma, jakby duchem odpoczywał i otrzeźwiał się. Pułaski stał przed nim, nie śmiejąc rzucić pytania.

— Duch mocen, ale ciało słabe... — rzekł zmienionym głosem starzec. — Oto dwa dni, oprócz chleba spleśniałego, nie miałem nic w ustach... a nim powrócę do celi mojej, nie wolno mi też tknać nic, oprócz chleba i wody... Przynieś mi czarnego chleba i podaj kubek wody czystej, abym się orzeźwił.

— Nic więcej? — spytał Kazimierz.

— Nic — odpowiedział żebrak — nakarmię cię, aby mnie odniosło tam, gdzie być powinien, a gdy rozświta, odprawię oliarę przed oltarzem Matki Zbawiciela i pokrzepiony pójdę dalej.

— Nie spoczniecie w klasztorze?

— Ani godziny, ani chwili nad tę, która mi jest dana. Przyszedłem ci oznajmić wolę Bożą i być

świadkiem, że ją wykonasz... a potem, pobłogosławiwszy cię, synu mój, jako błogosławiłem ojcu twemu, pójdę...

— Raczże mi powtórzyć, co czynić mam— odezwał się Pułaski, który zarazem przyniósł dzban wody i chleb i podał je starcowi.

Żebrek pobłogosławił je i wziął, a począł mówić spokojniej, ale stanowczo... jakby wydawał rozkaz nieodwołalny:

— Jest do dnia dosyć czasu... aby się do drogi przysposobić... o północy siedzisz na koniu... sam lub z tymi, których wybierzesz... i którym Bóg myśli towarzyszenia ci natchnie.

— Jakto? przed rankiem? przed mszą twoją, mój ojciec?

— Przed północą... — powtórzył starzec ja klękne do modlitwy, ty wyjdiesz, abyś zaraz gotował się do drogi. Bez pożegnania i ludzi... jako zbieg wyjdiesz wpierwospy. Pobłogosławię cię, w imieniu tego, który rozkazuje ci wynieść z miejsca świętego. Zatem jedna cegła z tych murów wypaść nie powinna... przez cię... Idź, spełnij rozkaz!

Pułaski, załamawszy ręce, stał i wahał się, zdawał się chcieć prosić i modlić, aby mu wolno było dłużej choć kilka godzin tu pozostać. Tę myśl jego jakby odgadnąwszy żebrak, zawolał:

— Jeśli lekceważyć będziesz rozkazy, naówczas na własne barki weźmiesz winę swą i jej skutki, opuści cię opieka Tego, który czuwał nad wami... Zważ, co czynisz, wybieraj...

Zegar klasztorny bił dziesiątą godzinę, starzec, ujrawszy na ścianie krzyż i obraz, nie już nie mówiąc, klął na modlitwę.

Pułaski stał jeszcze, stał, w ostatku skłonił głowę przybity i pocichu wyszedł z celi.

W korytarzu, nieco opodal odedrzwi, stało kilku ze starszyzny, oczekujących na rozkazy dowódcy; po chmurnem czole poznali wszyscy, że przychodził z czemś ciężkiem i niepomyślnem...

— Mam świętego pielgrzyma w celi mojej — przeto drzwi jej są dla wszystkich zamknięte. Rozkazy wydane na jutro, stoją w swej sile, nam z panem Radziwińskim przyjdzie się pójść naradzić... pójdziemy do Refektarza... u drzwi moich niech kto stanie na straży, aby spokoju świętemu mężowi nie przerywano.

Natychmiast Radziwiński wziął światło, a pan Kazimierz milczący skinął mu, aby szedł za nim.

Reszta oczekujących rozeszła się po swych celach... przeczucia jakieś smutne nikomu o śnie i pomysleć nie pozwoliły.

Powrót nagły Pułaskiego, który dniem wprzód w kilkaset koni był wyciągnął na dłuższą wyprawę i niespodzianie powrócił, dawał najobojętniejszym do myślenia. Wiele też mówiła posępna twarz jego, która nigdy kłamać nie umiała.

Skiba znalazł tu starych towarzyszków broni, którzy się doń zbiegli, słuchać opowiadań o losach Krakowa, Tyńca, Bobrka i Lanckorony. Szczególniej wypadki w Tyńcu, potem wieści od Generalności, posłuchy o jej losach zajmowały załogę częstochowską, wyglądającą odsieczy, żywiącą jeszcze lepsze na przyszłość nadzieje... gdy już, niestety — nie było żadnych.

Skiba i Karol opowiadać musieli garstce ciekawych rozczarowujące nowiny swej niedoli; ale samo ich wytrwanie i przybycie tych niedobitków jakiejś dodawało otuchy tym, co się ludzić chcieli.

W ostateczności wszystko się zmienia w nadzieję.

Pułaski wszedł z Radziwińskim, zaufanym swym, do pustego Refektarza. Radziwiński, który go nie odstępował nigdy, był prawą jego ręką, on po nim

brał komendę. Pulaski mu ufał, był to żołnierz mówiący niewiele, ale żelaznej woli i charakteru.

Odsunęli się od drzwi, aby ich nie podsłuchano, Kazimierz zaczął od serdecznego uścisku... milczącego, ale pełnego wzruszenia.

Radziwiński zadrżał, uścisk ten nic dobrego nie wróżył.

— Słuchaj, przyjacielu — rzekł głosem zmienionym — z niewymownym żalem dzielę się z tobą rozkazem z góry, któremu nawykłem być posłusznym... przychodzi mi on przez usta człowieka, którego jak świętego czczę... Muszę spełnić ordynans.

— Co za rozkaz? — podchwycił Radziwiński — żywy i gorączka — może poddać Częstochowę — nie! to nie może być! Będziemy jej, jak Kordecki, bronili do ostatka... wyginiemy do nogi, a gruzy jej nas przysypią.

— Słuchaj cierpliwie — ze smutkiem odparł Pulaski. — Częstochowa nielada jest twierdzą i nie samą twierdzą tylko, którą na łup ruiny dać można. Barski zameczek czem był innem. Berdyczów wszakże poszanować przyszło dla Matki Boskiej, coś dopiero to miejsce, które do milionów, do całej Polski należy... Tak jest, przyjacielu... Częstochowę oddać musimy. Gdyby była isierka nadziei, że się utrzymamy, że ocalim... lecz na próżno się ludzić. My z tysiącem zostaliśmy jedni, jedyni... garść... odrobina... święte mury te obroniły nas od zagłady... Ja... ja muszę was porzucić! muszę odejść, dla wszystkich przebaczenie łatwe...

Westchnął Pulaski.

— Wiem, że załoga cała, gdy ja wyjdę, znajdzie łaskę, ucieszą się, że ostatnich Barskich żołnierzy zmieniają w pospolitych ludzi...

— A cóż z wami? — spytał Radziwiński — co wy myślicie?

— Ze mną — co da Bog! nie wiem! pójdę gdzie poniosą oczy.

I począł znów ścisnąć starego druha, który, jakkolwiek żołnierz zahartowany, człek twardy, zrazu nadasawszy się, lzy ocierał.

— Za godzinę mnie tu nie będzie — dodał Pułaski. — Muszę z ciemnej nocy korzystać. Uchodzę...
A! wcześnie i mnie ze sobą...

Radziwiński, nie żądaj tego, błagam cię, tobie jednemu powierzyć mogę towarzyszków broni, bolesny obowiązek poddania się tak, aby ani życia, ani cześci nie stracili... Proście, starajcie się, aby przynajmniej twierdzę wojsku królewskiemu, nie komu innemu poddać dozwolono.

Bracie — dodał tęskno — Bóg wielki, życie cudów pełne... kto wie?

— Któż pójdzie z wami? — spytał niespokojny towarzysz.

— Zdaję mi się, że Rogowskiego tylko wezmę, a do usług Bohdanka... Gdzie mnie losy zaniosą, nie wiem... ukrainiec mi może rodzinną dumkę na obczyźnie zanuci i łez dobedzie, gdy pierś zduszą... Ani słowa nikomu — dodał — idźcie o głowę moją, o cześć moją!... ani słowa! Dajcie mi pióra i papieru... napiszę do towarzyszków słowo pożegnania... ty jutro tu je... przeczytasz... gdy mnie już nie będzie.

Radziwiński powłókł się spełnić rozkaz, nawykły będąc do ślepego posłuszeństwa; Pułaski został sam. Wzrok jego padł na wielki krucyfik, wiszący na ścianie, kolana ugiął, złożył ręce.

— Prowadź mnie, Boże — rzekł w duchu — na śmierć, na nędzę...

Powracający Radziwiński zastał go jeszcze na klęczkach; ale siadł zaraz pisać, nie mówiąc słowa, kazawszy tylko przywołać Bohdanka, którego wierności był pewien.

Za chwilę stawil się wyrostek, dziecko stepu, z tą fizygnomią, co piękną być umie, choć nie jest, co się wdzięczy jakimś serdecznym urokiem, oczyma łzawemi, usty malinowemi, a w piersi dziecięcej ma męztwo starca...

Bohdan był chłopakiem ledwo wyszłym z chłopięstwa, ale silnie po kozacku zbudowanym, zwinnym i zręcznym. Oczy miał niebieskie, jasne, czoło wysokie, podgolone, a na twarzy ten spryt ukraińca, co się kryje pod dobroduszością wesołą.

— Co bat'ku każecie?

— Naprzód milczeć jak ryba, a spełnić, co powiem... pod utratą łba... Do stajni bez latarni... isć, konia mego, swego i Rogowskiego okulbaczyć, tak, żeby nikt o tem nie wiedział... w troki dam węzelek... za godzinę powinno być wszystko gotowe... ty jedziesz ze mną...

— Slucham...

— Za godzinę, gdy ludzie się pośpią, wyprowadzisz konie, słomą im obwiązawszy kopyta.

Posłuszne kozacze nie śmiało pytać o więcej.

— Konie, choć po ciemku, obmacać dobrze, podkowoy, siodła, popręgi, aby nie brakło... Radzi-miński da klucz od furtki, zwanej wycieczką, konie tam za nią czekać mają. Idź i spraw się...

Kozaczek popatrzył żywemi oczyma, jakby chciał z pana piersi prawdę wyjeść, zawrócił się i poszedł na palcach...

Ale od drzwi jeszcze spytał.

— Na ile dni koszul, ojcze?

— Na całe życie! — surowo odparł Pulaski — rozumiesz... koni mi nie obciążać... koszula się znajdzie na ciału, póki dusza w niem... ruszaj...

Bohdanek zatrzymał się, usta mu drgnęły, ale zmilczał... pan nie był rozmowny.

Ciężkież to było pożegnanie z towarzyszami doli i niedoli — a najcięższe z tą nadzieją, donoszoną do

dni ostatnich... Naraz wszystko trzeba było porzucić i iść... w ciemną, nieznaną przeszłość.

Ale tej twarzy i duszy obcą była słabość, co siłę pozbawia, im boleść stała się większą, tem energia do pokonania jej rosła.

Gdy się ten dramat serdeczny odgrywał w tajemnicy dla wszystkich, w celi dowódcy modlił się i spoczywał pielgrzym, a u drzwi jej poziewał chodząc, niby na straży postawiony. konfederat...

Skibie leżało na sereu, aby tego starca... mógł ucałować ręce... przemówić doń serdecznie... byli dawni znajomi... Rozgadawszy się i uplakawszy ze swymi, wyszedł cichaczem w korytarz, domyślając się, gdzie szukać żebraka potrzeba... Pokazano mu celę Pułaskiego, ale w progu jej żołnierz zaparł mu drogę.

Komenda, panie pułkowniku, nie wolno nikomu...

Skiba się zafrasował, myśląc, co pocznie, gdy wewnątrz głos się ozwał donośny.

— Puszczaj!

Korzystając z pozwolenia, wszedł co prędzej... na środku izby stał żebrak ów z wyciągnionemi rękami i nie dając się pochylić do swej dłoni Skibie, pochwycił go w ramiona.

— Nie korz się przed zlepkim, korz się przed Bogiem — jam nie ten, co byłem... nie natchniony duchem prorok... ale zdruzgotany obłamek człowieka... z wyplakanemi oczyma. *Fuimus! fuimus!* a za pokolen naszych już to, co było, nie powróci. Cóż ty stary robaku? powiedz mi zkad? dokad?... Ja coś wiem i nic nie wiem... widzę jak przez mgłę i niepomnę...

— O moich losach co tam prawić — odparł Skiba — tubym chciał śmierć znaleźć...

Starzec pokiwał głową.

— Oj, duszo harda! duszo harda! jakże to was Bóg chłostać musi, aby pokory nauczył... Więc wam

koniecznie zwycięstw, albo bohaterskiej śmierci potrzeba... a cierpieć, a siedzieć z głową posypaną popiołem—nie laska?? Węcbyscie dla dumki waszej w perzynę gotowi miejsce święte obrócić?

— Mamyż broń złożyć? Czyż taka dyspozycja Boża?

— Dyspozycja zawsze jedna — pokora i posłuszeństwo...

Zatrzymał się...

— No, to ci powiem, stary a wierny żołnierzu chorągwi Matki Boskiej... powiem ci... Tak... kazano się poddać... upokorzyć. Poszaleliśmy swobodą, popiliśmy się swawolą—nie chciało się króla, nie szanowało prawa, nie uznawało w chacie człowieka... więc oko za oko, ząb za ząb weźmie mściwy Bóg Izraela. „I wyciągnę rękę moją na nie, i uczynię ziemię spustoszoną i opuszczoną od puszczy Deblatha... po wszech mieszkańcach ich... a doznają, żem ja Pan...” (Ezechiel 6). Tak, synu, kara się dopiero poczyną. Jam przyszedł z rozkazem Pańskim, abyście rozpoczęli pokutę...

Skibie wargi drżały, oczy się zaczerwieniły, bo płakać nie mógł już, a w piersi gotowało mu się i wrzało, ale nie wybuchnął...

— Cóż nam czynić? — spytał po żołniersku.

Żyć i pokutować włosiennicą okrytym...

A dla mnie, ojcze, przykazanie jakie? — zapytał Skiba, ja nie mam domu, ani dzieci, ani majątku, nie, prócz życia ciężaru...

— Ułituje się pan — odpowiedział zebrak — ulituje... on sam natchnie, ja nie wiem, ja dla was nie mam rozkazu...

Skiba ręce zalał.

— O, ojcze mój święty — zawołał niechże ja stary pień spruchniały... burza go lada dzień obali... klasztor mi da przytułek, a suknia mnisza spokój... ale ze mną jest chłopak, jak róża rozkwitły, czysty,

pocziwy, który przysiągł sobie nie wracać do domu... Święte dziecko, dobre dziecko... pokochałem go, jak własne... co z nim pocznę, mój ojciec, powiedz?..

— Nie widzę go — rzekł powoli starzec — jak mu imię?

— Karol—Karol Pluta...

— Ten, który jechał przy boku twoim... Niech idzie, przywiedź mi go tu... dam i jemu szkaplerze z błogosławieństwem... ale nie rychlej, aż tu przyjdzie Pułaski... Pomodłę się na intencję waszą...

— Więc żadnej pociechy? żadnej nadziei?

— Synu... Bóg zawsze ma pociechy, Bóg zawsze chowa nadzieję. Ale czyśmy zasłużyli na nie? Wyście może lepsi od innych, ale dla dziesięciu sprawiedliwych Sodoma i Gomora nie będzie ocaloną... Wierzyliśmy więcej w Turka, więcej w Wołoszyny zdradne, we Francuzy płocze, w Rakuszan... niż w Boga i cnotę... Bóg karze...

— Cóż czynić?

— Modlić się, pracować.

— Długo?

— Starcze! przyszłości się nie mierzy ludzkim życiem... Świętokradzka, kto ją chce odsłaniać, gdy niema woli Bożej...

— A! nie dla siebie... nie — rzekł z zapalem Skiba.

— A wola Pańska? a wyroki Jego? wybyście je złamać chcieli?... nie... stanie się, co przeznaczył — amen. „I będzie ziemia Egipska pustynią i spustoszeniem, a poznają, że Pan, za to, żeś mówił:—Moja jest ręka i jam ją uczynił... I dam ziemię Egipską pustą w pośrodku miast zburzonych i będą puste... czterdzieści lat, a Egipcyanie rozproszę między narody i rozwieję je po ziemiach” (Ezechiel 29).

Mówiąc to, gdy kończył, zapłakał, puścili się łzy Skibie i tak w milczeniu owi starce stojąc, łykali łzy, a nie mówiąc słowa, poili się boleścią.

Wtem zapukano do drzwi, w progu ukazał się Kazimierz Pułaski, którego na pierwszy rzut oka ciężko było poznać, bo i twarz przez tę godzinę zmieniła mu się pod naciskiem troski — i strój był przywdział niezwykle.

Ubierał się zwykle p. Pułaski po huzarsku, a jak to było w obyczaju dla dowódców nie szczędząc galonów, guzów i sznurów; teraz włożył prostą szaraczkową taratatkę, a w rękę miał granatową czapkę z siwym barankiem... Twarz była czarna i posępna. Ujrawszy go żebrak, szepnął Skibie:

— Idź po swego chłopca, nie trzeba czasu tracić.

— Po kogo? — spytał, dosłyszawszy, Kazimierz.

Daj ci Bóg pocziwego towarzysza, którego potrzeba wziąć ztąd, bo się przydać może... Nie znasz go ani z imienia, ani z nazwiska; ale oto ten zań ręczy i prosi za nim.

— Modłę się — dodał Skiba

— Każecie, wezmę — rzekł łagodnie przybyły — ale ojcze, ojcze! na tę drogę nędzy i tęsknoty... a! daj mi krzyż swój i błogosławieństwo... błogosławieństwo Abrahama i Jakóba, któreby ulżyło bolu, a pomagało dźwigać ciężar... Zlituj się słabości ludzkiej.

Właśnie gdy to mówił, starzec z pod sukni dobył kilka par szkaplerzy i żegnając je drżącą dłonią, modlił się.

— Jedne z nich są dla ciebie, te dla twych towarzyszków. Zawieś je i noś na sobie... będą ci bronią i puklerzem... Jeśli z piersi twych znikną... nie lękaj się, ale przygotuj umrzeć po chrześcijańsku... będzie to bowiem oznajmieniem rychłego końca. Bóg da ci to hasło, gdy powołać zechce... A teraz nie marudźcie, czas wam w drogę... w imię Ojca i Syna...

I na schylonego włożył szkaplerze... Pułaski rozpiął suknię, aby je na piersi uwiesić i pocałował w rękę starca.

Prawie w tejże chwili Skiba przyprowadził Karola, na którego ciekawie się oczy wszystkich zwróciły. Stał blady i pomieszany przed Pulaskim... Że-brak długo nań patrzył, a powoli badając go, wyjaśniała mu się twarz, bo poczuł, że czystą, dziewiczą i szlachetną istotę miał przed sobą... jeszcze w zętknięciu ze światem niepokalaną.

— Słuchaj, dziecko — odezwał się. — Bieć się już dłużej teraz wzbroniono, taki jest ordynans Boży. Chcesz iść z panem Pulaskim? nie żal ci rodziny, domu... kraju?

— Al żal mi, mój ojciec... alem poprzysiągł poświęcić się... pójdę, gdzie jej użytecznym być mogę...

— Jakże w rozproszeniu, na tulactwie służyć będziesz tej ojczyźnie umiłowanej, powiedz mi?

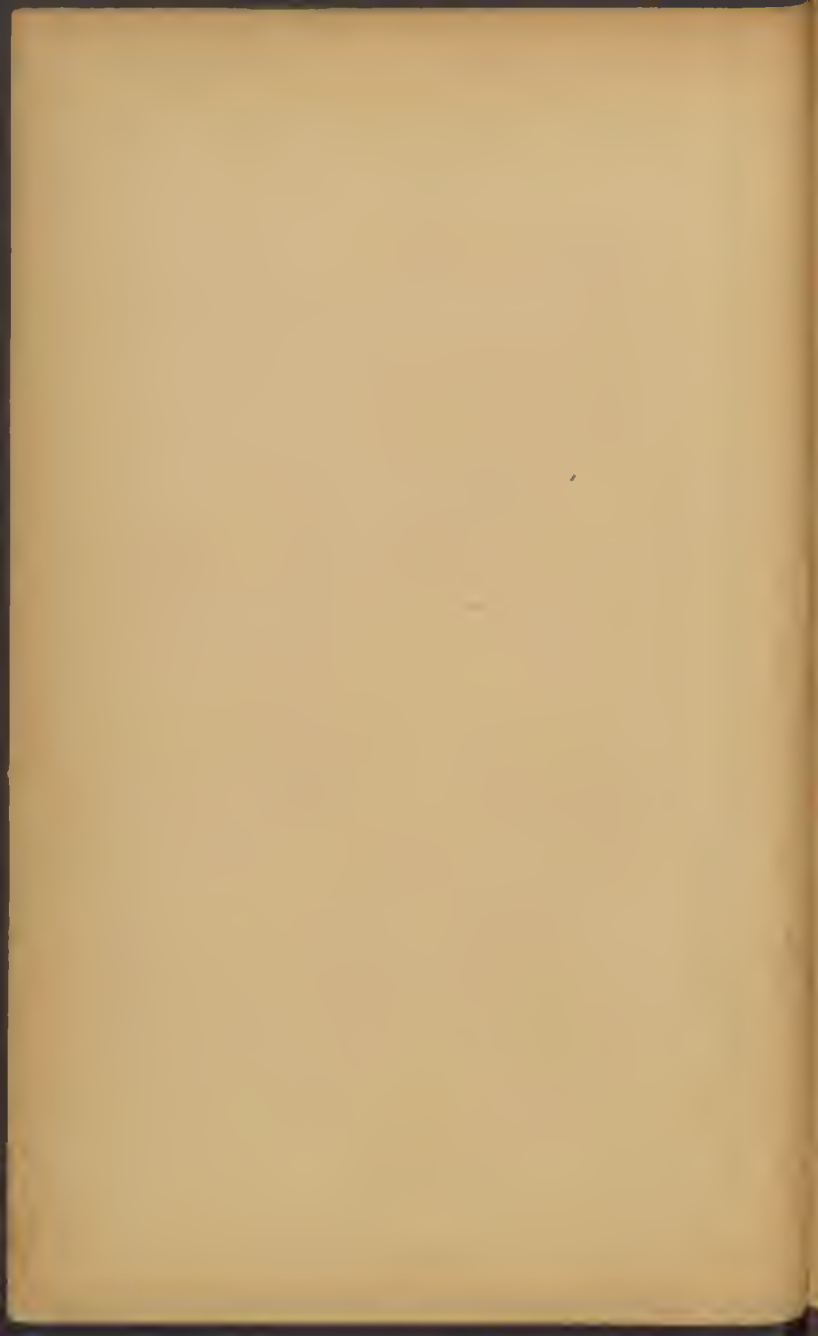
— Nauczcie mnie...

— Służ jej cnotą twą. W domu, synu, myśmy między swoimi na gnieździe, drzwi zaparte... Bóg tylko widzi i sądzi, ale jak wychodząc za wieś chłopiek bierze odzież czystą, aby sądzono z niej o za-możności chaty, tak i my musimy iść odziani pocziwością, aby z nas o Polsce wnoszono, a nie powiedziano o niej — jest legowiskiem niepocziwych. Dziecko moje, pomnij te słowa, bo wielu ich nie poczuje w sercu, a sromem nas okryją...

To mówiąc, włożył mu na szyję poświęcone szkaplerze...

Kilku jeźdźców wyszło furta wycieczki z klasztoru i milcząc, puścili się drogą ku granicy.

A gdy przyszło rozstać się z Polską i przekroczyć ostatnią rubież jej... dopiero wstrzymali konie wszyscy... a odwróciwszy twarze ku wschodowi, klękli się modlić..., żegnając w duszy wszystko, wszystko, co rzucali za sobą.



Księga IV.

TUŁACTWO.

Któż zliczy, ile rodzajów tułaczów i tułactw, zrodziła ta godzina; ilu wędrowców opuszczało kraj, jak szczury wynoszą się z okrętu, co ma splonąć, jak ptacy z gniazda na drzewie, które ma wichur obalić.

Była w tem jakaś mistyczna siła... niepojęta.

Począwszy od króla, który śnił o abdykacyi i chciał umierać pod włoskiem niebem, spokojnie — począwszy od tego nieszczęśliwego króla, marzącego o Włoszech, uciekali lub pragnęli uciec wszyscy od grożącego kataklizmu.

Stary życia porządek runął, zwichnęły się osie jego, nowego stworzyć nikt nie miał mocy, na to się składają wieki.

Ostatnie dni dogorywającej konfederacyi były także włóczęgą: z Turcyi na Waradyn szedł Krasin-ski do Węgier, gonił go zwaśniony z nim Potocki,

klócono się w Preszowie za radziwiłłowskim stołem, pijąc tokaj, potem wygnana generalność biegła do Cieszyna i Białej, potem jękami tylko znaczyła drogę wygnania z Braunau, Augsburga, Lindawy.

W Wiedniu Pac i Jabłonowski napróżno modlili się do Kaunitza, próżno inni biegli do Dreżna szukać nadziei u królewicza, który poślubiwszy Polkę, już miał czas dla niej zobojętnieć i o jej ojczyźnie zapomnieć. Garnęli się tu ci, co w słabej Saksonii dla słabszej jeszcze Polski wyglądali posilku.

Pełno było tych dyplomatów improwizowanych na dworze Ludwika, u wrót Porty, ba! nawet w pokojach Fryderyka, choć ten przynajmniej nie obiecywał nic, a co mógł, zagarniał pod siebie. — Było to królestwo w dorobku...

Zawczasu poczęły się te bieganiny po świecie, gnała losu ręka niewidzialna po rozdrożach, za mórza, gdzie wprzód imię i stopa Polaka nie powstała.

Kościuszkę sposobił się do wielkich przeznaczeń pod bokiem Washingtona, marząc w ogródku w West-Point o Polsce wśród krzaków bzu, przypominających wiosnę naszą.

Beniowski konfederat dla miłości swobody zabiegł pod biegun północny, o nieznanych marząc świątach, o wyrąbanych królestwach i podbojach, które mu może powieści Dzierżanowskiego w bujnej wyobraźni zasadziły.

Niezbłagane dzieje niedoli pisał wciąż palec Boży na coraz czarniejszych kartach...

Radziwiłł przejednał się i powrócił, nawalęsawszy się go świecie, po drogach, które wysypywał złotem, zdumiewając tą milionową nędzą; wrócił Ogiński, przebolawszy w Królewcu i Dreżnie i Włoszech przegraną Stoloricką i utracone toaletowe przybory. Wrócili inni, cichaczem jednając się z królem, który

tak był grzeczny dla wszystkich i tak wymowny, że nawracać umiał nawet najupartszych.

Wracali moźni, tułali się ubodzy.

Ślodził się on gorzki chleb tułactwa temi nadziejami z obłoków, którym każdy dzień kłam zadawał. a każde je odradzało jutro.

Polska rozprezentowana była w Europie przez bohaterów i samozwańców, przez najwybrańszych i najostateczniejszych. Nie brak jej było nawet istot zagadkowych i tajemniczych, którzy w epoce niewiary szli w imię mętnych religijnych idei...

Razem prawie z Pułaskim wyszedł z Częstochowy ów Frank, co Mojżesza miał przejednać z Chrystusem... kupił do siebie tłumy, sypał złotem... siał przed adeptami niezrozumiałą naukę, roznosząc ją po świecie z piętnem tajemnicy, pod godłem Polski.

Któż zliczy!

To pierwsze tułactwo polskie było jeszcze pełnem nadziei; nikt nie rozwiązywał sakiew podróżnych i nie siadał do pracy: czekano cudownego jutra... Tułactwo to nie miało jeszcze tej nędzy i goryczy, jakie się czuć dały następny — nigdzie nie odmawiano przytulku, wszędzie zmuszano się do współczucia, nie okazywano obawy, a gościnność była, jeśli nie serdeczną, to głośną i pokązną.

Było to w drugiej połowie sierpnia 1777 roku.

Na rozkołysanych falach Oceanu Atlantyckiego. zgubiony wśród niezmiernych przestrzeni. sam jeden na całym widnokręgu — biegł ku brzegom Nowego Świata statek francuski *La belle Louise*

Wieczór się zbliżał, powietrze duszne było i gorące, słońce piekło jak ogniem, na umysłach i ciałach ciężąc ołowiem, chociaż chwilami zrywał się wiatr silny, lecz parny i rozpłomieniony, dodawał żaru, nie chłodził.

Majtkowie ściągali żagle powoli. Mimo, że niebo jasne było jeszcze i wypogodzone szeroko, ale dla doświadczonych oczów marynarzy zwiastowała się już burza, nadejść mająca nocą... kilka smug ciemniejszych, kilka kłębiastych obłoków rozścielało się w dali na jaskrawem niebie zachodu.

Płastwo morskie niespokojnie latało dokoła okrętu nisko, a dwa rekiny, oddawna płynące w ślad za piękną Ludwiką, wychylały niekiedy głowy nad zburzone fale, jakby upatrywały, rychło im krucha łupina okrętowa — ofiary wyrzuci.

Z rachunku kapitana statku Leclerc, starego morskiego wilka — jak go zwali podwładni -- i z licznych, niewątpliwych oznak zwiastujących dla żeglarzy zbliżanie się do lądu, wnosić już było można, iż statek wkrótce swej dwumiesięcznej dokona podróży.

Szczęśliwie dosyć przebył on niebezpieczną żeglugę, ale tu, u kresu, gromadziły się trudności i niebezpieczeństwa.

Dokoła tych brzegów, po za którymi wrzała walka zajądła pomiędzy krajem, który swą niezawisłość ogłosił, a starym jego parem, co mu jej odmawiał — krążyły niepoliczone statki Anglii, dumnej ze swej niezachwianej dotąd przewagi na morzu, broniące przystępu, szczególniej okrętom płynącym z Francyi, wiozącym pomoc, otuchę, nadzieję...

Wszystko, co tu zmierzało, podejrzewano o współczucie dla buntu, a posilkowanie niepodległych kolonistów.

Łatwiej było przepłynąć ocean, niż uniknąć na wodach Ameryki spotkania z korsarskimi statkami i flotą Wielkiej Brytanii, która niosła na flagach swych sławę niezwyciężonej.

Burza widocznie nadciągająca i owo przeczucie statków krążących u wybrzeży — chmurą powlekały czoło kapitana pięknej Ludwiki, który z ogorzałą twarzą swą, posępną, milczącą, pokazywał się z kolei

wszędzie, gdzie coś wykonać było potrzeba. To się przyglądał mglistej dali w stronie, od której ziemię ujrzeć się spodziewał; to patrzył po wodach oceanu, rozkołysanych już i wzdętych. Dano rozkaz zwijania żagli, gdyż nocą niepodobna było zbliżyć się do lądu.

Noc tę burzę kazala przebyć jeszcze na rozkołysanych falach, walcząc ze zburzoną głębią... a potem pozostawało jeszcze potluczonym może szczątkom zdążyć do przystańi, ściganym przez angielskie kule.

Nie dziw, że wobec takiej przyszłości groźnej kapitan był ponury i zadumany.

Na pokładzie statku siedziało w milczeniu posępnem kilku ludzi. — Byli to podróżni już znużeni długiem morza kołysaniem, oczy ich pożądliwie wyglądały ziemi, ziemi nieznanej, ziemi swobody — dla wielu z nich tylko ojczyzny złota, gdzie człowiek mógł się sprzedać korzystnie.

I tu, jak wszędzie, sprawa wolności ciągnęła ku sobie najczystszych bohaterów i tych, co na świecie nawet honoru już do stracenia nie mieli.

Wypowiedział wielki wieszcz wieków (Dante), tę jedną z najsroższych boleści tułactwa, iż szlachetne serca brzemie jego na wspólnie nosić muszą obok społeczeństwa wyrzutków. Iść potrzeba z pokorą tą drogą skutym ze zbrodni i podłością często dla większej jeszcze ofiary.

Na jednego, młodzieńczym zapalem popchniętego Lafayette'a, iluż tam było startych na miazgę, życiem obrukanych niedobitków swawoli, szumowin i śmiecia!

I ten okręt, płynący ku Ameryce, wiozł jej w swem łonie zwykły kontyngens bohaterstwa i nikiemności. Na pokładzie w jednym kącie siedzieli smutnie i poważnie ludzie umiejący życie dźwigać godnie, w drugim kręcili się niespokojnie ci, którym pilno było tylko wyjść calo, a przechandlować się drogo.

Statek prawdopodobnie miał doścignąć lądu pomiędzy Karoliną północną a nowym Jersey, a tu

właśnie koło ujścia Delawary kręcili się obficie angielskie rozbójniki.

Ściśnięci w gromadkę, pół siedząc, pół leżąc na zwojach lin okrętowych i rzuconych płaszcach, gwarzyli cicho polscy tulacze. to znów długiem milczeniem wypoczywali.

Byli to Kazimierz Puławski, Karol Pluta i Maciej Rogowski.

Pierwszy z nich teraz się zdawał złamanym i przybitym więcej, niż w ciągu całej podróży, w której sam drugich znużenie krzepił, zniechęcenie rozpraszal, nadzieje podtrzymywał.

Na tym statku, co ich niósł, czuł się jeszcze prawie w Europie, jakby w jakimś domu szczątku; za dzień, za dwa miał już stopą dotknąć nieznanego świata, ziemi wolności.

Wszystkie odpędzane tęsknice po kraju rodzonym, po przeszłości ze światel i cieni utkanej, cisnęły się ku niemu, obsiadały piersi, zawisły na czole, przygniatały myśl znękaną.

Niekiedy rzadki gość na męskiej powiece, lza, zakręciła się w oku i nikła spalona. Usta czasem nieprzytomne, machinalnie poczęły jakby modlitwę, a myśl nadbiegła i ołtarz ów obaliła. Uśmiechało się lice i oblekało żalobą, krew napływała i uciekała od serca, jakby zapowiadająca się burza już i niem miotła.

Co też przeżył ów złomek człowieka od tej godziny, gdy wyszedł z ojcem i braćmi do Baru?? Upokorzenie, niechęci i waśnie, potwarze i ohydę. Ojciec zmarł, dobity niemi, bracia życie oddali, on jeden, gdy miał się pogrzebać żywcem w gruzach twierdzy... rozkaz z góry wytrącił mu miecz i wskazał tulaćtwo.

W stolicy Saskiej zobaczył znów, powital i po-

żegnał. niegdyś ukochaną Franusię Krasieńską, tyłu nadziejami szczęśliwą, a teraz tak biedną...

Potem walczał się bez celu, do Turcyi, aby być świadkiem i uczestnikiem klęski; aby uciekać z hańbą i gniewem od murów Sylistryi, przeżyć kilka dni jaśniejszych w Adryanopolu i Rodosto, przedzrymać miesiące w Stambule. — To był tylko nocleg w gospodzie.

Wspomnienia tego kilkoletniego, a kilkowiekowem zdającego się tulactwa — oblegały biednego żołnierza. A nad nie wszystkie żywiej przypominała się Ukraina i Podole, lata młode, matka, co go w progu nowego życia błogosławiła, ojciec i wieczory pod lipami, na których klekotały bociany przyjaciele, i to szare niebo północy, ze zgrzebnych domowych płócien utkane.

Przychodziły łzy po jednej na każdy ból, a odprawiał je napowrót do serec, aby z niego nie wychodziły.

Obok niego siedzieli towarzysze przybici, wymęczeni swym smutkiem, podróżą i tęsknotą długą.

Karol usiłował utaić w sobie uczucia, które nim miotaly, choć z duszy odzywała mu się ta pieśń nie pozbyta wspomnień, do szalu i rozpaczcy rozgorączkowująca człowieka.

Rogowski nie wiele tam zostawił prócz grobów. a i jemu po wąsach pływały łzy, które przeklinając, odpędzał.

Gdy odpoczywali w stolicy saskiej, ojciec, dowiedziawszy się z listu o jego pohycie, przybiegł sam, chcąc go z sobą zabrać do Skały; ale próżne były pokusy i namowy.

Ojciec prosił, przekonywał, na końcu uległ. Prosił drugich, aby za niego mówili do upartego dziecka; Pułaski sam skłaniał go do powrotu, ale milczący Karol stał przy swoim, że mu towarzyszyć będzie.

Tęsknił po dziadzie, po matce, ojcu i po Ewusi. o której nie śmiał wspominać, ale tęsknota potęgowała w nim żądze ofiary.

Iść na tulactwo dobrowolne, zdawało mu się z razu tak pięknem, jak Radziwillom, Ogińskim, Pacom, Potockim, którzy wszakże jeszcze piękniejszem wkrótce uznali powrócić do łask królewskich i do domu.

Dalecy krewni Plutów, Mniewscy, bawiący wówczas w Dreźnie, bo Drezno od czasów Saskich było dla wielu pierwszym popasem tulactwa, dla innych pierwszym i ostatnim, zaczęła pani Moszyńska, inni ziomkowie używali wszelkich możliwych perswazyj, aby go skłonić do powrotu, ale wyblagał u ojca, że mu pozwolił dzielić Pułaskiego losy.

Nao brzegami Elby rozstali się z ojcem, który powrócił do Skały. a syn poszedł bić się pod Sylistryą, patrzeć na morze w Rodosto, tęsknić, blakając się nad najpiękniejszymi w świecie wybrzeżami Carogrodu, aż dopóki rozbudzony nagle Pułaski nie zawołał:

— Jedźmy do Ameryki!

— Do Ameryki! — myśl tę z zapalem młodości pochwycił Karol.

Teraz siedział i on z ciężarem na duszy, ale z dumą zarazem, że dotrwał na stanowisku, i jednym westchnieniem żegnał ojczyznę, drugim witał ziemię boju i trudu.

Promienisto wydawał mu się ten kraj tytanicznych zapasów, homerowych bojów i spartańską cnotą odzianych, jak zbroją, bohaterów.

Wśród tego milczenia i smutnych myśli wieczora niekiedy słówkiem odezwał się który z nich o Polsce. Po licach przebiegł jakby promień światła, potem jakby chmura ciemna i znów milczenie.

— Któżby to był mi powiedział, gdym chłopieciem biegał po polach w Raduczu, że mnie wiatry i miłość ku wam zagnają kiedyś aż do Antypodów! Rzekło się wprawdzie w Częstochowie — mówił Ro-

gowski — że choćby do Antypodów za wami, ale dali-pan, nie myślałem wówczas, ażeby się to sprawdzić miało. —

— Hej! hej! ktoby mi był śmiał przeczyć — odparł Pułaski — że na murach Jasnogórskich życia nie położę, miałbym go za oszczercę... ale losy człowieka to wiekuista zagadka. Bóg kazał inaczej — nie myślmymy o tem — stało się. Karol westchnął i on pomyślał.

Gdym wyjeżdżał do Tyńca lub Częstochowy, któżby zgadł, że się na ocean Atlantycki zabłąkam?

— Dziś, jeśli mi kogo żal, to tego dziecka Ukrai-ny, Bohdanka mojego — mówił Pułaski — trzebać mu było, wyrwawszy się cało z rąk tłuszczy tureckiej pod Sylistryą, przepłynąwszy większą część drogi, dać się pożreć rekinowi pod San Domingo... biedne, pocziwe chłopię...

— Ale bo i sam sobie winien, do trzykroć!... przerwał Rogowski — com go naprzestrzegał, żeby nie dokazywał z tem pływaniem. Dobrze to u nas, gdzie największa ryba sum, ale tu... te dyabelskie monstra toby wołu zjadły na śniadanie, nie tylko takie drobne stworzenie, jak Bohdanek... Ale on byle wodę zobaczył, jak ryba, jak amfibia zaraz mu się zachciewało pływać.

— Dajże mu już pokój nieborakowi — odparł smutnie Pułaski — niech mu Bóg da odpoczynek... dziecko było i służka serdeczny. Mój Boże, jak to piosnki śpiewało! Nie jestem zabobonny — dodał — ale mam to sobie za niedobłą wróżbę, że swoją miłość dla mnie życiem przypłacił.

Rogowski westchnął.

— El generale — rzekł po chwili — kto tam wie, co lepiej, czy ginać od rekina, który gładko schrusta, czy od kuli angielskiej, co gotowa, na dwa podzieliwszy dania, naprzód zrobić kaleką, a w końcu nieboszczykiem.

– Zapewne odparł Pulaski kiedy zginąć raz potrzeba. To też mi to wszystko jedno, co Bóg przeznaczy, ale bym już co rychlej pragnął na ląd wysiąść i bić się a coś robić. Ta długa bezczynność i kontemplencya wód morskich... rano, w południe i na wieczór, zmordowały mnie... Gładką powierzchnia tej szyby nudzi, niecierpliwi... obmierzłe morze... Fala ruchawa niby, bałamutna, a zawsze toż samo... i człowiek przeciw niej nie może...

– Nie trzebaby jednak klócić się z nią i mówić jej nieprzyjemności przed burzą odezwał się Rogowski – na noc podobno zbierze się na dobrą przeprawę. Niedarmo kapitan Leclerc chodzi nasępiony jak mruk, nawet nie poświstuje, a płótno ściągają zewsząd. Uważałem to nieraz, że gdy tylko te szmaty poczną wałkować... już coś złego... grozi.

– Zbiera się na burzę, to pewna – dorzucił Karol – chmury pędzą, choć jeszcze daleko, wiatr dmie coraz gwałtowniej i nierówno, jakby się gniewał... zły znak. Okręt, jak lupina, skacze po falach.

Zamilkli. Karol na wspomnienie Bohdanka westchnął po swoim Staszku... Nie wiedział nawet, co się z nim teraz działo. Musiał go zostawić w Częstochowie, ale chłopię wierne doгнаło go później w Dreźnie, towarzyszyło wszędzie i dopiero w Paryżu, przestraszone długą morską podróżą, wahać się poczęło...

Karol, widząc go smutnym, sam się postarał zostawić go we Francyi... Staszek miał wrócić do Skąły... wahał się jednak...

Głos kapitana Leclerc, komenderującego, mieszał się z szumem wichru, płuskiem fal coraz rosnących, ogromnych, spienionych, z chrzęstem masztów i drzewa w samych wnętrznościach statku. Majtkowie zwiłali się żywo, mrok zapadał, burza nadciągała wido-

cznie... Niekiedy w dali błyskawica, jak wstęga złota, przerznęła czarne obłoki i piorun przeleciał, jak wąż w przepaście... to znów cichło, milczenie groźne dawało słyszeć nowy ryk nadchodzącej burzy, która rosła, wzmagala się, wyla i ustawiała, jakby sil do nowych szalów nabrać potrzebowała...

Milczenie naówczas straszniejszym było od szumów i wycia...

Wśród nadchodzącej wrzawy... z pod pokładu dobył się nagle na wierzch człowiek szpakowaty, ospowaty, niemilej, choć usiłującej przymilić się twarzy, małych oczek krecich, rysów ruchawych poliszynella, suchy, żyłasty... Oparł się łokciami o deski, wystawił głowę zaspną, obejrzał dokola, a obaczywszy chmury i poczuwszy wicher, który go opoliczkował, wyskoczył niespokojny na podłogę.

Był to Gaskończyk, kapitan Girod, płynący jako towar do Ameryki, typ oryginalny człowieka na sprzedaż... który tak wysokie miał, a przynajmniej okazywał o sobie wyobrażenie, iż mu się zdalo, że byle dotknął stopą ziemi nowego lądu, a zagadać raczył do Washingtona, Amerykanic go złotem obsypią i na rękach nosić będą... pod palankinem...

Girod roił o świetnej przyszłości. Ale burza w pobliżu lądu, a jeszcze nocą, przeraziła go niepoemału, począł się obawiać o drogą swą osobę, zachmurzył i pobiegł do zasępionego Leclerca.

- Kapitanie! czy jest niebezpieczeństwo? na miły Bóg, czy jest niebezpieczeństwo?

Francuz, nic nie odpowiadając nawet, ręką rzucał w powietrzu zniecierpliwiony, pozbywając się natręta.

Burza, burza nadchodzi widocznie, ja się znam na tem, jak na innych sprawach... wy to wiecie! A właśnie jesteśmy nicopodal od brzegów. nuż nas rzuci o skały lub osadzi na mieliźnie.

O mało nie dodał: *Caesurem vehis ejusque fortunum*; ale Leclerc odpędził go gniewny, rozkazując mu niegrzecznie iść do stu tysięcy dyabłów. Naówczas przerażony Girod, czując w niebezpieczeństwie niepohamowaną potrzebę wygadania się, obrócił się do garstki Polaków.

Można sobie wystawić, jak ta samochwalcza awanturnika postać wstrętną była dla Pułaskiego; rad się jej pozbywał, aby jak najmniej o tę żywą antithezę ocierać.

Ale Girod umiał być natrętnym aż do głuchoty i ślepoty dobrowolnej. — Dopadł do nich, łamiąc ręce:

— To balwan ten kapitan, on nas wszystkich pogubić może! Co panowie myślicie? To nie są żarty! Leclerc mruk ani się odezwie, prawdziwy rekin morski, czując grożące niebezpieczeństwo...

Wszyscy milczeli.

— Śliczna rzecz! przepłynąć ocean, nadławić się morską chorobą, a na brzegu dać nurka! Gdybym był wiedział, co się stanie... byłbym został w San Domingo... poczekał na inny statek...

Z nim ani pogadać, ani mu poradzić! Żeglowałem nie po jednym morzu... pod noc w burzę... nad brzegami...

Gdy Gaskończyk tak narzekał, maszty coraz mocniej trzaskały, gięte od wichru, burza rosła, statek obnażony z płótna, rzucany falami, kołysał się, przechylał, skakał po pełnem morzu, na łaskę wiatru i wody oddany.

Miotano nim już tak, że ludzie na pokładzie, choć nawykli do tych skoków, musieli się oburącz trzymać lin i drzewa, aby ich fala i wiatr nie zniosły. Balwany, coraz groźniejsze, przeskakiwały statek, porywając z sobą, co spotkały; Gaskończyk schronił

się pod ławę, klnąc i płacząc; nikt na niego nie zważał.

Noc stawała się co chwila czarniejszą, przepaścistszą, zstąpiła z chmurami gęstemi, zdając się niebo przechylać tak, iż nad masztami zawisło. Nakoniec lunął deszcz ulewny, a raczej strumienie wody rzuciły się z obłoków rozerwanych, pioruny bić zaczęły, a błyskawice nieustannie oślepić.

Na pokładzie cisza była uroczysta, ludzie zmaleli, tulili się, jak robaczki po okrętu szczelinach. Każdy z nich zajmował swe miejsce milczący, z okiem wlepionem w linę, w maszt, w pompę, gdzie stał i co mu oddano do straży. Kapitan, jak wrosły do desek, niemy, obojętny, zimny, patrzył na ten szal żywiołów, nie nowy dlań, z zimną krwią, z chłodną powagą starego marynarza... który nie jeden orkan przebył na Chińskich i Japońskich wodach.

Burza, choć gwałtowna, nie była wszakże tą trąbą porywającą i druzgocącą wszystko, z której cudem chyba statek wyjść może cało. Kładła ona okręt, rzucała go w przepaści, miotała nim w górę, ale walczyć z nią mógł rozum, męstwo i doświadczenie człowieka.

— I ta burza u brzegów to także nie najlepsza dla nas przepowiednia — rzekł Pułaski.

— Ktoby powiedział — szepnął Rogowski — że, jak mi Bóg miły, kochany wódz wierzysz w te banialuki... Co ma za związek burza amerykańska z naszym losem?

Ot to bieda — dodał — że zasnąć będzie trudno, bo hałasuje dyabło i z łóżka wyrzucić może... a ta noc wyda się, jak czterysta lat długą... Czeluści czarne... chmurzyska gdyby całuny...

Girod jęczał i kłął na przemiany... modlił się nawet pocichu, na wszelki przypadek, gdyby gdzie jaki Pan Bóg się znalazł, choć w pogodę zwykły był chlubić się ateuszowstwem... Niekiedy głowę podniósł,

w niebiosach szukając nadziei, to znów chował ją ze strachu...

Wściekły wichur okręt rzedził, miotał nim jak dziecinną zabawką... Były chwile, że statek pocyniony zdawał się wywracać i tonać, to znów wzlatywał, odbity na grzbiecie fal i wyskakiwał w powietrze... i wpadał w przepaście...

Szerokie błyskawice wszystko się zdawały zapalać dokoła, ale w ich blasku nie widać było nic, oprócz piętrzących się fal i białej piany, która je obrebiała. Niekiedy otwierała się, jakby paszcza ogromna, spieniona i zdawała chcieć pożreć statek... oblewała pokład, przelatywała przezeń i biegła dalej...

— Zważcie, proszę — rzekł, przysuwając się Girod — co za los mój! już miałem zapewnione szczęście, byłem się tylko na ląd dostał... a tu... sądny dzień... to nie obejdzie się bez katastrofy. Jeszczem takiej burzy na morzu nie widział.

— A ta, co nas chwyciła u Antyllów? — spytał Rogowski.

— Tamta! to była zabawka w porównaniu do tej piekielnej nocy...

— Prawda — dodał Pułaski po polsku — że to noc jarząbkowa—wszakże tak, panie Macieju?... u nas się tak te błyskawiczne nocy nazywają...

— Ale wiem, jarząbkowemi lub Eliaszwowemi...

— Na Rusi — dodał z westchnieniem Pułaski.

Girodowi w biedzie gęba się nie zamykała, ale nikt go nie słuchał.

— To już fatalność jakaś — wołał — służyłem Fryderykowi Wielkiemu i tam mi dyabeł przeszkodził do jeneralskich szlifów, choć stary Fryc poznał się na mnie i cenił; służyłem potem w austriackich dragonach i ztamtąd mnie intrygą wypchnięto, gdy już pewny był awansu... *Cap de dieu!* żałuję teraz, że nie dostał się, jak chciałem, do Petersburga... jest to kraj dziewiczy, potrzebują ludzi, jak ja... do wszyst-

kiego zdolnych... byliby mnie obsypali... a morza nie było do przebycia.

Gaskon mówił sam dla siebie, burza głużyła jego paplanie.

Karol, nie mogąc wysiedzieć beczynn timer, poszedł się kapitanowi ofiarować do jakiej roboty... i otrzymał zlecenie dozoruwania ludzi przy pompie na dnie.

Burza zawsze jeszcze zdawała się zwiększać i rosnać.

Pułaski niezmrużonem okiem patrzył na migocące błyski i bijące pioruny, płonęło od nich powietrze... oślepiały chwilami... Uderzający grom w bliskości wyrywał źrenice, a ciemność nieprzebita, otchłanna, długo nic rozpoznać nie dawała.

Świat się palił wśród potopowej ulewy, a mimo grozy tego widoku, był on wspaniałym i wielkim. Światłości i cienie składały się na obraz, jakiego wyobrażenia stworzyć nie może, coraz różny, coraz groźniejszy. Błyskawic światło, odbite w falach i rozprysłych kroplach, jakby iskier tysiącem obsypywało statek.

— Majestatyczny widok daje nam ocean na pożegnanie — odczuwał się cicho Pułaski — ale co za upokarzające położenie człowieka, który wobec śmierci nie może walczyć, z założonemi rękami czekać musi losu swojego — bezwładny! Wolę burzę wojenną... hufce, tłumy, kule, strzały... sam jestem z szablą w ręku... tu spowity, jak dziecko.

— To też Karol, poczciwy chłopak, nie mogąc walczyć z piorunami i burzą — odczuwał się Maciej — poszedł podobno do pomp, byle się komu sprzeciwić, a coś zrobić.

— O! zacneż to młode stworzenie — dodał Pułaski... a jak mi go żal, że dla mnie i zemną idzie na stracone imię... Ale na pociechę, żebyż się już dostać do konia, obozu, roboty...

— Tak, tak przerwał Maciej — byle nie na dno morza, do tych zębatych rekinów... ciągle za okrętem płynęły, czując co nas czeka... podwieczorku im się chciało...

Okręt hecę wyprawia, jakiej nie bywało...

W tej chwili trzask silniejszy się rozległ i oślepiający błysk oczy im zakrył—ogień strumieniem przeleciał po jednym z mniejszych masztów i strzaskawszy słup, upadł na pokład okrętu...

Szczęściem nie zapalił go, a majtkowie rzucili się natychmiast, aby szkodzić zaradzić. W chwili trwożgi Girod wyleciał z pod ławy, wołając:

— Giniemy! giniemy!...

— Milczcie waść! — ofuknął Pułaski. — Gdzie siła Boża z ludzką słabością idzie w zapasy, tam i o łasce Bożej pamiętać potrzeba...

Po chwili krótkotrwałego przerażenia, już resztki masztu ściągano; nikt rażonym nie został, a strata ławo się zapaśnym masztem wynagrodzić dała.

Piorun ten zdawał się być zwiastunem końca burzy... błyskawice stawały się rzadszemi, wicher opadał powoli, deszcz lał tylko rzęsiście.

Nad głowami ich chmury się rozbijały, dzieliły, niebo gdzieniegdzie przeglądało jaśniejsze, a choć wicher jeszcze straconą odzyskiwał siłę, koniec tych szaleń jego przewidywać było można. Okręt z walki wyszedł zwycięsko... Głos kapitana znów się dał słyszeć, majtkowie śmielej zwijali się po pokładzie; na horyzoncie dalekim, jakby linią czarną, odcięło się morze od niebios jaśniejszych.

Francuz, obejrawszy się, ośmielony całkiem z pod ławy się dobył, i weselszy, rażniejszy, zbliżył się do Pułaskiego z uśmiechem zwyciężkim na ustach. Statek rzucał się jeszcze, ale fale już nie były tak rozhukane, głębie nie roztwierały się głodne... kołysał się na wierzchach bałwanów, a rzadko większy z nich zaglądał przez ściany do wnętrza...

— Mojej to szczęśliwej gwieździe i przestrodze, którą w porę dalem kapitanowi, przypisać potrzeba, żeśmy jako tako wyszli z tego dyabelskiego tańca! — rzekł Girod do Rogowskiego.

— Ale czy nie zawczasie się cieszyć? — odparł z przekorą p. Maciej. — Kapitan mi powiedział, że wybrzeża około Delawary okryte są statkami angielskimi, tam nas może dopiero czeka ostatnia rozprawa. Jeżeli nas złapią... nie ma wątpliwości, że pójdziemy albo na dno morza, lub na pontony, na których życie gorsze podobno, niż tu na statku, przy śmierdzącej wodzie, starej słoninie i robaczliwych sucharach...

— Kapitan ma od tego głowę — rzekł Francuz.

— Dlatego też się frasuje, że mu tu i najlepsza nie pomoże — dodał umyślnie Rogowski, aby się pozbyć natręta...

Poszedł więc gaskon skwaszony.

Teraz cichło już i łagodniało morze, fale jeszcze szeroko były rozkołysane, ale niebiosa już się widocznie rozpogadzały.

Przez podartych chmur reszty, które doganiały starsze towarzyszeki swoje... gwiazdki ciekawie ku morzu patrzyły. Obłoczki coraz lżejsze, rozczochrane, zmęczone, odlatywały w stronę, w którą burza na ocean się zwała...

Wzięto położenie statku i obrachowano gdzie się znajdował, a Leclerc przekonał się, że był daleko bliżej lądu niż się spodziewał. Było już dobrze z północy, wiatr upadając znacznie, dozwalał nieco rozpiąć żagli, można było rachować, że ze dniem pokaże się ziemia...

Kapitan, który już niejedną podróż po wodach tych odbywał i znał dobrze wybrzeże, u którego bezpiecznych portów było mało, rachował na to, że bu-

rza, co piękną Ludwikę pędzila, musiała też i angielskie statki oddalić od brzegów; nimby więc na stanowiska czas powrócić miały, trzeba było pośpieszać, aby bezpiecznie zawinąć.

Jak tylko nieco uspokojone dozwoliło powietrze, rozwinięto żagle, zaczęto je pomnażać stopniowo i nagle liny statku okryły się powoli rozpiętymi skrzydłami. Załoga była doświadczona, ludzie zwinni i ochotni, okręt posłuszny, i choć miotające nim fale przerzynać musiał, wiatr mając ukośny, pośpieszał znów ku brzegom Ameryki.

Nad świtanie, gdy wszelkie minęło niebezpieczeństwo, podróżni znużeni do kajut i hamaków na spoczynek się porozchodzili, tylko polscy wygnańcy bez snu na oczach, pozostali na pokładzie, poobwijani w burki i płaszcze, zobojętnieli na sen i spoczynek.

Karol spracowany, obłany potem, wrócił od pomp i padł przy swoich na pokład... Jakaś tęsknota niezmierna, jakby przecucie złych losów, opanowała umysł — rozmowa, nawet o domu, się nie kleiła.

Tak na wpół drzemiących, półsennych i rozmarzonych smutnie zastał poranek, który na wypogodzonym niebie zabłysnął. Morze poruszało się jeszcze zagniewane i wzdęte, ale nic nie groziło już pięknej Ludwice, oprócz angielskich statków. Cała osłonięta białymi żaglami, od góry do dołu, strojna, wesola, pędzila ku nowemu światu.

Uroczyste było milczenie, gdy z wierzchołka kosa na maszcie, porucznik statku zawołał:

— Ziemia!!

Okrzyk ten, powtórzony w mgnieniu oka stem ust, zalektryzował wszystkich... porwali się podróżni zewsząd, pobudzili, zbiegli patrzeć... a Pułaski, starym obyczajem, jak zawsze w przeddzień ważnej godziny, pokłaskł na pokładzie, zdjął czapkę z głowy i sparty na kolanie... począł pocichu: „Kto się w opiekę...”

Karol i Rogowski poszli za jego przykładem, reszta czeready, zbieranej po świecie, patrzała uragliwie na tę ich jawną pobożność.

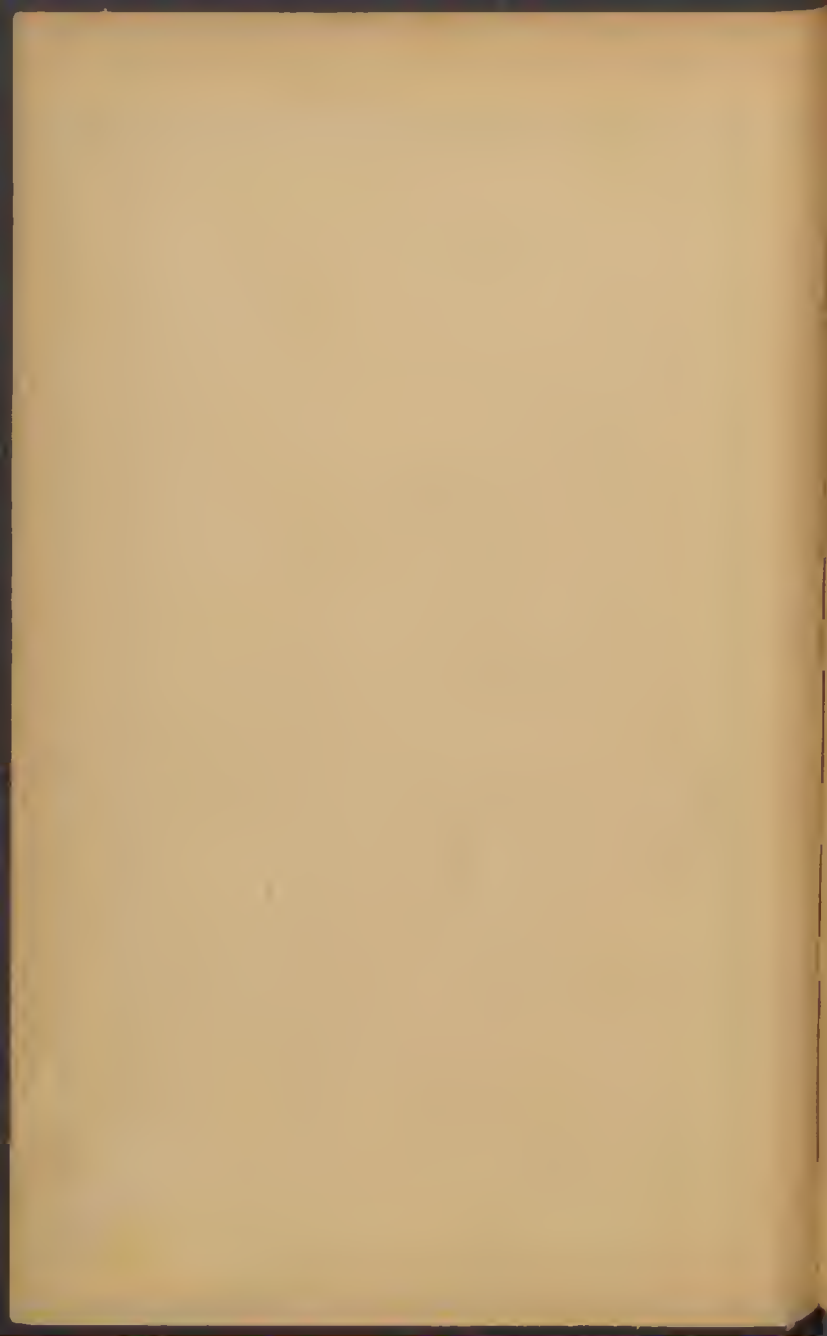
Wielu z nich może miało jeszcze w sercu religijne uczucie, ale odwagi do okazania go—nie miało... inni postradali ją, a nie zyskali nic za nią, prócz dziwaczych zabobonów.

Ziemi tej zapowiedzianej, dla oczów nieprzywykłych do jej szukania — nie było... na widnokręgu.

Coś w dali, jakby pas sinych chmurek, leżących na morzu, szarzało. Ale z każdą chwilą ta mgła stawała się wyraźniejszą, dobitniejszych nabierała kształtów.

Tak... był to nareszcie świat nowy. Serca się ścisnęły. Co Bóg da na tym nowym świecie, dolę czy niedolę... śmierć, czy zwycięstwo?

— *Fiat voluntas Tua!* — zawołał głośno Pułaski.



KSIEGA V.

A M E R Y K A.

Od chwili, gdy się oddalone brzegi Nowego Jersey ukazały i coraz wydatniejszymi stawały nawet dla niewprawnych oczów, cały dzień prawie w niecierpliwem wypatrywaniu lądu upłynął.

Ale to, co teraz widzieli i rozpoznawali podróżni, jakże ubogo wydawało się przy snach ich i marzeniach o olbrzymich górach, dziewiczych lasach, majestatycznej naturze świata nowego.

Wszyscy spodziewali się wspaniały ujrzeć kraj obraz rozmiarów wielkich, a oczy i perspektywy ukazywały im nagie łąwy piaszczyste... brzegi puste i płowe, ledwie znaczne, gdzieś w głębi nieco podniosłejsze wzgórza Neverill i górującą nad niemi, mało widoczną Mitchill...

Smutne to było pustkowie, spalone, bez życia i wdzięku.

— Coś mi ta Ameryka wcale na zlotodajną ziemię, płynącą mlekiem i miodem, nie wygląda... mruczał Girod.

Pułaski wpatrywał się obojętnie. Cóż mu było po piękności Ameryki!!

Leclerc bacznie rozglądał się po morzu, szukając żagli angielskich, ale na szczęście Ludwika, burza wistocie porozpędzała je daleko, można więc było bezpiecznie do brzegów się dostać.

W oczekiwaniu rychłego wylądowania, zbierał każdy co miał, wszyscy niecierpliwi, spragnieni siedzieli już na powiązanych tłumokach, nie schodząc z pokładu. Ziemia w miarę ich żądań, niekiedy odsuwać się zdawała, patrzali na nią, dosięgnąć nie mogli, brzeg wydawał się blizkim, oko rozeznawało coraz lepiej dymiące w rozdołach ogniska... daleko w głębiach czerniące lasy...

Ale spustoszenie wojną objawiało się w opuszczonych prawie wybrzeżach.

Słońce już zachodziło jaskrawo, gdy nareszcie statek, znalazłszy sternika i łódkę przewodną, doprowadzony został do ujścia Delawary. Zjawiły się barki i czółna do przewiezienia podróżnych, spieszących do upragnionego lądu.

Od nich dowiedzieli się, że angielskich statków na teraz nie było w pobliżu. Mała osada, z kilku na prędcie skleconych szałasów i lepianek złożona, przy której wylądowali, wyglądała ubogo, nędznie, ze swymi chatkami, ogołoconymi z zieleności, na wydmie piaszczystej, zasianej drobnymi kamyczkami, którymi brzegi wyściełało morze...

Znać było, że mieszkańcy nie byli pewni swych siedzib, że nie mieli czasu, ani ochoty aby je ozdabiać i utrzymywać. Cała okracająca okolica dosyć płaska, smutna i jednostajna, zwiększała wrażenie przykre wyladowujących... Girod mimowolnie po-

równywał piaski i moczary do nagich brzegów południowej Francji około Cette i Montpellier.

Już od swoich przewoźników dowiedzieli się podróżni, że wojska Washingtona i obóz jego w głębi kraju, o mil jakie dwadzieścia od miejsca tego się znajdowały... trzeba było nieznanym krajem, zawichrzonym, z przewodnikami niepewnymi do nich się przedzierać.

Pierwsze twarze mieszkańców nowej ziemi, mowa ich, obejście się tak różne od spotykanych dotąd na stałym lądzie Europy, zwiastowały istotnie świat... nowy...

Mogło się zdawać podróżnym, że nie na drugą półkulę — ale w inne prastare wieki się cofnęli.

Coś szorstkiego, dzikiego patrzyło z oczów, wiało z ust tych ludzi twardych, milczących, obojętnych na pozór, zamkniętych w sobie, energicznych i nie garnących się wcale do przybyszów, na których nawet bez ciekawości młodzieńczej spoglądali.

Trudno było wybadać ich usposobienia, bo ciężko dobyć i słowo, żaden entuzjazm nie objawił się na zewnątrz, ledwie we wzroku ostrym lub szyderskim myśl się jakaś niezrozumiała zdradzała.

Gaskończyk, ujmujący gdy tego widział potrzebę, napróżno próbował ująć ich, zaćmić wymowę, poruszyć dowcipem, obalamucić samochwalstwem, nikt na niego zważać i mówić z nim nie chciał.

Można było wnosić z tego milczenia i zamknięcia się, że ludzie ci należeli do licznych w początku dosyć, stronników przejednania i powrotu pod angielskie rządy z pewnemi ustępstwami z ich strony... ale minęły już były te chwile, gdy Washington miał z niemi do walczenia i przyjaciół tych Anglii nie w tej warstwie narodu szukać było potrzeba...

Ostatnie wypadki 1777 roku zaczynały coraz widoczniej szaleć zwycięstwa przechylać na stronę dobrej sprawy. Nie było wielkich i stanowczych korzyści, ale ogólny tok rzeczy wskazywał, że walka wypadnie pomyślnie dla niepodległych stanów. Geniuszowi i niezmiernej wytrwałości Washingtona winna była Ameryka to zwycięstwo, zrazu prawie do wiary niepodobne, gdyby nie pycha Anglii, nadzwyczajna opieszałość i nieudolność jej wodzów, jak Howe i Burgoyne.

Pierwszy z nich już czasu wojny zyskał był sobie sławę najnieudolniejszego wodza, jakiego kiedykolwiek zapamiętały dzieje.

Ufna w swe siły olbrzymie, w potęgę floty niezwyciężonej, w posiłki, które w tej chwili spodziewała się ściągnąć z Kanady, we współczucie „przyjaciół porządku i spokoju” zrazu dosyć licznych, a odradzających się po każdej klęsce Washingtona; ufna w nieład i niedostatek armii nieregularnej, rekrutowanej mozolnie, na krótko i niewprawnej, często pozbawionej amunicji i najpierwszych potrzeb do życia — Anglia jeszcze walczyła, pewna zwycięstwa, nie szczędząc ofiar... Odzyskanie kolonii zdawało się niewątpliwem, ale było kwestją czasu... nikt jeszcze nie przypuszczał, że mogło też być i kwestją roli Francji... jej przymierza lub obojętności.

Ale wśród samej wojny, od czasu ogłoszenia niepodległości, sprawa ta, z początku niby domowa kłótnia rodzinna, przybrała wcale niespodziewane rozmiary, zolbrzymiała, rozrosła się.

Opinia publiczna Europy z zapalem młodzieńczym wzięła ją w opiekę.

Podwoił się ten zapal szlachetny we wszystkich, gdy, jako przedstawiciel Ameryki, przybył do Europy ów starszy, idealny samouk, geniusz nieszlifowany, śmiały, dzielny a szorstki nieco, coś wieśniaczego mający w sobie, i tę oryginalność, co pociąga ludy,

fantazyą rządzące się, jak Francya. Mówimy o Franklinie, owym wyrobniku w szarej kapocie, poważnym jak król, a prawdomównym jak kapłan. Był on dla Francyi takim zjawiskiem, jak dla Rzymian ów wieśniak naddunajski.

Szczęśliwym narodom Bóg daje w porę takich przedstawicieli, co nawet słabościom ludu i wieku są sympatyczne.

To, co było istotnie wielkiem w Franklinie i co w nim było tylko oryginalnem a prostaczem, równie się przyczyniało do uwielbiania go. Życia jego surowość, mowy niewykwintność, moralność jasna i prawa, naostatek i ów—piorun, niebu wyrwany!

Tak w porę, aby z nim zjawić się we Francyi.

Był czysty, zacny, spokojny, nie wynoszący się z niczem... prawdziwy; prawdę zaś i ci szanują i cenia, którzy sami się na nią zdobyć nie mogą.

Naówczas to Francya arystokratyczna, pańska ale postępową, pełną entuzjazmu, dała Ameryce z łona swego Lafayett'a, dwudziestoletniego zapaleńca, świeżo ożenionego ze śliczną hr. de Noaille, bogatego, wykształconego, swobodnego.

Czyn ten pojedynczego, ale wydatnego człowieka, rozgłoszony szeroko, jak wiele innych okoliczności pomyślnych, dzwigał sprawę Ameryki. Sama Anglia czuła się sparaliżowana w walce, upokorzona nią.

Po ogłoszeniach Burgoyne'a, które przypominały często odezwy posłów rosyjskich w Polsce, dyktowane przeciw konfederatom—nastąpiły ciche próby zgody. Washington nie odrzucając ich zrazu, poznawszy ich warunki - odepchnął.

Postanowiono walczyć. Anglicy zwyciężali, kongres i Washington zniósł klęski, nie dając się zastraszyć niemi. Niezmordowana praca, wola niezłomna wielkiego męża wkrótce się też wynagradzać zaczęły, ale drogo okupywano małe powodzenia.

Takie było położenie wojsk angielskich w Stanach Zjednoczonych w tym roku. Posuwały się one w głąb kraju, mozolnie torując sobie drogi wśród pustyń, zawałów, rozlewów, poniszczonych dróg, ogłodzonych obszarów, przez nędze i bezludzie. Dezer-cya w najemnem wojsku się zwiększała, partyzanci zuchwali chwytali jenerałów angielskich we własnych ich namiotach, z pośrodku wojsk. Zaciągnięte pod sztandary Anglii plemiona dzikie, łupiły własnych sprzymierzeńców obozy, indyjskie posiłki obracały się przeciw współnikom; zniechęcenie, znużenie, niepowodzenia nużyły.

W miarę, jak wojska W. Brytanii słabły, Washington z wolna wzrastał w siły i najmniejsze zwycięstwo przyczyniało mu obrońców, jednało umysły, sporzyło ochotnika.

Europa też nie mało go dostarczała. Z Francyi szczególnie napływ był tak wielki, ale tak różny, że już Lafayette, z trudnością mógł być przyjętym w szeregi jej obrońców. — Musiał się ofiarować jako żołnierz, prosty ochotnik, ze służbą o własnym koszcie.

Ameryka pragnęła sobie samej zawdzięczać wolność swoją. Na kilku takich, jak Lafayette, La Roche du Termois, Du Portail i Duplessis Mauduit — iluż przyływało gaskonów, jak Girod, awanturników głodnych, którym powierzać dowództwa sama ostrożność nie dopuszczała.

Usposobienie więc Washingtona, wodzów i kongresu dla nowych przybyszów, w chwili, gdy Pulaski z towarzyszami wylądowywał u ujścia Delawary, wcale im nie było przyjaznem; lękano się raczej tych posiłków, niż ich pożądanu. Nowy świat czuł, że uwłaczajacem dlań było szukać dowódców u obcych.

W tak nieprzyjaznej chwili garstka naszych wędrowców, wyszukawszy środki dostania się do obo-

zu, puściła się ku Wilmingtown przez nieznany, dziwny i zdumionym oczom z nową naturą przedstawiający się świat nowy.

Po pustynnych piaszczystych, spalonych wybrzeżach zwolna zapuścili się w tajemnicze głębiny kraju... Przebywszy wydmy suche nadmorskie i słone jeziorka, przybierały one coraz wyrazistszą fizyognomię.

Tu czuli się otoczeni naturą inną, potężną, wykwitającą kształty nieznanemi, z siłą młodzieńczą, której skarłała i ostygła Europa nie mogła dać wyobrażenia.

Droga, wiodąca do Wilmingtown, wkrótce wprowadziła ich w mokre rzek zbiegowiska, jeziora i moczary, gęsto cyprysami zarosłe... Nie płoszony zwierz dziki, zrywał się z pod nóg przechodniów; nad głosami ulatywało zdumione ptactwo, pomalowane we wszystkie tęczy kolory... Ukazywały się nareszcie wybujałe, poplątane lasy, pierwsi mieszkańcy tej ziemi, pnące się ku niebu śmiało, oczepione wieńcami roślin, okryte więzami wina dzikiego, z czołami strojnymi w wonne ogromnych kwiatów bukiety... U nóg ich gnijące cedrów olbrzymich kłody, rozmiarem swym pisały dzieje wieków, które przeżyły... Wszystko tu było podziwem i zachwytem, choć często i kraj własny się przypomniawszy niespodzianie...

Nieraz podróżni stanęli, wpatrując się, rozpoznając klony, jodły i sosny, rodzone siostrzyce tych, za którymi tęsknili na drugiej półkuli.

Karol szczególnie z młodzieńczą żywością podziwiał, cieszył się, unosił; dla niego był to kraj snów i powieści, nagle różdżką czarodziejską stworzony. — Ta cisza lasów, te cienie czarne ich wnętrzu, w które rzadko złoty promień słońca wsuwał się pręgą jasną, te poczepiane girlandy lijanów, kwiaty jaskrawe na drzewach niebotycznych, woń, którą poilo powie-

trze - składały się w istocie na dziwne jakby marzenie.

Ale podróż miała tyle trudności, co uroków: trzeba się było przedzierać przez nieprzebyte gąszcze, kolcami dzikich yuk najeżone, przez grzązkie zalewy, kłody obalone burzami, siedliska węzów i knieje, z których gałęzi patrzyły ślepią zaczajonych żbików i kotów... Mało tu było śladów człowieka, który z tych obszarów niezmiernych, częśćkę ledwie mógł opanować. Gdziekolwiek przejsie Indyan, pochody wojsk, zostawiły po sobie zgłiszcza osad, okopcone pale yukki i splądrowane plantacye, na których już chwasty bujały.

Kilka dni przedzierając się przez wilgotne zarośla cyprysów, przez zastępy puszczy ciemnej, brzegiem rzek, które przerzynały kraj ten siecią gęstą — zbliżyli się wreszcie ku północnej części Delawary, wznioślejszej, dzikszej, skalistej.

Tu, pomiędzy dwiema rzekami Christianą i Brandywin, w pięknym położeniu, na wzgórzu, ukazał się Wilmington, a pod tą, naówczas niezbyt rozległą miejsciną, rozłożony obóz Washingtona.

Gdy przewodnik wskazał im nareszcie ten cel podróży, było to rankiem pochmurnym i dżdżystym; znużenie i słońca osmutniały nie tylko krajobraz ten wdzięczny w dni jasne, ale i ludzi... i dusze.

Pod miasteczkiem, ledwie na to nazwanie zasługującym, lichy i niepozornie przedstawiał się wojskowym europejczykom obóz ten wolnych ochotników. Rogowski, jak zwykł był wszystko do Polski porównywać, tak i amerykańskie obozowisko znajdował podobnem do lichej mazowieckiej wioski.

Z po za naprędce usypanych wałów na trzebieży widać było znaczną przestrzeń, zajętą gęsto plecionymi z chrustu szałasami, do nędznych w istocie

chat podobnemi.. Ponad tem niebo chmurne, szaruga, ziemia od deszczów przesiąkła, błotnista, dodawały widokowi smętnego wyrazu.

Śmiały się tylko wzgórze lesiste i szumnie bieżące wody dwóch rzek, stanowiących ramy obozu.

Pierwsi też rycerze niepodległości, których spotkali na placówce, nie byli podobni do tych bohaterów, których sobie wyobrażnia stwarzała.

Ludzie ci, acz silnej budowy, wynędzniali, wychudli, znękani, poodziewani w suknie odarte, w odzież różną, w lichem obuwiu, odznaczali się tylko uzbrojeniem fantazyjnym, ale obłitem. Każdy z nich dźwigał, co mógł, a przybierał się, jak chciał.

Na straży obozu zatrzymał ich drab ogromny, smętny i gniewny. Dowiedziawszy się kto byli i że wprost przybywali z Francyi, zamruczał dosyć głośno:

Dosyć już mamy tych przybłędów. Czy oni tam myślą, że nam tak bardzo cudzych rąk i głów potrzeba? Napatrzyliśmy się już tutaj tych rycerzy wolności, co naprzód nam sięgają do kieszeni, a gdy przyjdzie się bić, leżą po rowach...

Przywitani tą niegrzeczną apostrofą, szczęściem nie bardzo ją zrozumieli, oprócz gaskona, który także włókł się za nimi, a lepiej niż oni umiał po angielsku...

Ten ją sobie przetłómaczył i zastosował... Pulaski mało co pochwycił, a przybrawszy wcześniej, choć z niemalym wysiłkiem, krew zimną, której zwykle miewał mało - - postanowił milczeć, nie rozprawać i nie wywnętrzać się, tylko z tymi, do których wiozł listy: z Washingtonem i Lafayettem.

Mimo więc trudności, zwłok. łajañ i sporów, wywołanych niezręcznością francuza, który wszędzie czynnym być musiał, odprawiono o nich wiadomość do głównej kwatery, a tymczasem czekali na ulewnej słocie...

Pułaski widział się zmuszonym napisać list do Lafayetteta i przesłać go przez najętego posłańca. Potem obwinął się w burkę i rzuciwszy w błoto pod wałem, pozostał tak, gotów na to, co los zdarzy.

Nierychło potem, francuz, przyszedł adjutant przysłego generała, gdyż Lafayette nie miał jeszcze swej nominacyi od kongresu, przybiegł zabrać podróżnych, zgłodniałych i zmęczonych. W grzeczniejszym posłańcu znać było nadsekwańskie dziecię pieszczonej cywilizacyi, nawykłe do pewnych form i zastępujące niemi, co może brakło w sercu. Po humorze i obejściu, zdradzającym zafrasowanie, ocukrowane wykwinniejszym obyczajem, łatwo się domyślił Pułaski, że nie był tu on i jego towarzysze bardzo pożądanymi gośćmi.

Ale Lafayette nadto był wielkim panem i przyzwoitym człowiekiem, aby, choć skłopotany, grubiańską mógł dać odprawę przybyłym z listami z drugiej półkuli.

Przez obóz, pełen strug błota, cały zastawiony szalasami, środkiem wozów i koni, które na deszczu stać musiały, dobili się podróżni do nieco schludniej urządzonego szalasu, w którym Lafayette zamieszkiwał. Choć w miasteczku znalazłby był może schronienie wygodniejsze, ochotnik dobrowolnie podzielał losy żołnierza.

Ale chcąc walczyć za sprawę amerykańską, potrzeba było przejąć i obyczaje republikanów, surowość i prostotę Washingtona. Lafayette na pół jeszcze został paryżaninem, zbyt był nawykł do życia solonów, do ich wykwinu i wygod, by nieco sobie więcej nad innych nie pozwolił.

Namiot jego chruściany, lepiej od innych zabezpieczony był od ulewy; i nie brakło mu sprzętów, czyniących życie to znośnem. — Wśród ciasnej tej

klatki ujrzeni wychodzącego przeciw sobie pięknego młodzieńca, z jasnym obliczem, twarzą uśmiechniętą, rysy szlachetne i obudzające uszanowanie. W fizyognomii samej znać było potomka rodu, który odwykł od bojów i niewygód, a kwitł w cieniu zwiadających ścian i złożonych gzemów.

Postać jego była ujmująca poetycznym urokiem — z ideami demokratycznymi łączył on najwykwintniejsze formy francuskiego towarzystwa...

Mimo munduru z grubego sukna, bez żadnych ozdób, bo taką odzieżą i Washington się odznaczał łatwo w nim było poznać przybysza z innych światów, pieszczone dziecko wielkiego domu.

Odwaga rycerska malowała się na jego czole, słodycz i łagodność patrzyła z oczów; obok szorstkich ludzi Ameryki, nieustannie drażnionych walką i nie umiejących panować nad sobą, spokój jego natury dawał w nim czuć jakąś wyższość.

Pulaski, który o nim już wiele we Francji od p. de Noailles słyszał — przeczuł odrazu szlachetną naturę jego; z nim było mu nierównie łatwiej się zrozumieć, niż z tymi, których dotychczas spotykał.

Mimo uprzejmości, z jaką go Lafayette powitał, obłoczek zafrasowania z czoła jego nie schodził. Usiłując co rychlej to pierwsze usunąć wrażenie, dobył Pulaski list żony Lafayette'a i podał mu go w milczeniu.

Listy pp. de Noailles, S. Priest, Franklina, towarzyszyły tej najlepszej ze wszystkich rekomendacji.

— Pozwól mi pan, bym nie sam przemawiał za sobą — rzekł po chwili — te listy o mnie powiedzą...

Lafayette rzucił okiem na koperty i radośnie wykrzyknął, rozrywając pieczęcie:

— Od żony mojej!

Pismo to tak go zajęło na chwilę, iż zdawał się całkiem o przybyłych zapominać; pożarł je, nie odry-

wając oczów; skończywszy, dopiero spojrzał uważniej na Pułaskiego, uprzejmie podając mu rękę...

— A! drogi hrabio (wszyscy polacy w listach polecających z Francyi z temi tytułami byli przedstawieni), w jakże nieszczęśliwą przybywasz chwilę!

Dlaczego? spytał Pułaski.

— Siadajcie panowie naprzód, kto gdzie może, odezwał się grzecznie, robiąc miejsce Lafayette — zaraz wam wytłumaczę. Ja sam, jadąc tu, inne miałem wcale wyobrażenie o usposobieniu Ameryki dla cudzoziemców. W obozie i kongresie panują przeciwko nam jak najdziksze uprzedzenia. Są one poniekąd usprawiedliwione, można je przezwyciężyć, ale walczyć z niemi potrzeba. Jak dla siebie je musiałem przelamywać, tak dla was chętnie podejmę tę pracę, ale nie pochlebiajmy sobie — przyjęcie do szeregów nie jest łatwem... W początkach chwytało kto przybył, dziś daleko są trudniejsi — powtarzam, nie bez powodów, bo nieraz zostali zawiedzeni...

— Mam listy Franklina i Deana do Washingtona, odparł Pułaski.

I lepiej niż listy macie imię znane zaszczytnie, (rzekł, na liście żony opierając się, Lafayette), ale to wszystko nie jest jeszcze dostatecznem... Washington zależy od kongresu, a kongres jest cudzoziemcom nieprzychylny. Ja sam, panowie moi — i baron Kalb, mój towarzysz, jesteśmy dotąd prostymi ochotnikami, cierpianymi przez szlachetnego Washingtona.

Ale zrobimy co się tylko da uczynić — dodał — dacie mi listy wasze, ja je sam przedstawię i oszczędzę może przykrych przejść wstępnych.

To mówiąc, rozweselony nieco, zajął się przyjęciem obmokłych gości. —

Jak widzicie, panowie moi, szalas przyszłego generała rzeczypospolitej nie wiele więcej wart nad żołnierską budę... przyjmijcie w nim taką gościnność,

na jaką się ja zdobyć mogę... wszyscy jesteśmy żołnierzami...

Zapomniawszy wkrótce o kłopotach położenia, zaczęli mówić o Francji, o którą Lafayette żywo wypytywał, o Paryżu, o nowinach z Europy, o znajomych i rodzinie. Opowiadania szły nieprzerwanym ciągiem, jedno po drugim się rozwijając.

Pułaski i Lafayette wprędce się zbliżyli, poznali, ocenili, przypadli sobie do serca.

Towarzysze Pułaskiego z baronem Kalb przeszli tymczasem do sąsiedniego szalasu, w którym mieścić się mieli, a Lafayette wstrzymał konfederata, nie mogąc się z nim nagadać. Rozmowa rosła w serdeczność.

— Kochany hrabio — rzekł w końcu ochotnik francuski do polskiego rozbitka — powiedzcie sobie naprzód, że to nie jest druga ziemi półkula, ale druga i inna ziemia.

Ta społeczność złożona z okruchów różnych warstw ludności starego naszego świata, zahartowana walką z naturą, potrzebą starzenia sobie, pracą, dojrzała w surowych ideach religijnych, które tu dziwne a rozrosłe, jak puszcz tych drzewa, przybrały rozmiary — z gruntu jest inną niż nasza. Ma ona cnoty, jakie miała Sparta i Rzym republikański, a wady wieków dzikich i barbarzyńskich, po części w zetknięciu się z indyanami i murzynami nabrane. Człowiek tu łagodnym stać się nie mógł, bo musi nieustannie czuwać, bronić się, walczyć... równie ze zwierzętami, jak i z dziczą.

W spokoju i zbytku stara Europa rozłożyła się na klasy, na warstwy, na przeróżne kółka ludzi — tu jest już jeden człowiek znów, bo losy i potrzeby życia zrównały wszystkich...

Znajdziecie tu starą szlachtę anglosaksońską, hiszpańską, francuską, powróconą do stanu natury... za stołami kupieckimi, z siekierami plantatorów i wczoraj zubożonych parobków, rozsiadających się obok z de-

mokratyczną dumą, która jest nie mniejszą od arystokratycznej. Ale ta, przesadna duma wyrabia uczucie godności ludzkiej, zasługi pracy... choć podpora jej jest — niestety, często pieniądź.

— Do tego wszystkiego byliśmy nieco przygotowani i to nas dziwić nie może, przerwał Pulaski.

— Tak — kończył Lafayette i ja też jasną stronę tej nowej społeczności i narodu widziałem wprzód, niżelim tu przybył — ale ciemne — które muszą być wszędzie (bośmy ludźmi) — ciemne, wyznaje, były mi obce... domyśleć się ich było niepodobna... są rażące. Wybaczyć je i poszanować nawet należy — są to nieuchronne, odwrotne strony medalu.

Do nich zaliczam, w chwili gdy przybywacie, rażący wstręt do cudzoziemców i ich obyczaju, niechęć przeciw nim i odrazę. W miarę, jak się silniejszymi poczuwają Amerykanie, chcieliby się okazać wyższymi od naszego starego świata... Marzą, że tu stworzą lepszy.

Mnie było niełatwo i wam przyjdzie z ciężkością pomieścić się między nimi...

Lafayette ścisnął w milczeniu rękę Pulaskiego, i po chwili pożegnał go, z listami i papierami udając się w sprawę przybyłych do Washingtona.

Deszcz lał ciągle, widok obozu, ludzi, zapelniających go, nie były powabne i rzeczywistość daleko odchodziła od wymarzonych w podróży obrazów. Żołnierz amerykański męzny, natchniony często duchem wielkim, wyglądał zblizka prawie odrażająco. Brakło mu zupełnie nęcącej powierzchowności; wielu z nich okrywały łachmany, zamiast obuwia rodzaj kurpiów i indyjskich mokasynów, na twarzach dobitnie malowało się zniechęcenie i znużenie... Zła pora, niedostatek jada, niewygody obozowe osmucaly twarze i zaostrzały wejrzenia.

Nowi przybysze gdziekolwiek się ukazali, za każdym prawie razem witani byli niechętnemi słowy, pogardliwemi wykrzyki i szyderstwami — krwawiło się serce.

Karol stał znękany, w płomieniach gniewu... wrzący, żałował, że się naraził na tę męczarnię nieprzewidywaną.

Tak upłynął smutnie dzień pierwszy; późno w noc powrócił Lafayette od wodza naczelnego, zajął do szalasów podróżnych, życzył dobrej nocy, ale się wymówił, że z powodu ważniejszych kwestyj sprawy ich jeszcze u Washingtona zagaić nie mógł. Skłopotany był widocznie i smutny.

Nazajutrz niebo się wyjaśniło, bo rzadkie są w tym klimacie trzy dni bez słonecznego uśmiechu, ale nastąpił upał nagły, skwar niezdrowy wśród nizin, ulewą przesiąkłych... Obóz niemal cały pokrył się lachmanami, porozwieszanemi na szalasach... rozrzucenemi na wałach i palisadach i to mu jeszcze nędzniejszą nadawało powierzchowność.

Bohaterstwo miało tu tak spartańskiego ubóstwa oblicze, tak prozaiczną tchnęło nędzą, że przybyli z zapalem wielkim mogli się tem rozczarować.

W dniu tym znów nic się stanowczego uczynić nie dało; wódz naczelny zawsze był jeszcze zajęty, wyjeżdżał na oglądanie okolicy... kazano czekać... Chwile to były nad wyraz ciężkie, a im bardziej oczekiwanie się dłużyło, tem niecznośnieszem się stawało...

Z szalasów nawet trudno było się wydobyć cudzoziemcom, aby nie obudzać niechęci, nie narażać na obelgi, nie robić sobie nieprzyjaciół.

Garstka tylko emigrantów francuskich, gościnniejsza, sympatyczniejsza, spragniona nowin, otaczała przybyłych. Tak dzień minął cały, wieczór znów nic nie przyniósł nowego, Lafayette prosił o cierpliwość... okoliczności ją nakazywały.

Pulaski, choć się czasem gorzko uśmiechał, najmniej tracił ducha; domowe doświadczenia nauczyły go cierpieć.

Gdyby co rozweselić mogło w tak przykrem położeniu, to postawa rozpaczliwa gaskona, który przybywszy z najswietniejszymi nadziejami, po dwudziestu czterech godzinach doszedł do najkomiczniejszej rozpacz. Ani jego papiery, ani wymowa, ani zuchwalstwo nie wyjednały mu nawet kąta w obozie. Znalazł ledwie u któregoś z litościwych ziomków przytułek, a zamiast szlifów jeneralskich, marzonych zawczasie, miał w perspektywie powrót przez zburzony ocean do ojczystej pustki i biedy... kłął też i przedrwiwał bosych republikanów, nie szczędząc ich wcale, wyśmiewając lachmany, ubóstwo, barbarzyństwo, nielad, szalasy, obóz, taktykę.

— *A! Cap de Diou!* — krzyczał, chwytając się za głowę — z Europy, w oddaleniu wszystko się wydaje prześlicznie; rosną na bohaterów chłopcy za oceanem... a to garstka condotierów bez butów, bez chleba, bez pieniędzy i bez broni! Póki mego życia już się złapać nie dam... i nie daruję sobie, żem się pięknym opisom dal wziąć na wędkę...

Wojsko... *saperllote!* które żyje kukurydzą, patatami pieczonemi, ciepłą wodą z moczonemi korzonkami i liśćmi — a pieprzu więcej spożywa, niż mięsa!...

Nie ustawał w swych narzekaniach, których już i słuchać nie chciano.

Trzeciego dnia, zniecierpliwiony wreszcie Pulaski, w szalacie zamkniętym wytrwać nie mógł, pod wieczór wymknął się niepostrzeżony, żeby na sąsiednich wzgórzach, po za obozem, odetchnąć lżejszem powietrzem i nieco się rozpatrzeć w okolicy... Niepokojna natura usiedzieć mu nie dawała, rwał się do pracy.

Wieczór zdawał się zapowiadać pogodę, w obozie nieco różniej wyglądało po nadejściu wołów i amu-

nicy. Nadciągnęli ochotnicy, ruch panował wszędzie, o Anglikach pewniejsze nadeszły wiadomości, sposobiono się widocznie do stoczenia z nimi bitwy... konni posłańcy krzyżowali się po ścieżkach.

Kazimierz wyszedł na szanice, a potem za miasto i ku niezbyt odległej rzece.

Okolica, pusta i dzika, była dość piękną. Z dawnych, okrywających ją lasów pozostały gdzieśgdzie pnie cedrów i dębów sterczące bezładnie, lub ocalony olbrzym puszczy osamotnioną głowę podnosił nad tym cmentarzem swej braci. Na gałęziach i obalonych kłodach czepiały się już bujnie rozrastające rośliny nieznane, pełne sił, szerokolistne, jaskrawe, wytryskujące wszędzie, gdziekolwiek znalazły pięćdziesiąt mi wolnej. Nawet spruchniałe kłody drzew rozkwitły cudownymi kielichy... Liście tych cudownych roślin, ich postawa, bujność dziwić musiały mieszkańca północy, nawykłego do tych istot wątłych, które pół roku śpią pod śniegami, a pół walczą z chłodem i mrokiem. Powietrze też, przesiąknięte wonią odurzającą, czuć było odmienie... łało ono w piersi potęgę odmładzającą, a w mózg upojenie jakieś i szale...

Zaledwie przeszedł z sickierą po trzebieży robotnik... rzekłbyś, że za jego stopami odzyskiwała roślinność swe prawa, ścierała zniszczenia ślady, walczyła z nim zwyciężko. Drobnym tu, słabym wydawał się pan natury, wobec potęg dziewiczego świata. Rozpatrując się w tych nowych dla siebie widokach, Pułaski siadł na pniu ściętego drzewa, a myśl jego poleciała za ocean, na ukraińskie stepy. Zagrała jej tęskna pieśń od mogił wiekowych... utonął w snach przeszłości.

Gdy tak spoczywał i marzył, postrzegł przed sobą powoli nadchodzącego i jakby rozglądającego położenie mężczyznę wysokiego, barczystego, ubranego bardzo skromnie, z perspektywą i laską w ręku... Wyglądał on na zamożnego kolonistę, co własnymi

rękami pracował około plantacji — ale twarz poważna, myśląca, piękna, zwiastowała w nim i duszę szlachezną i rozum niepowszedni.

Szara suknia prostego kroju, nieco dawnej formy, nie dozwalała domyśleć się wojskowego

Spojrząwszy na Pulaskiego, uderzony znać obcą zupełnie postacią, zdradzającą cudzoziemca, i bolesnym wyrazem twarzy, stanął przed nim i powitał go uprzejmie.

— Nicwatpliwie — rzekł, przystępując — przybywacie z Europy — nieprawdaż? Co tu robicie za obozem?

— Zgadliście — odpowiedział Pulaski — jestem tu świeżym przybyszem... wyszedłem, korzystając z jaśniejszego nicba, aby się rozpatrzeć w kraju mi nowym i nieznanym. Jestem tu całkiem obcy, przybywam od stron dalekich, z północy...

— Do jakiejże należycie narodowości?

Jestem Polak — rzekł Pulaski.

— Przybywacie tu sami?

We trzech...

Dawno?

— Przedwczoraj.

— Mówiliście już zapewne z kim? Macie tu znajomych?

Nie. Byłem u Lafayetta, któremu list przywiozłem od żony, mam także pisma Franklina i Deana do Washingtona.

Spojrzeni na siebie... znów było milczenie krótkie.

— A! widzieliście czcigodnego Benjamina naszego? — spytał przybyły.

— Wiele razy...

— I nie odradzał wam... podróży do Ameryki?

— Nie, owszem. Przybyłem do Francji z Turcji z tem postanowieniem. Franklina mnie od nicgo nie odwodził.

— A przecież, przecież — przerwał nieznajomy — powinien być zrozumieć, na co was naraża... Przyznam się wam, iż szanując, żałuję waszego poświęcenia... boję się, żeby nie było daremnem. W tej chwili nie wiele tu sobie obiecować możecie. Ameryka chce i musi o własnych siłach się podźwignąć, honoru zdobycia swobody nie powinna dzielić z nikim, jest ona zazdrosną. Cudzoziemców mamy tu już wielu... zanadto... W naszym żołnierzu budza oni niechęć, sięją zazdrość i nieufność, są żywiołem ciężko dającym się połączyć z nami.

— Jużem to wszystko słyszał od Lafayetta i trochę widział własnymi oczyma — rzekł Pułaski — nie ludzę się też wcale.

Któż wy jesteście? — odezwał się nieznajomy.

Kto jestem? — z pewną ironią smutną a poważną odpowiedział Pułaski — kto ja jestem? Moje nazwisko samo byłoby wystarczającą odpowiedzią w Europie... tu musiałbym wam mówić wiele i nie dowiedzielibyście się z tego, kto jestem... Byłem wódczem, dziś mi być dosyć — żołnierzem.

Milcząc, uchylił nieco kapelusza z poszanowaniem nieznajomy, widać w nim było wzruszenie;

— Kto jestem! — mówił dalej — dziś biednym tylko rozbitkiem, dziś dosyć, że jestem człowiekiem... bez plamy, a z brzemieniem na ramionach. Miałoby to w Ameryce nie starczyć?

Amerykanin skłonił głowę.

A, panie — rzekł — różne są wymagania czasu i okoliczności — nie jątrzcie się jeszcze przeciwko nam przedwczesznie... Wszystko się może dać ułożyć.

Potem, zavracając rozmowę, odezwał się spokojnie:

Widzieliście więc starego Bena?

— Tak jest, widywałem go często w Passy, mówiliśmy z nim długo o mojej i waszej ojczyźnie.

Franklin nie tak gościnną malował mi Amerykę, jak ją znajduję.

— Ale i ja też, przebaczcie przerwał nieznany mąż — maluję wam tylko szczerze, otwarcie położenie nasze. Przyjęcie do wojsk... nie należy nawet od wódza. sam podlega kongresowi i jest mu posłusznym; kongres wogóle jest nieufnym i źle usposobionym dla cudzoziemców. Mówił wam pewnie Lafayette, jak jego przyjęto.

— Tak jest, wspomniał mi o tem — rzekł Pułaski — ależ mnie także nie idzie o żaden stopień, ani o pieniądze... dopóki choćby na suchar mnie stanie...

Amerykanin zamilkł i z wolna przysiadł na kłodzie blisko leżącej, podparł się na rękach, patrzył, poważnie zamyślony.

— Darujcie mi, że was może trudzę rozmową — dodał po przerwie dla nas, Amerykanów, pożytecznem wielce jest dowiedzieć się, jak żołnierz europejski widzi nasz kraj i sądzi... nasze wojsko... obóz... ludzi.

Trudno to odrzekł Pułaski nieco ostygły — zdac sprawę z wrażenia, które się odbiło od powierchni, głębiej sięgnąć nie mogąc. Gdybym miał szczerze powiedzieć wam co myślę... możeby to nieczbyt było dla was pochlebne i miłe. Wojsko, obozy nie zbudowały mnie. Nawet my, cośmy też w wojsku nowozacienne, ochotniczem służyli — ja, com lat kilka podobnemu oddziałowi dowodził — nawykłem do większego porządku, ładu, jednostajności... bodaj nawet ubioru, który wdraża do karności i równości obozowej. To, co widzę, wygląda mi na pospolite ruszenie, na partyzantów, nie na wojsko i pulki szykowane. Ale rozumiem i to... że mi się nie godzi sądzić o kraju tak nowym, miarą innych go mierząc... Każdy naród ma swe obyczaje, własności, cóż dopiero tu... na drugim świecie! Tu tysiąc zapewne nieznanych mi okoliczności składały się na nadanie wojsku

tak niekorzystnego pozoru... Wyglądają żołnierze wasi na żcbraków.

Zgadliście dobrze uśmichając się, odpowiedział Amerykanin -często biją się bardzo dobrze, ale przyznaję, że nie zawadziłyby nam ład, surowość większa i porządek. Nie zapominajcie, że to jest ochotnik, wojsko co trzy miesiące rekrutowane na nowo—proszone—że to są coraz świeże zaciągi, które każda klęska i niepowodzenia rozprasza... my się musimy uczyć się i bić, i zwyciężać... Nie chce rzeczpospolita mieć regularnego żołnierza, coby się stał żołdakim.

— Tak właśnie było u nas—rzekł Pułaski—ta obawa nas zgubiła... W kraju do rdzeni republikańskim, gdzie niema się co obawiać ambicyi wodza, niema się też co lękać żołnierza... Wojsko regularne, wyćwiczone, jest potrzebne.

— I ja także sędzę—odpowiedział Amerykanin—ale to są primicie swobody—myśmy do niej doszli, a jeszcze jej nie zdobyli... wszystko nas przeraża... Myślę, że wodzowie pragnęliby inaczej urządzić armię, ale kongres się może obawia, aby z Fabiusa nie wyrósł mu jaki Cezar... jaki Cromwel...

— Z tego, co o przyjacielu Franklina z niego wnosić mogłem—odpowiedział Pułaski—nie sędzę, by kto mógł Washingtona o samolubne posadzić widoki, jest to mąż prawy.

Bądźcobądź — przerwał nagle nieznajomy—kongres ma słuszość, on powinien się lękać nawet, gdy nicma się czego obawiać to jego powinność... Stoi na straży, a choćby nieprzyjaciela nie było, warta z placu zejść nie może.

W tem miejscu przerwana została rozmowa niespodziewanem ukazaniem się Lafayett'a, który od obozu jechał, szukając właśnie Pułaskiego, a zobaczywszy go, szybko się przybliżył.

Nie spostrzegł on zaraz jego towarzysza, zakrytego gałęzmi i krzakami, ale w chwili, gdy nadjeżdżał

i zsiadłszy, podawał rękę Pułaskiemu, wychyliła się ku niemu poważna postać nieznajomego.

Na ustach Lafayett'a ukazał się uśmiech wesół. powitał naprzód Amerykanina, potem tego, za którym gonił.

— Widzę — rzekł — żeście mi oszczędzili formalności zapoznawania, której właśnie miałem dopełnić.

— Któż to taki? — zapytał cicho Pułaski.

— Jaki? czyżbyście nie wiedzieli?

— Nic nie wiem, spotkanie było przypadkowe.

To wódz! to Washington — zawołał Lafayette, a w tej chwili Amerykanin z pełną uprzejmości prostotą i wyrazem przyjacielskim dłoń do Polaka wyciągnął...

— Proszę mi darować, panie generale — odezwał się Pułaski — moją żołnierską gburowatość, rubaszość i może zbytnią otwartość; prawdziwie nie wiedziałem, kogo miałem szczęście spotkać.

Wódz potrząsnął ręką...

— Ale tak jest lepiej — rzekł — znajomość nigdy nie korzystniej dla mnie zrobić nie mogła. Poznałem was takim, jakim jesteście dla wszystkich... a może być... innemi nieco byli dla owego Washingtona, który jest nieczem więcej, jak chwilowo odpowiedzialnym za wszystko złe, jakie kraj spotyka. Cenię was już wielce z pierwszej rozmowy i cofam, com o Amerykanach powiedział. Takich ludzi, jak wy, potrzebujemy, pragniemy... nie wiem waszego nazwiska...

Panie generale — przerwał Lafayette, właśnie wam miałem hrabiego Pułaskiego przedstawić. Piszę za nim do was gorąco Franklin, dodam od siebie, że w Europie imię jego słynne jest.

— Wierzcie mi — rzekł Washington — będziemy się starali, aby dla was Ameryka nie była niegościnną ziemią... Jutro napiszę do kongresu, i mianuję was...

— Piechotą, czy konnicą dowodzić chcecie? — dodał.

Dowodzić! — rzekł Pulaski — ale ja chcę tylko bić się, nie dowodzić.

— Z rozmowy waszej widzę, żeście starym, wytrawnym dowódcą, musimy z waszego doświadczenia korzystać. Więc piechota, czy konnica?

— Ha! — odparł, uśmiechając się pan Kazimierz — to pytanie, które Polakowi tylko w Ameryce zadaniem być może. My nie znaliśmy piechoty, prócz najemnej, wzrosliśmy na koniach, jesteśmy od kolebki jeźdźcami... Bóg nas stworzył z nogą w strzemieniu.

— Właśnie my jazdy mamy najmniej — rzekł Washington — wy ją nam stwórzycie...

— No! — zakończył weselej — bądźmy dobrymi przyjaciółmi, niech was nie zraża, com mówił o niechęci dla cudzoziemców... Bywają różni. Co dopiero dowódzca!

Tak mówiąc, wstał wódz i powoli, rozmawiając, poszedł ku obozowi a szalasowi, mało co nad inne pokazniejszemu, Washingtona.

W taki sposób, po owem szczęśliwym spotkaniu, los Pulaskiego i jego towarzyszków został rozstrzygnięty i łatwiej, i prędzej, niż on sam i Lafayettete mógł się spodziewać; listy Franklina wiele też do tego pomogły.

Lafayette, jakśmy mówili, dotad także oczekiwał na potwierdzenie nominacyi swej przez kongres amerykański.

W ten początek, na pozór pomyślny, gdyż reszta przyjaciół z pięknej Ludwiki została odprawiona z honorem, a Girod ledwie wielkimi narzekaniami wyprosił sobie mały datek na podróż — nie łudził wcale

Pułaskiego, który z powierzchownego przypatrzenia się ludziom już mógł przeczuwać, co go tu czekało.

Nigdzie o zazdrość nie trudno i na niechętnych nie zbywa. Charakter energiczny, mało się hamować w wybuchach umiejący Pułaskiego, przywyknienie do wojskowej karności, którą za jeden z głównych powodzenia warunków uważał, wcześniej musiały mu przysposobić nieprzyjaciół. Dość było wreszcie, że przybysz, człek nowy, otrzymał dowództwo. Opierał się on na zyczliwości Washingtona, którą pozyskał odrazu, umiał ją zachować i zbliżeniem się doń zjednać ufność i szacunek.

Washington cenił w nim nie tylko męstwo, ale nicublaganą w służbie surowość i pojęcia karności, które przynosił.

Amerykańscy ochotnicy, dzielni duchem, bitni w ogniu, swobody tej, za którą walczyli, wymagali dla siebie wszędzie, nawet tam, gdzie się jej żądać nie godziło, a dać nie było wolno — w obozie, w pochodzie, w szyku.

Rozprzężenie było wielkie i jemu też większą część klęsk poniesionych przypisywać należało. Washington czuł to, ale nie wszystko mógł wykonać, czego pragnął.

Właśnie w chwili, gdy generał Read odmówił przyjęcia dowództwa nad jazdą, która się z dwóch pułków zbieraniny awanturniczej składała, przybywał Pułaski i na objęcie tej brygady został naznaczonym. Rogowski i Karol mieli się przy nim pomieścić.

Pluta już znów szczęśliwy był ze wszystkiego, nie tak chmurną wydawała mu się teraz Armia, roślina zwycięstwa i wawrzyny. Jasnym, cudnym dawał się teraz świat nowy, pełnym niespodzianek, zjawisk i wdzięku; znajdował go przy dziewczęcej delikatności jego majestatycznym, wspaniałym...

Pułaski przy tem sercu młodzieńczem, pełnem poezji i miłości, otwartem dla wszystkiego, co...

chętne i piękne, rozterzewał się, lepsze swe przypominając lata... Takim i on wyjechał był z rodzicielskiego domu.

W czasie długiej podróży Karol zbliżył się do niego, stosunek ich był prawie braterski, z odcieniem starszeństwa. W sercu Karola poznanie lepsze, poufalsze Pułaskiego zrodziło nie tylko miłość, ale uwielbienie, pełne zapалу. Przywiązaniem tem był szczęśliwy...

Zapał Karola zwrócił Pułaskiego ku majestatycznym pięknościom natury nowego świata, a choć prozaiczniejszy Rogowski zżymał ramionami na te uniesienia, oni we dwóch w dziewiczych borach Pensylwanii stawali często podziwiać i rozkoszować się omszonymi dębami, cedrami, tulipanowemi drzewy, tysiącem zjawisk niespodziewanych a wdzięcznych... kwitłych i wonnych, lub dziwacznych i dzikich...

Młodsze to serce i wyobraźnia żywa Karola jasnym promieniem ozlacały szare dni życia. Znosił on wszystko wesoło: niewygody, głód, komary i utrapione muchy, które Amerykanie nazwali Heskiami, utrzymując, że je z sobą najemne pulki Hesków przywozły na zjadanie obywateli kolonii...

U brzegów Delawary i Brandywine, gdy w mozarach posłyszeli nocą głuszące żab krzekoty, siedzieli razem do dnia, marząc o błotach i stawach, w których pieśni ich wieczornej w kraju się przysłuchiwali.

Karol wszystkie świetne ptaki, wszystkie drobne, latające świecidełka, kwiaty, wonią siejące dokola... myślą posyłał do Skali, na wianki, do klatek Ewusi.

Myślał często o domu, lękał się o swoich — ale się modlił i spodziewał, że u Boga wyprosi, by się nie zmieniło, nie ubyło do jego powrotu.

Wyobraźnia coraz wyraziściej teraz malowała tary dwór w Skale i wiedział, co się tam o jaźniało godzinie, żył z niemi sercem i duszą.

— Teraz poszli się modlić — teraz siadają do stołu... kapelan błogosławi, dziaduś powoli sunie ze swego pokoju, słyhać łaskę ojca, stukającą o podłogę, i szelest sukienki...

Ale z tej umiłowanej Skaly od pożegnania z ojcem nie było slychu, ni wieści... listy naówczas szły, jakby łaską... cięko i powolnie, a ileż razy ginęły!

Nim jeszcze spodziewane potwierdzenie kongresu nadeszło, przybysze mieli czas rozpatrzyć się w kraju i obozie. Niespodziewany obrót wojny zmusił Washingtona opuścić okolicę pod Wilmingtown i pospieszać przeciwko generałowi Howe, który zdawał się zagrażać Filadelfii, stolicy kongresu.

Dowódzca ten, tak wogóle nieszczęśliwy w swych obrotach strategicznych, tym razem miał jakąś pomyslniejszą natchnienia godzinę. Stał on z siłami swojemi u brzegów Delawary, gdy w końcu lipca, nagle opuściwszy New-York i ujście rzeki Hudson, gdzie wojska jego były rozłożone, rzucił się w stronę z początku niewiadomą, tak, że obrotu jego celu odgadnąć było trudno.

Chwilowe powodzenie wojsk generała Burgoyne zachęciło go do śmielszego próbowania szczęścia. Sądząc się dość silnym, by działać stanowczo, umyślił napaść niespodzianie na samo ognisko potęgi Amerykanów.

Zabrawszy z sobą kilkadziesiąt batalionów wojsk europejskich i nieco ochotnika amerykańskiego, rozłożył je, zostawiwszy około N.-Yorku kilka tysięcy pod jeneralem Clintow, a drugie tyle w Rhode-Island. Siły te miały utrzymywać na wodzy Amerykanów; resztę zabrał na okręty Howe i odpłynął...

Długo, mimo najtroskliwszych śledzeń, tajemnicą był dla Washingtona cel tej naglej wyprawy, a w wojnie tajemnica każda jest niebezpieczeństwem.

Zapóźno może doniesiono mu o przeznaczeniu wojsk angielskich; nie tracąc więc chwili, potrzeba było zwinąć obóz i posuwać się forsownym marszem w głąb Pensylwanii.

Ochotnicy polscy, chociaż jeszcze urzędownie nie zaciągnięci pod sztandary rzeczypospolitej, zarówno z Lafayettem, towarzyszyli pochodowi. Skosztowali pierwszy raz trudów i niebezpieczeństw przepraw wśród tych puszczy, błot i gąszczy, ciągnąc przez moczary w porze dżdżystej, krajem, który tysiące strumieni i trzęsawisk przerzynają.

Tak wojska przebyły Shuykill, oprócz wielu pomniejszych.

Obóz znużonych pochodem śpiesznym amerykańców rozsiadł się nad mokreymi brzegami Brandywine. Po prawej jego stronie cała sieć strumieni wezbranych deszczami, biegła uchodząc do rzeki; z przeciwnego brzegu nieopodal rozłożyli się byli Anglicy, widocznie zagrażając Filadelfii.

Howe dnia 25 sierpnia wylądowawszy w zatoce Chesapeake, przebrnął tylko rzekę Christianę i stał na Brandywine, obrawszy na ten raz dosyć korzystne stanowisko.

Zaledwie się przeciwko sobie znaleźli, Washington niecierpliwy zażądał bitwy...

Z obu stron się do niej przygotowywano.

Rankiem dnia 11 września huk dział zapowiedział starcie...

Jeszcze raz wielki wódz, a nadewszystko wielki mąż, niezłamany niczem, miał doznać upokorzenia i klęski i ochotnikom polskim, dostało się poczynać od niepowodzenia.

Plan anglików, zasadzający się na fałszywym ataku z jednej, a oskrzydleniu amerykańców z drugiej strony, powiódł się im zupełnie...

Całe ich siły rozdzielone były na dwa silne oddziały, prawem skrzydłem dowodził generał Knyp-

hausen. Ten miał przejść Brandywine, ściągnąć na siebie główne siły, gdy lewe skrzydło angielskie Cornwallisa, okrążywszy się ową strumieni i bagien nad-rzecznych dalszą drogą tył i prawe amerykańców skrzydło najść i otoczyć miało.

Przebrnięcie strumieni i moczarów nie było trudnem, wojska regularne, posłuszne i karne, powo-dowały się lepiej niż podwładni Washingtona, którzy jego rozkazów nie spełniali ściśle.

Dzień to był nieszczęśliwy dla wodza, bolesny dla żołnierzy, a dla tych, co po raz pierwszy dobyli oręża nad wszelki wyraz przykrzejszy. Anglicy u-ykonali, co zamierzili.

W pierwszym napadzie żołnierz republikański przebił się zwycięzko, ale się oparł o żoldactwo jak mur stojące - złamać go a pokonać nie mógł... Stracił potem wiarę w siebie i przytomność.

Przelamawszy na pierwszym uderzeniu Knyphausen, ochotnicy wytrwać nie potrafili, Cornwallis tymczasem groził zajęciem tyłów i opasywać zaczynał z prawej strony.

Gdy Washington, chcąc nie dopuścić przejścia Brandywine Knyphausenowi, skupił przeciwko niemu całe siły swoje, brygady Stephensa, Sterlinga, Sullivana - nie zdołały same stawić czoła Cornwallisowi - oddział jego, wyparłszy je, groził opasaniem...

Bitwa, po krótkiej chwili początkowego powodzenia, do którego niezmierny zapał ochotników, Lafayette'a i Pulaskiego się przyczynił - widocznie zagrażała klęską wielką. Musiano plan już niewykonalny zmie-nić i cofać się ręką obronną, aby uniknąć zabierają-cego tył Cornwallisa.

Dywizya generała Wayne dłużej też przeciw przeważnym siłom Knyphausen'a wytrwać nie mogła.

Bój ten, w którym nadzwyczajne rozpaczliwego męstwa dowody dawali wszyscy - trwał do nocy od świtu... Ochotnicy z zielonemi gałęzmi na kape-

luszach, z okrzykami lecieli na murowane szeregi anglików, dokazywali cudów chwilowo, ale się rozbijali w końcu o te wyćwiczone, chłodne i posłuszne szeregi.

Ani przybycie spóźnione generała Griena, ani męstwo żołnierza, ani zimna krew Washingtona, nie zdołały zapobiedz klęsce. — Dzień ten w kronice Nowego Świata żalobną pozostał pamiątką.

Pułaski, rozpromieniony, przeżegnał się przed bojem, starym obyczajem, w rynglaście z M. Boską, w konfederatce, rzucił się razem z konnicą na nieprzyjaciela, szczęśliwy, jakby mu wyrosły skrzydła... Karol i Rogowski nie odstępowali go na krok...

Saracenka zboczyła się krwią angielską, której podobno dotąd w długim życiu nie kosztowała jeszcze.

Rogowski w spotkaniu z chmurią czerwonych dragonów dostał raz przez głowę szablą, która mu skórę przecięła na czaszce, ale za to — utrzymywał, że zuchwałego dragona trupem położył.

Lafayette, podobny do anioła boju, wybrał się na potyczkę świetnie, strojno, jak na królewskie popokoje, usta mu się uśmiechały..

Wmieszany w szyki razem z żołnierzem, około południa ranny był w nogę, ale chustką ją tylko obwiązawszy, nie dał się odwieść z pola i walczył do nocy.

Trzeba było w końcu ustąpić z placu i nie dając się rozpierzchnąć niedobitkom, uchodzić.

Washington zniósł tę klęskę nową ze stoicyzmem filozofa, a raczej z energią człowieka, który ufa w swą siłę.

Nic nie uszło jego oka, ani zachwiało krwią chłodną. Patrzał na harce ochotników z uśmiechem, na cofanie się wojsk z boleścią, ale na marmurowej jego twarzy pod koniec dnia nie widać było ani zniechęcenia, ani ducha upadku.

— Uczymy się zwyciężać! — rzekł wieczorem do Lafayette'a — ale drogo placimy lekcye nasze.

Pułaski wręcz przypisywał przegraną brakowi karności i wprawy w żołnierzu, który bił się dobrze, ale w obrotach był nieraźny i nie tak posłuszny kenie, jak należało.

Ze szczerotą żołnierską, powtórzył przy dowódcach Washinhntonowi, iż wojsko potrzebuje surowszego w kluby ujęcia.

To jedno już wyznanie źle dlań uprzedziło ludzi nawykłych do rozprężenia.

Właśnie, gdy wrażenie tych słów było najżywsze, bo je po obozie powtarzano, przyszły oczekiwane potwierdzenia od kongresu i Pułaskiemu oddano nad jazdą dowództwo.

Owa tak szumnie ochrzczona brygada Pułaskiego była zbieraną drużyną awanturników, podzieloną na dwa pulki, liczące razem około czterystu set koni; regiment dragonii i tak zwanej rajtaryi.

Dragonami dowodził pułkownik Molens, człek odważny, ale samowolny, opryskliwy, gwałtowny i nienawidzący cudzoziemców, z czem się głośno przy każdej sposobności odzywał. Pomiędzy oficerami byli Francuzi, Włosi, niemieckie zbiegi z pułków angielskich, ludzie nieokreślonego pochodzenia.

Wszystko to o posłuszeństwie i rygorze słuchać nawet nie chciało. Zadanie Pułaskiego było prawie nie do wykonania, bo wśród wojny i pochódów zaprowadzenie karności między ludźmi, co się za lepszych od niego uważali rozbijało się o niepokonane trudności. Oficerowie, żołnierze. cała ta czereda, związana wspólnym interesem, stawiała się przeciw niemu mężniej, niż przeciw nieprzyjacielowi. Nawykli do bezkarności, nie znając charakteru Pułaskiego, rachowali niepłonnie, iż go swojem postępowaniem zmuszą do zrzeczenia się dowództwa. Skryty, milczący opór, ciche szyderstwa, przechwalki, znosić

musiał co chwila. Pułaski schnął, bladł, usta zacinał, azeby nie wybuchnąć, w końcu parę razy gwałtownie się uniósł, dając poznać, że sobie przewodzić nie dozwoli, ale niepodobna było codziennie odwoływać się do wodzu i na nieposłusznych składać sądy. Musiał znosić. Niezupelna znajomość języka utradniała położenie.

Po klęsce pod Brandywine wojska Washingtona cofnęły się w kierunku Chester. Filadelfia była stracona. Znow musieli przebywać rzeki, przebrnąć na powrót Shuykill i opierając się nachodzącym anglikom, przedzierać przez błota, lasy i dzikie pustynie.

Główne siły angielskie gromadziły się około Germanstown; kongres wcześniej przeniósł się do Lancaster. Opuszczoną stolicę zajął był Cornwallis, który zmuszony został rozdzielić swe siły.

Część wojsk wysłał na zdobywanie małych twierdz, przecinających komunikację, między Filadelfią a niższą Delawarą i flotą u ujścia stojącą, która dostarczała zapasów.

Wkrótce po wyeofaniu się z nieszczęśliwego spotkania, Pułaski pociągnął razem z Washingtonem na Germanstown. Wódz, rachując na uszczuplone anglików siły, chciał co rychlej powetować klęskę.

Po ciężkim marszu stanęli dniem jesiennym pod Germanstown.

Ranek był dżdżysty, mgła gęsta później nie dopuszczała się lepiej rozpatrzyć w położeniu anglików. Wszakże niecierpliwe wojska się starły.

Jak wpródy, tak i teraz, pierwszy napad powiódł się Amerykanom, generał Conway z prawem skrzydłem, w którym był i Pułaski ze swoją brygadą i celnymi strzelcami — porzuciwszy anglików — wparł się do środka ich obozu, przypierającego do miasteczka.

Pułaski na czele swej jazdy, dając przykład męstwa, przeleciał nawskroś obozowisko angielskie, rąbiąc tak zaciekle, że struga krwi z palasza jego lala mu się w rękaw munduru. Nie to wszakże nie pomogło, znów pojedyncze świetne czyny nie rozstrzygnęły walki... nieszczęśliwej, jak pierwsza.

W budynku, naksztalt blockhauzu obwarowanym na przódce, pułkownik Musgrave, zasadziwszy się z piechotą, oparł się kilku szturmom dzielnym ogniem. Washington rachował na to, że Cornwallis powstrzyma oddział, na odsiecz wysłany, i nie da mu w czas pospieszyć; stało się inaczej, posilki przebiwszy się, nadciągnęły i amerykańków przemagającą siłą wyparto.

Poniósłszy znaczną w ludziach stratę, znów cofać się musiano...

Washington przeszedł rzekę Perkiomi i w porządku zajął stanowisko między wodami Shuykill i Shippah.

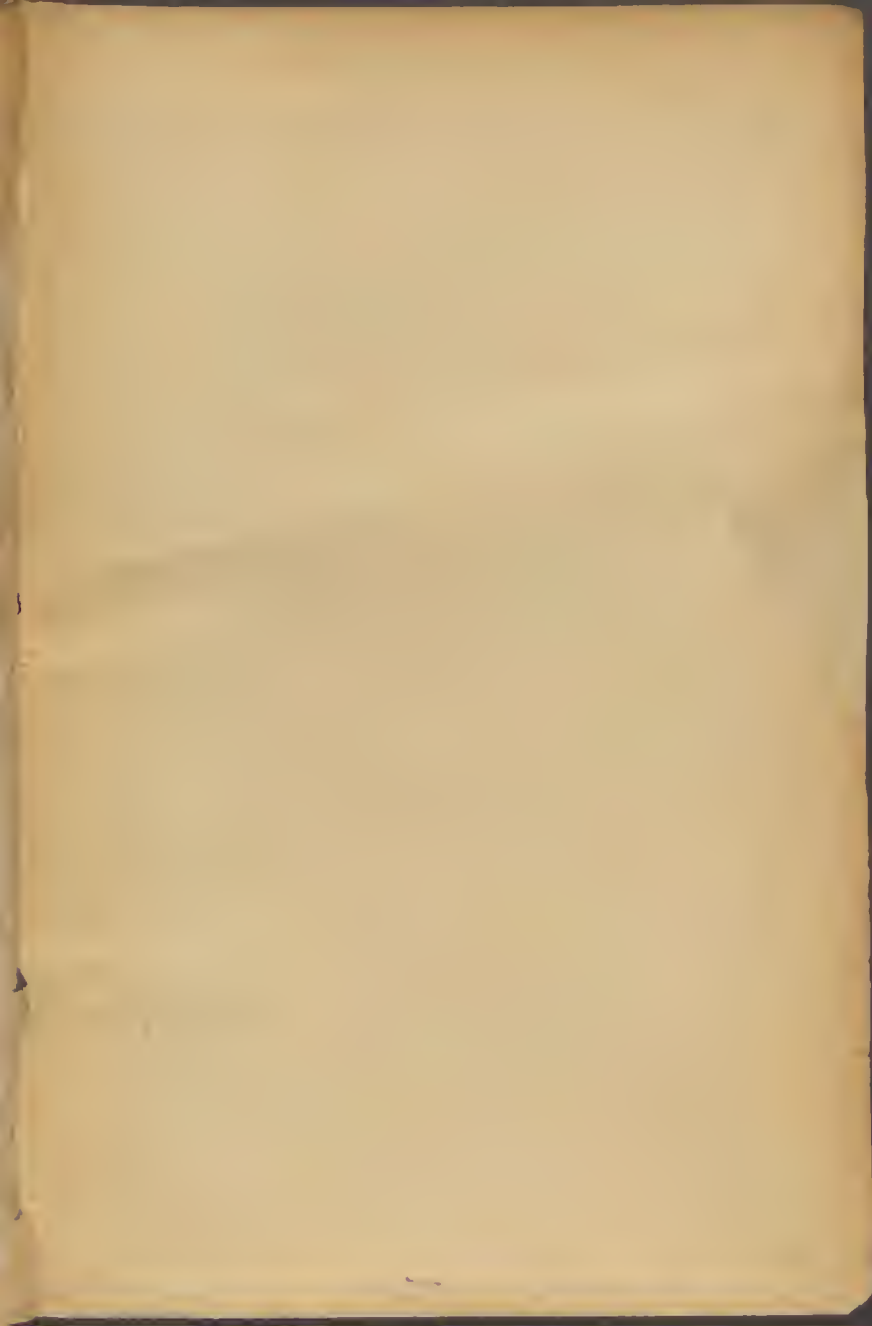
Po tych porażkach, które z blizka po sobie nastąpiły, tylko wytrwałość Washingtona i zaufanie w nim kongresu utrzymać zdołało ducha. Zniechęcone żołnierstwo, zniszczeni mieszkańcy szemrać poczynali, domagając się pokoju i zgody. Dezercya w szeregach dotkliwie czuć się dawała.

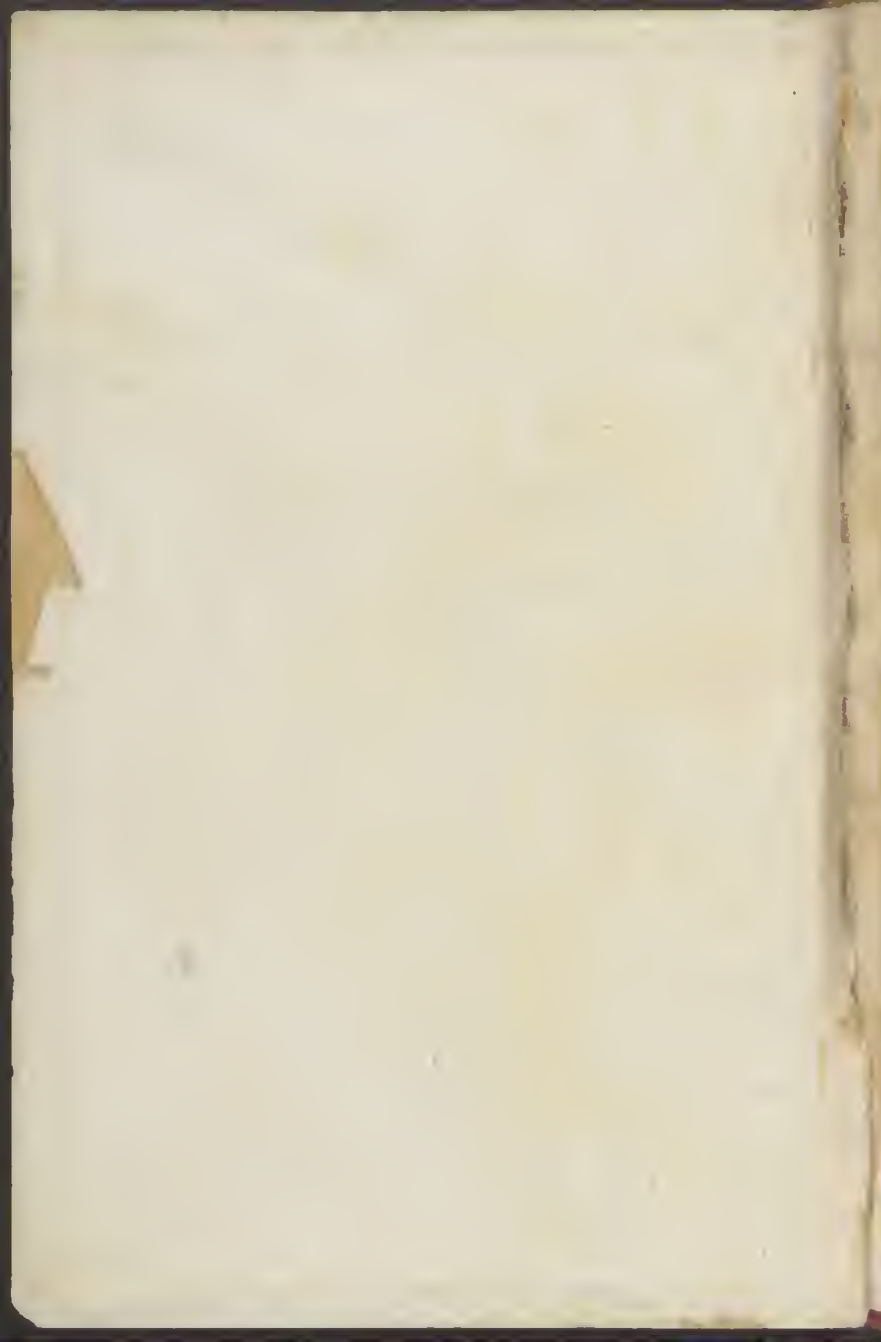
Wkrótce po bitwie pod Germanstown, generał Burgoyne został osadzony przez wojsko amerykańskie pod Saratogą, zmuszony był kapitulować i poddać się.

Zwycięstwo to płaciło z lichwą dwa niepowodzenia poprzednie. Gates podźwignął Washingtona.

Współcześnie prawie Francya podpisała traktat przymierza z rzecząpospolitą, obiecując czynną pomoc Stanom Zjednoczonym, których sprawa już od tej chwili za wygraną uważać się mogła.









Biblioteka Raczyńskich

JK 429



JK0429